



DR. WŁADYSŁAW WAYDA
POD KRZYŻEM
POŁUDNIA

POD KRZYŻEM
POŁUDNIA

DR WŁADYSŁAW WAYDA

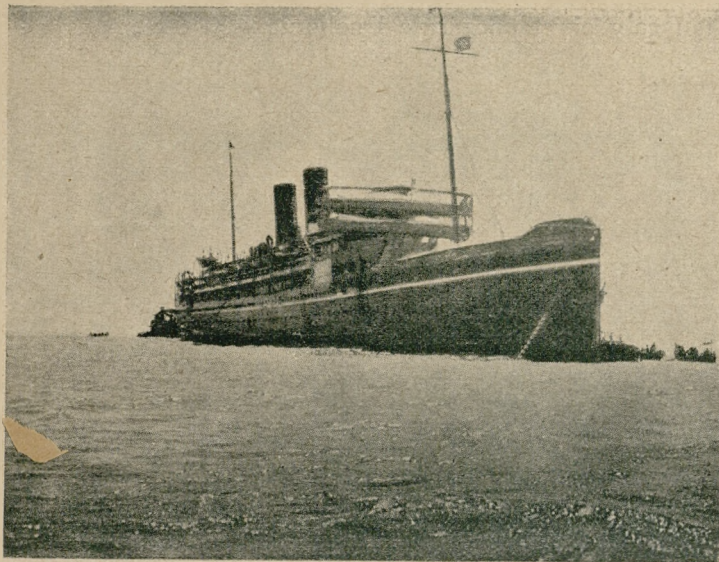
POD KRZYŻEM
POŁUDNIA



LWÓW — WARSZAWA
KSIĄŻNICA POLSKA T-WA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH
MCMXXI



ODBITO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRAFIA“ WE LWOWIE



„MOOLTAN“

Rozespane, zleniwiałe morze budzi się ciężko po upalnej, dusznej nocy. Od gór płynie świeży, rzeźki powiew. Marsylja jeszcze uśpiona.

Po drodze wiodącej ku dalekim przystaniom, wśród tumanów kurzu, pyłu obłoków, suną przeciążone dwukołowe wozy, ładowne bryki, omnibusy hotelowe, samochody i dorożki.

Nad morzem gorączkowe wre życie.

Lekko sfałowane, brudne wody, zasypane wprost łodziami i stateczkami. Sterczy las kotyszających się masztów, podzrucane falą łodzie swawolnie się wdziewają, woddali mającą wielkie parowce, dymią potworne kolorowe kominy. Rój chłopaków wciska się wszędzie, oszałamiając krzykami bezcelowemi podnieconych podróżnych. Gdzieś niegdzie cierpliwa postać, z fanatycznym uporem zapuszcza długą wędkę pomiędzy pływające skórki pomarańcz, niedogryzki owoców i zbite gniazda śmieci. Uwija się mrowie rozkrzyczanych, tęgich pracowników portowych a wśród nich niewyspani i zniecierpliwieni podróżni.

Tuż przy pomoście czerni się długi kadłub okrętowy, twarde, nieruchome i mocny, związany z lądem pomostami, po których nieustannie właczają kufry, bagaże... wymijają się śpieszące postacie ludzkie.

Wygląda ten cały okręt poczciwie i solidnie.

To pierwsza pociecha. Jeszcze chwila nerwowego zamieszania, szukanie kufrów, potem konieczna ciekawość, jak też wygląda kabina, ten nasz „home“ na całych 35 dni, i idziemy na gapia.

Mozolą się wszędzie ludziska, skrzypią pomosty, jęczą żałośnie żurawie, bosi Hindusi (załoga Peninsular and Oriental Company składa się przeważnie z Hindusów) w granatowych bluzach i czerwonych zawojach, kręcą się jak zwinne koty. Takie zamieszanie, tyle zgiełku, potrącań, krzyków, wreszcie przekleństw dosadnych, któremi pracujący Francuz chętnie obdarza bliźnich, jakby się coś ważnego stało. Trwa to długą chwilę. Dopiero donośny głos dzwonu przecina wszystko. Już tłumy na pokładach rzędną, już ściągnięto pomosty.

Tuż przy brzegu wesoly pudel i przykro uśmiechnięta dziewczica w zgoła brudnych trykotach, wywija ucieszne a biedne kozły. Chytry impresarjo zbiera obfite datki. Znów w innym miejscu smuci się stłoczona gromadka odprowadzających. Nieco też i obowiązkowo pracujących chusteczek... ktoś ryknął zupełnie bez powodu „Vive la France“...

Przeraża nagle gwałtownem wyciem syrena i już śruba gniewliwie warczy i maćci wodę. Jak krab bokiem a zuchwale szybko odsuwa się MOOLTAN.

Bledną w sinej mgle porannej nadbrzeżne góry, cudnie rozłożone wstającym słońcem... rozpraszają się i ginie wszystko.

Jakaś tęsknota czy smutek niepokoi duszę. Oko przylega żałośnie do roztopiających się brzegów. Wyrywa się nagłe, bezwiedne, niepotrzebne westchnienie...

Przed nami bezkresna równina morza.

Statek wali rażno, zostawiając za sobą smugę dymu, perłową drużynę pian i... Europę. Otulają nas bezszelestne, błękitne wody, lśniące płątami srebrnego kwiatu słońca. Powietrze czyste, rozkoszne. Upału niema wcale. Jest zupełnie dobrze.

Z miejsca ulegamy gorączce podróży morskiej, to jest pragnieniu ustawicznych widoków. Lada okręt, łódź rybacka, pływająca belka,



W „PORT SAID“

ryba zachwyca i cieszy. Więc rosną marzenia, by zobaczyć Stromboli i to koniecznie w wybuchu, a już co najmniej Scyllę i Charybdę. Niestety mijamy wszystko w nocy. I cieśninę św. Bonifacego i Stromboli. Majestatyczna piramida wulkanu nieczynna. Stąd gorzki zawód. Ktoś dostrzega jakby dym, obłok na rozgwieżdżonym niebie, ale naprawdę to nie widać nic. U stóp wulkanu nieco światełek. To chaty rybackie. Natomiast widzimy wyraźnie — latarnie Messyny. Ta regularnie zabudowana dzielnica, to nowe miasto dźwignięte po ostatnim trzęsieniu ziemi. Spieramy się o nazwę miasteczek rozrzuconych na cyplu Włoch. Tymczasem latarka umieszczona na szczycie masztu, poczyna zalotnie mrugać, a inna na łodzi także mruga. Rozmawiamy tym sposobem z brzegiem włoskim.



ŁADOWANIE POCZTY W PORT SAID

Potem wszystko niknie.

Jest nas sporo na okręcie. Przeważają Anglicy i to oficerowie wracający z koronacji do Indyj i Chin. Jeden mówi nieco po polsku. Studjował swego czasu w Londynie język rosyjski z nauczycielem Polakiem... i nauczył się po polsku. Poza tem kilku Włochów i kilku Francuzów zamieszkałych w Egipcie. Niemniej zaludniona klasa druga. Trzecia nie istnieje. Koszt podróży takiej jest dość znaczny, bo bilet z Marsylii do Sydneyu kosztuje od osoby 2000 fr. i daje prawo do ciasnej klatki, marnego wcale jedzenia i morskiej choroby, wedle życzenia. Wracając z Australji okrętem należącym do kompanji Orient Line, przekonałem się o wyższości tej pod każdym względem. Cena ta sama, jak i wielkość statku, lecz wygodniej, większy komfort i czystiej.

Pierwsze cztery dni podróży minęły bez głębszych wrażeń. Po największej części odsypiamy owe niedospane w Paryżu noce.

Lecz oto i Port Said.

Pierwsze zetknięcie ze Wschodem.

Pomnik Lesseps'a, kilka hoteli, nieco obdrapanych czerwono-żółtych budynków, składów jakichś, śmigła wieżycy latarni morskiej, woddali wiotka, strzelista iglica minaretu a nad wszystkim blask gorącego słońca.

Stajemy blisko brzegu.

Port zasiany wprost setkami łodzi i parowczyków, nieco w głębi drzemie kilka poważnych okrętów o różnorodnych, barwnych flagach.

W Europie cholera, więc napada nas żmudna wizyta lekarska. Z całą przyjemnością pokazujemy doktorowi języki. Trwa ta zemsta blisko godzinę a żółta

flaga zadżumionych wciąż trzepocze się na maszcie. Robią nam głupie trudności z wysiadaniem, bo na okręcie pono mamy chorego. Plotka rośnie i przeciągają się twarzyczki, zielenieją niektóre typy, opowiadając sobie niestychane brednie. Prawda tylko ta, że czynniki władcze naszego „Mooltana“ są nieco lekkomyślne. W Marsylii w przededniu naszego wyjazdu, było coś 200 domów zacholerzonych a tymczasem na okręt puszczono moc nowych podróżnych, nawet bez tego sakramentalnego języka. Więc co żyje, przysięga sobie i najniepotrzebniej drugim, że świeżo zabranej z Marsylii sałaty i owoców ani tknie.

Upiekło się tym razem.

Tymczasem otacza nasz okręt stado Arabów, Sudańczyków, zakazanych figur zbiegłych chyba z całej Afryki. Aż w głowie się mąci od tyłu czarnych dusz.

Na okręt jednak nie wpuszczają nikogo. Zaraza. Czekamy na jakiś urzędowy telegram z Aleksandrji, czyśmy właściwie zdrowi czy niezdrowi.

Ta cała horda oblegających nas na małych łódeczkach i statkach tak prze-
rażliwie wyje, że tworzy się zupełne piekło. Świecą białka niebieskie, warczą usta
mięsiste, błyskają olśniewające zęby, czarne chude ramiona wyciągnięte groźnie,

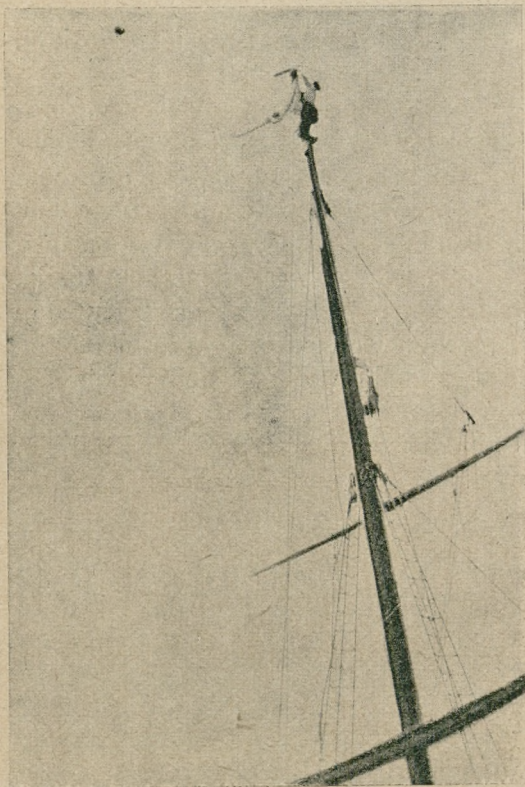
wiosła wiszą wojowniczo w powietrzu, zda się, że wybił nasz koniec. Mija chwila, wszystko to trwa dalej i nic się nie dzieje. To tylko wschodni sposób dobijania się o zarobek — jak mówi Sienkiewicz.

Jesteśmy zmaltretowani, ogłuszeni, ogłupiali...

Po drugiej stronie okrętu nieco przestronniej. Tutaj odbywają się przedstawienia. Jakiś golec godzinami babrze się w brudnej wodzie, wyławiając rzucane pieniądze, inny urządza idjotyczne magiczne sztuki, inny znów tajemniczo coś bełkocze, strojąc przynębiająco głupie miny. Słowem zebranina na całej linii.

Tymczasem niezliczone czarne mrowie, podpłynawszy na ciężkich kryptach, przylgnęło do żeber statku. Ładują węgiel.

Tysiące kosztów połyka rozdarty bok okrętu, a drobny pył unosi się chmurami i zalewa wszystko dokuczliwie. Nakształt mrówek, obładowani ciężarami płyną, pną się, skaczą, zwinni, półnadzy, swobodni, weseli, ukazując w szczerym uśmiechu szerokich mięsistych warg przedziwne białe zęby.



FLAGA ZADŻUMIONYCH NA „MOOLTANIE“

Stary Arab o twarzy wiedźmy a ruchach kota, zakutany w ohydny łachman popędza, nie żałując grubego sznura. Najczęściej bije powietrze. Wybucha raz po raz śmiech, pisk, wrzask, powódź jędrnych dźwięków.

Właściwie bat niepotrzebny, bo robotą aż kipi.

— Nigdzie tak sprawnie, prędko i dobrze nie pracują, jak tutaj — objaśnia inżynier okrętowy. Za to widocznie ich biją. Co kraj to obyczaj.

Nareszcie nadszedł niecierpliwie oczekiwany telegram. Stwierdzono urzędownie, że jesteście zdrowi. Chwała Ałlachowi.

W mgnieniu oka wpada na pokład cała ta horda golasów. Jedni wnoszą, inni wynoszą wory pocztowe, a jeszcze inni dobierają się do pakunków podróźnych.

Polecamy swe życie jakiejś skorupce, która z zawrotną szybkością wymijając nieprawdopodobnie zuchwale, dziesiątki innych łodzi, wyrzuca nas na ląd.

Chciałoby się kłać kapitana, doktorów, cholere. Zabrali nam tyle godzin cudnego czasu. Już zapada wieczór. Przed nami względnie długa ulica. Niskie domy, poobwieszane znakami handlowymi, świecą przepyszna jaskrawością bogactw Wschodu.

Więc pracowite makaty japońskie, perłowo inkrustowane parawany, lubieżne kimona, straszliwe smoki, gady złote, misterne rzeźby w kości słoniowej, zastawy starożytniej Satsumy, przezroczyste z porcelany chińskiej naczynka, figurki barwne, rzewne i śmieszne, szkatuły przedziwne z drzew santałowych, bogate hafty Egiptu, tace z Benares, wazy z Delhi, materje Kaszmiru, ciężkie woale złotem, srebrem tkane, świeczniki arabskie, lampy wykwintnych rysunków, dywany pracowite Persji, mocne meble Chin, — cały jarmark cudownego Wschodu.

Ze sklepów wypełzają upiorne typy kupców, opada gromada cierpliwych dragomanów, przekupniów hałaśliwych, natrętnych — bije w uszy mieszanina języków.

Opętany ruch i życie.

Na to wszystko patrzy wyniośle czarny jak djabeł policemen, w fezie na kudłatym łbie i z trzcina w czarnej łapie.

Nieco na prawo świecą wysokie domy, hotele, banki, wille, ogrody, czuwa latarnia morska, śmigła i lotna, w której szklannem oku przegląda się płomienne, zachodzące słońce.

Wytrwały dragoman wiedzie nas w dzielnicę arabską.

Domy, albo raczej psie budy, sklecone z trzciny i gliny, pełne łat i dziur, przerażają niesłychanem niechlujstwem. Od czasu do czasu zamajaczy murowany dom, odarty, zbryzgany błotem, pod którego filarami tłoczące się sklepy z żywno-



ŻYCIE NA „MOOLTANIE“ W PORT SAID

ścią, urągają higijenie. Tulą się do tych ścian ponętne stragany, pełne jarzyn i owoców. Gdzie niegdzie buchnie zapach zdechłych ryb lub smrodliwy wyziew alkoholu. Między gromadami jaskrawo ubranych istot, kręcą się opuszczone kozy i złośliwe kłapouchy. Zakwitnie gdzieś senny kształt zapowitej niewiasty, za tęskni monotony śpiew...

Duszno.

Jest zupełna noc.

W innej części miasta, daleko, przytulona do parkanu bez końca, wśród szczerzego zresztą pola, jaśnieje niezdrowo osada lepiarek czy bud tanecznych.

To dzielnica dziewcząt i tańców.

Gra muzyka, latarnie kolorowe łomocą się na wietrze. Pachnie ciało i nóż. Jaskrawo ubrana, ociążała branzoletami i naszyjnikami czarna dama, pięknie zaprasza w jakimś narzeczu do wnętrza budy piernikowej. Przez uchyloną kotarę widać żałosny pokój i olbrzymie opuszczone łóża. Arab zachwala. Jakiś drab o mordzie zbója przygląda się nam zuchwale. Pijana tłuszcza majtków, ze śpiewami i wrzaskiem przeciąga uliczką. Trzymamy rękę na browningu...

Znów wstępujemy pod dach wstrętne rozpustnego teatrzyku.

Otoczają nas bezczelne słowa, oczy zapite, oczy brutalne, szydercze... Zawodzi flet, zawadjacko huczy bęben...

Panie uciekają.

Tłum wesoły, gwarliwy płynie ulicami pełnego życia miasta. Sklepy całą noc otwarte, kawiarnie, hotele pełne. Ani śladu nigdzie odpoczynku po znojných godzinach pracy. Strumienie limonjady, whisky i szampana wszędzie. Są nawet

dwie autentyczne, paryskie kokoty.

Natarczywi przepuknie podle usługni krzątają się wśród tłumy gości. Tu zbiór marek, tam laski, tu widokówki nieprzyzwoite ale pokupne, tam papierosy przedniej jakości. Dragoman tłumaczy sentymentalnie, że miałby coś jeszcze tylko dla panów. Postanawiamy go obić... choć z żalem. Patrzy zachęcająco grzecznie w oczy, wysuwając wzdorliwie dolną, sinawą wargę.



PRZYSTAŃ PORT SAID

Oznacza to pewnie....
Pantoflarze.

Upał nie do zniesienia. Im więcej wody do wnętrza, tem więcej potu nazewnątrz.

Suniemy ospale ku przystani.

Na czarnej fali skrzą się tysiączne białe, czerwone, zielone migoty. Jakaś zwarjowana syrena basowo ryczy... raczkuje w ciemnościach potężny kadłub okrętu... słycać miarowy skrzyp żelaznych dźwigni, chrzęst łańcuchów, rozkazy donośne

i krótkie, mocne gwizdy... U boku naszego „Mooltana“ łodzie, jak pijawki przy cielsku potwora. — Życie wre w najlepsze. Przyjemna będzie noc.

Właściwie już dnieje.

Dopiero o 11-tej ruszyliśmy w pochód przez Kanał.

Mijamy pałac Kompanji Suezu o wyglądzie solidnego domu gry.

I oto Kanał.

Egiptski Ramzes, perski Darjusz, Napoleon zwracali w tę stronę swą myśl i projekta — lecz dopiął celu Lesseps. Zaczęto kopać w r. 1859 od strony morza Śródziemnego i kopano lat dziesięć. Przeszło 30.000 ludzi pracowało prawdziwie w pocie czoła, aby przekopać piaski na przestrzeni 160 klm, z czego 122 klm przypadło na koryto wykopane, a 38 klm na jeziora i cieśniny. Pięćset milionów franków, zebranych w połowie w Europie, a w połowie wyliczonych przez kedywa Egiptu, pochłonęło doniosłe dzieło. Dziś chłonie dalsze miliony. Jakkolwiek koszt przejazdu przez kanał jest olbrzymi (od zarejestrowanej tonny towarów płaci się 9 franków, a od każdego pasażera 10 franków w złocie, gotówką zgóry), zaczem i dochody Kompanji znaczne, to jednak dywidenda niezbyt obfita. Wielki ruch okrętowy mąci dno, zwolniona, ale niemniej istniejąca praca śrub wzburza piasek, wichry od pustyń nadbrzeżnych niosą tumany żwiru, przyplływ wody, wyrzucanej ku brzegom podczas przejazdów — wszystko to działa tak ujemnie na stan Kanału, że zmusza do nigdy nieustających poprawek i ulepszeń.

Płyniemy żółtym krokiem.



PAŁAC KOMPANJI „SUEZ“

Na wschodnim brzegu pustynia.

Zastygłe fale, wstrzymane nadprzyrodzoną mocą w swym ruchu, idą w nie-
skończoność. Wydmy okrągłe, fantastyczne wiszary, wąwozy smutne, ruiny jakichś
tytanicznych budowli, łagodne doliny — nie mają kresu. Cisza taka, że sły-
chać jak żwir o żwir się ociera, jak pręży się pod niemiłosiernymi promieniami słońca.

Smutek i martwota.

W jednym miejscu cudna przystań oazy.

Palmy samotnice, a u stóp ich kamienne domy. Ciągnie sznur kołyszających
się, objuczonych wielbłądów. Senne postacie Arabów, jak ciche duchy, snują się
ociężale wśród gorzących piasków. Suchotnicze liście rzucają mdły cień. Ludzie
w milczeniu patrzą na nas.

Stężało tu wszystko i głos i życie. Zdaje się, że niema tu dla namiętności
miejsca i zawiści wszelakiej, że ci, co tu żyją, muszą być cisi i smutni, jak ci, co
obcuja ze śmiercią.

Ospale zapada słońce. Pustynny piasek żarzy się teraz. Długie cienie wydm
tworzą trupie plamy.

Na brzegu zachodnim bujna roślinność zadziwia kontrastem. Toną w morzu
zieleni domy jakieś i zabudowania europejskie. W gajach cyprysowych, wśród po-
wodzi drzew bobrowych i gumowych kwitną wille bogate.

Dawniej i tu była pustynia. Wichry zachodnie pracowały niestrudzenie,
sypiąc całe góry piaskowe w wątle wody kanału. Zasadzono więc całe plantacje,
sady, ogrody, które obecnie zatrzymują impet wichrów i przecinają nawalnice pia-
sków. Tym brzegiem wije się linja kolejowa — a wschodnim, wciąż jeszcze starym
szlakiem, suną wielbłądy i karawany.



BRZEG WSCHODNI

Piasek trysnął szkarła-
tem, słońce długą płomienną
drożyną zakrawiło wody je-
ziora — i już noc.

Duszość i ciekawość
nie pozwala zmrużyć oka.
Mijamy parowce, dążące do
Europy. Wzajemne pozdra-
wiania i szczere okrzyki. Nasz
okręt, jako „Royal Mail“,
przechodzi pierwszy. Wymi-
jane okręty zatrzymują się
tuż przy brzegu, czekając
na nasz przejazd. Reflektor
umieszczony na czubie pa-
rowca, rzuca daleko mocne
błyski. Pustynia zmienia się
w śnieżne, lodowe pola.



WJAZD DO KANAŁU SUESKIEGO



BRZEG WSCHODNI KANAŁU

Jak w bajce...

Nad ranem mijamy Suez.

Ongi potężne miasto, zwane Arsinoe, obecnie żyje tylko kanałem, zepchnięte przez nowy Port Said na drugorzędne stanowisko. Około 2000 mieszkańców pławi się w słońcu, wśród piasków, gór skalistych i morza. Miasto właściwe leży nieco głębiej, bliżej martwego łańcucha gór zachodnich, zaś nad samym wjazdem do kanału rozpanoszył się wśród palm schludny Port Tewfik.

Zatrzymujemy się tutaj niecałą godzinę, aby załatwić jakieś kombinacje urzędowe i z feluki arabskiej, nabrać... sałaty.

I już w drogę.

Jesteśmy w coraz rozszerzającej się zatoce sueskiej. Po obu stronach widać brzegi. Na lewo bardziej majestatyczne góry przylądka Synaj. Przesłoneczne zarysy wierzchołków, poszarpane turnie, koronki przetęczy.

Gromadzą się na pokładzie niewyspani podróżni. Nerwowa Miss pyta z żywym niepokojem, którądy to przechodzili żydzi. Ktoś uprzejmy objaśnia, że już minęliśmy owe miejsce.

Był nawet kamień wmurowany w tem miejscu, naturalnie z napisem angielskim, ale dama przespała. Martwi się rzetelnie.

Zatoka rozszerza się w morze. Góry giną w poździe słonecznej. W powietrzu opalowy opar. Morze staje się omdłałe i bezsilne. Upał dokucza i wkrótce wygląd okrętu się zmienia. Przysta sztywność angielska. Mężczyźni porozbierani do koszul, dekoltują się zdrowo i zawijają rękawy po łokcie. Panie w przejrzystych, radosnych oku strojach, pod parasolkami, obstawione wodą kolońską, lodem, sokami, wachlarzami, na spotniałą twarz układają warstwy pudru. Jakaś banda angielskich warjatów organizuje krikietą. Zaledwie na przodzie okrętu można wyłowić lekki powiew. O miejsca te należy poważne toczyć walki. Zaczynamy rozmowę o biegunie północnym, to znów południowym, lecz i to wiele nie pomaga. Orgja palących promieni spada na nasze biedne głowy.

Morze Czerwone.

Powietrze suche, płuca i serce pracują nadmiernie. Zaczynają boleć oczy, a nosy oblażą ze skóry nieskromnie. Radby człowiek połknął całe to morze, niechby już słońce i brudne, lecz lekarz okrętowy nie pozwala. Straszy paraliżem kiszek, płuc, gardła. Poprosto pastwi się nad nami. W barze zapewniają, że łód wyszedł. Ohydnie wszyscy wokół kłamią. Zewsząd słycać wołania: lodu... lodu... Zaczyna mąż ten doktor, Irlandczyk, lecz w danej chwili nieznośny, zgoła grubjanin.

Kąpiel zimna nie istnieje wcale. Morze doszło do 30 stopni R.

Błądzimy zleniwiali, ospali, znużeni, źli.

Nie lepiej i w nocy. O spaniu w kabinach niema mowy, mimo pracujące elektryczne wachlarze. Rozkładają nam na pokładach materace — okręt robi wrażenie pływającego szpitala.

Dnie następne nie przynoszą ulgi. Owszem upał wzmaga się jak na złość. Nie zajmują nikogo rysujące się na widnokręgu brzegi dzięki Abisynji. Bezmyślnie

patrzymy na sterczące bezładnie skaliste wyspy Dwunastu Apostołów. Ustał wszelki powiew, ogarnia taki bezwład, że aż boli. Twarze mamy spalone, fioletowo-sine, oczy, jak kocie szparki.

To się nazywa przyjemna podróż.

Noc ostatnia była już straszną i wcale tragiczną.

Ludzie błędzili, nie mogąc wprost zmrzyć oka, jak widma, porozbierani zupełnie, narzekając, sapiąc, dusząc się, wzdychając.

Aż dnia czwartego od wyjazdu z Port Said, wynurzył się przed nami groźny łańcuch skał. Potężne piersi kolosów zamknęły drogę.

To Bab-el-Mandeb.

Rośnie upał z każdą godziną, a korona jego w bramach Adenu.

O Adenie można krótko powiedzieć, że żyje w ogniu jak salamandra.

Że to jest najgorętszy punkt na kuli ziemskiej zamieszkały przez człowieka, o tem wie każdy, ale że jest to cud zakątek — o tem nie może wiedzieć nikt, kto tam nie był.

Szafirowe i wiecznie niespokojne morze otacza groźnie spiętrzony, poszarpany dziko łańcuch skał półwyspu. Wszystko to otula bezobłoczne, białe niebo i niemiłosierny żar słońca, przepuszczającego swe promienie, jakby przez soczewkę, na ten jeden punkt.

„Mooltan“ zarzucił kotwicę dość daleko od brzegu, tuż obok parowca, mającego zabrać podróżnych do Bombaju.

Wnęć podpływają ciężkie krypy pełne węgla i stado małych łódeczek. Zmaga

się z gniewną falą ogromna liczba pięknych Somalów, Arabów, Gallasów w strojach więcej niż żadnych.

Jedziemy na ląd.

Fala krótka, niezmiernie przykra. Czujemy się nagle na tych bezczelnie małych łódkach opuszczeni i bardzo samotni. Wsiadamy z trudem w Steamer-Point, dzielnicy fortów, hoteli, konsulatów i domów europejskich. Właściwe miasto, starożytna oaza arabska, zwana Shaikh Othman, leży o 6 klm głębiej w kraterze wygasłych wulkanów, wśród prawdziwie dzikich skał, otoczonych martwą pustynią.

Ale trudno wierzyć, że tu mogli i mogą żyć ludzie. A jednak byli już Rzymianie, byli Portugalczycy,



W ADENSKIM KOTLE

teraz Anglik przystroił granie festonami murów szczerbatych, porozrzucił tu i tam hojnie zabawki ze spiżu, skierował wyloty tych figlików na miasto, port i pustynię i dźwiga kraj.

Bo właściwy rozkwit Adenu rozpoczął się dopiero od r. 1839. Zbiegło się zewsząd wiele narodu (do 50.000 dusz) — a więc: Abisyńczycy, Gallasowie, Somalowie, Hindusi, Arabowie i Żydzi, i wędrują w tym kotle. Tędy kieruje się cała produkcja Yemenu, a stacja węglowa i klucz Morza Czerwonego zapewniają znaczne korzyści.

I byłoby zupełnie dobrze, gdyby nie słońce i brak słodkiej wody. Przeciw słońcu jest parasol,

hełm korkowy, siedzenie w domu, a po pewnym czasie powrót do ojczystych stron z zarodkiem ciężkiej choroby. Na brak zaś wody radzi sobie chytry człowiek w ten sposób, że destyluje wodę morską i buduje olbrzymie cysterny, w których zapas zbierający się podczas burz wiosennych, starczy na czas dłuższy. Naturalnie, że za słodką wodę trzeba płacić słono i to zgóry.

W Steamer-Point nic wybitnego. Czysto i bardzo biało. Kilka domów, kościoł, hotele, sklepy przeważnie pełne strusich piór i broni, czy też ozdób abisyńskich, jakieś wielkie składy wojskowe i plac z nieodzownym pomnikiem Królowej Wiktorji, — zawsze i wszędzie wygodnie rozpartej na karle, zapewne ze względu na wiek i tuszę.

Jest tak uprzejmie ciepło, że nawet zgraja zupełnie nagich murzynków nie zebrze ani napastuje, lecz ciężko dysząc, leży zleniwiała na kamiennych, rozpalonych progach.

Temperatura przenosi 40 stopni R. Ale myśmy już przeszli szkołę morza Czerwonego, więc wytrzymujemy, łagodnie się uśmiechając.

Siadamy do lekkich powozików, zakrytych białą płachtą płótna. Z poza przełęczu górskich płynie wiatr pustynny. W chwilach takiego ataku ogarnia nas temperatura huty i żar poprostu niesłychany. Lekkie płócienne ubrania stają się pancierzem z rozpalonej stali.

Szeroka droga wije się między brzegiem morza, najeżonym wiszarami skalnymi a fantastyczną ścianą gór. Mijamy dwukołowe, niskie zaprzęgi wielbłądzie, osły juczne, zebu ciągnące wozy pokryte matami i pieszych tubylców. Prawie nadzy, smukłej budowy, lśnią połyskiem brązu. Kobiety od stóp do oczu zapowite w lekkie kolorowe materje, kołyszają się miękko na wdzięcznych biodrach.



ADEN

Droga białości rażącej wznosi się powoli, biegnąc tuż obok bardzo smutnego cementarzyska, skrętami śmiałymi coraz to wyżej, aż ku wykutej w skale bramie. Nad nami wiszą ponure mury i surowe strzelnice. Wpadamy szybko w krater wulkanu. Otwiera się szeroka kotlina, a w dole bieleje miasto. Zbite domy o płaskich lub kopulastych dachach, o szerokich podsieniach na arkadach opartych. Tu i ówdzie wieżycyca.

Patrzemy długą chwilę na objawiający się cud.

Szare, spopieliałe zbocze gór, odarte ze wszystkiego życia, kamienna masa olśniewająco białych domów, fioletowy ton powietrza, zdaje się czemś tak dalekim od rzeczywistości, tak nieprawdopodobnym, że dusza nie może objąć smętnego piękna, nie może dźwignąć się z jakiegoś odrętwienia.

Zamarłe, zastygłe przed wiekami, leży oto przed nami ciche miasto, skute mocą słoneczną, wyśniony sen pustyni, zaziemski świat...

Wokół kamienna pustynia. Ni trawy ni drzewa.

Zmęczone blaskiem oczy szukają odpoczynku. Daremnie. Wszystko raz i pożoga przytłacza. Jest strasznie, ale pięknie.

Wichrem mijamy miasto, spadając coraz niżej w dół.

Zbliża jest to miasto milczenia. Zamknięte domy, puste ulice, gdzie niegdzie tylko jakaś cicha postać, jakiś basen pełen wody, przy którym gwar wybucha.

Zatrzymujemy się przy cysternach. Dźwigać się trzeba ku górze, po schodach, po mostkach, aż do zamkniętej skałami kotlinki. Dzieło to bardzo doniosłe dla tutejszych mieszkańców. Studnie zbudowane z potwornych ciosów spojonych cementem, o kształcie przewróconego stożka, leżą jedna nad drugą coraz to wyżej, są ogromne i kończą się u stóp wzniosłej przełęczy. Idealnie — wśród dzikiego otoczenia z piętnem legend tajemniczego powstania, oblanego krwią setek niewolników, pod żarem tego zabijającego słońca, malowniczością pomysłu... są cudem świata, który dusza zdobywa chciwie i radaby zamknąć na długie lata.



„BRAMA“

Czas nagli. Chwila i jesteśmy za bramą cudu. Przed nami szafir morza najeżony rałami i długa wstęga gościńca. Radby człowiek przymknął oczy, aby nie ujrzeć nic, coby skazić mogło tamto wrażenie.

Nie trzeba.

Tu wszystko piękne. I ta głowa ciepłego wielbłąda i postać Arabki, której wiatr rozwiewając szaty, rysuje harmonję kształtów przedziwnych i doskonałych, i te oczy przepastne i ten śmiały tors Somala, pierś ze spiżu, połysk bronzu, muskuły ze stali.

A oto już chybka noc roztapia w siności Aden.

Tegoż wieczora po raz pierwszy od początku podróży, odczuwamy morze. Wpływamy w czteromiesięczne królestwo południowo-zachodniego musonu. Kołysanie wprawdzie znośne, bo boczne i leniwe, lecz dużo podróżnych gubi się po smrodliwych kabinach. Okręt trzeszczy aż miło. Raz po raz bałwan wali w prawy bok okrętu, który cierpliwie znosi te miarowe uderzenia. Od czasu do czasu jakaś śmielsza fala bluźnie na pokład — i ucieka, zapieniona, niepotrzebna

i śmieszna. Humory jednak są, bo wreszcie spadł z piersi ciężar morza Czerwonego. Cały dzień leżą wszyscy na leżakach, przywiązanych do żelaz, biegnących wzdłuż ścian kabin. Tu i tam jakiś złośliwy pan, chyłkiem skradając się przecina sznury i coraz to kto inny, jedzie wzdłuż pokładu wraz z ruchem okrętu, by wkońcu wywinąć kozła. Najgorzej na tem wychodzą panie, bo wiatr niezawsze skromny.

Tym musonem cieszymy się całych cztery dni.

Okręt walczy ciągle z kierunkiem, a skołatany mózg dopomina się wreszcie spokoju.

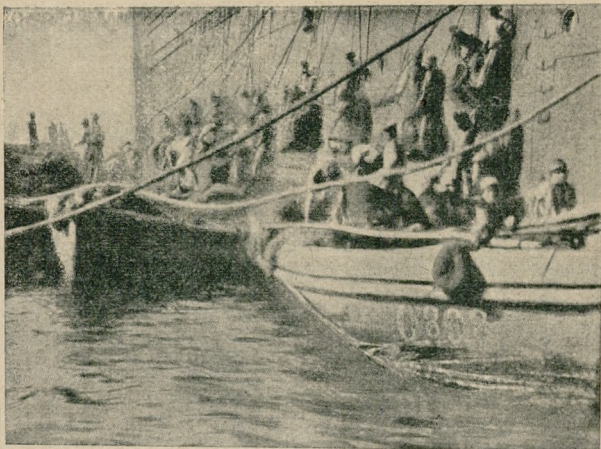
Więc z niewypowiedzianą radością witamy ciemny pas na widnokregu.

CEJLON.

Znaleźć się na Cejlonie, to znaczy stanąć u wrót „duszy świata“. Gwarliwy, udający wschodnie miasto Port Said lub groźny Aden, są niejako wstępem do tego, co ukaże nam Cejlon i Colombo.

Tu dopiero ogarnąć można prawdziwy Wschód i odczuć różnicę nie samej tylko barwy skóry. Bo Arab czy Sudańczyk znajdzie wszędzie pokrewny sobie typ, lecz Syngaleza czy Hindusa nie zna Europa. Wschód prócz swych materialnych bogactw i pod zmysły podpadających wrażeń, jest dla nas czemś tak dalekiem, tak karygodnie obojętnem, że bez żadnych dociekań jesteśmy przekonani o wyższości naszej pod każdym względem. Kwestja, kto w jakim kolorze skóry czuje się lepiej, jest przez nas raz na zawsze przesądzona. Czy wysssanie sił przyrody do wszelkich możliwych realnych celów, sztuczne i ociężałe budowle filozofów, zastąpią piękno i spokój duszy Wschodu? zastąpią czystość jej pożądań i poczynań? lub głębię i prostotę wiary i życia? Wszak nie Zachód dał światu Konfucjusza, Budę i Chrystusa...

Jesteśmy ogromnie podnieceni.



PRZYSTAŃ COLOMBO

Więc to jest ów piękny, dziwny Cejlon, kraina pereł i białych szafirów, kraina cudownych palm i roślin przerzadkich, dziwów przyrody, ojczyzna Weddów i Syngalezów.

„Mooltan“ wolno przeciska się przez wrota dwu potężnych łamaczy fal. Przystań wielka i przytulna. Biegną ku nam chyże parowczyki, ciężkie łodzie węglowe i małe „katamarany“. Niema wrzasków nienasyconych żebraków. Słychać tylko zawodzący, jednostajny rytm śpiewu Tamilów, ładujących węgiel.

Życie portowe i ruch taki sam jak wszędzie.

Jakieś małe formalności lekarsko-administracyjne i już zbiegamy po ruchomych schodkach do parowczyka. Morze lekko sfalowane, roześmiane przecudnie.

Na placu przed przystanią, kilka dwukołowych wozów obciążonych matami z zaprzęgiem zebu, nieco dalej pomnik Królowej Wiktorji... siedzącej, jakieś zwyczajne budynki. Stajemy w połodze słonecznej. Przed siłą światła trzeba zmrużyć oczy.

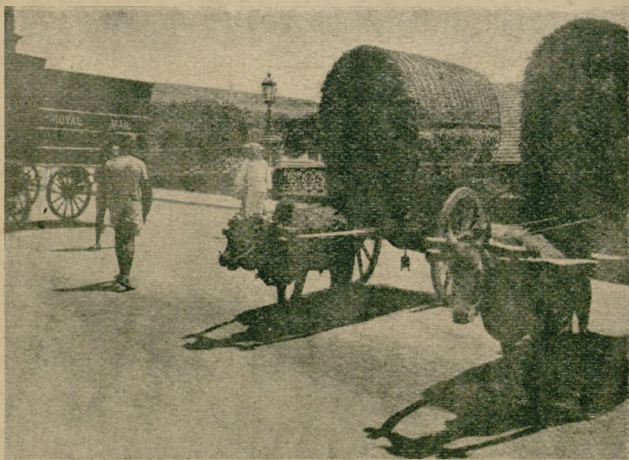
Cisza zupełna.

Nie napada nas nikt, nikt nie ofiarowuje usług, tylko ze zbitego stada rykszów, bronzowe, dwunożne rumaki wytrzeszczają ślepią, gotowe na każde skinienie.

Zamiast silnych, natychmiastowych wrażeń — zawód.

Zwyczajne miasto o prostych ulicach, szerokich i czystych, o czerwonych budynkach, tramwaju elektrycznym. Zrzadka, zasłonięci parasolami, tułają się w cieniu jacyś ludzie w spódnicach, dwukołowe ryksze przebiegają z tupotem bosych pięt, warczy hałaśliwie automobil, drzemie czarny policemen.

Colombo, duże miasto, jaskrawo rzucone nad dużym portem, liczy przeszło 200.000 mieszkańców (Cejlon zaś około 4 miliony). Wyspa słynąca bogactwami przechodziła ciekawe koleje. Rządzili królowie syngalescy, spadały ukoronowane głowy, utracane polityką kapłanów, byli w XV-tym wieku Chińczycy, w XVI-tym



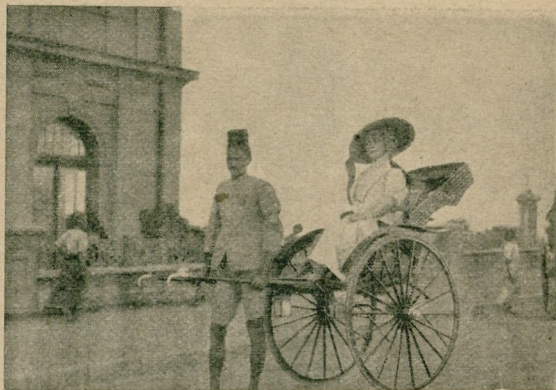
COLOMBO — „ZEBU“

Portugalczycy, Holendrzy, aż w roku 1796 zajęli Anglicy. Siedzibą dawnych królów (sześć wieków przed Chrystusem), było w górach położone miasto Kandy — święte miasto. Colombo zaś był to klucz wojenny, skąd szły rozkazy zdobywców. Colombo zostało i dziś czem było, a Kandy spadło do rzędu miejsc pielgrzymek.

Rdzeń mieszkańców wyspy stanowią Syngalezi, potomkowie tych, co w prastarych czasach zeszedli od Gangesu. Smukli, zręczni, mają ciało bu-

dowy kobiecej, a wrażenie potęguje jeszcze strój spódnicowy i długie czarne włosy, splecione w węzeł na tyle głowy, z wetkniętym grzebieniem szyldkretowym. Rysy ich twarzy nadzwyczaj regularne, przepyszna głębia oczu, prosty nos i zgrabne usta.

Rasę górali reprezentują Tamilowie, nędzarze pracujący w porcie i bogacze Kandy. Są dalej brodaci, energiczni i inteligentni Mormani, dumni z pochodzenia arabskiego i Weddowie (Beddah), żyjący na wschodnim pobrzeżu wśród niedo-



RYKSZA

stępnych dżungli, przedstawiający najbardziej ciekawy obraz pierwotnego człowieka. Są to potomkowie pierwotnych mieszkańców Cejlonu, którzy uciekli w lasy przed zdobywcami i żyją tam w stanie natury, bez własnych stałych siedzib, koczowniczo.

Ciemno bronzowi, małego wzrostu, odznaczają się nieproporcjonalną długością rąk i wielkim palcem u nogi, zwróconym na zewnątrz, jak u małp. Żyją rodzinami, w monogamji, uważając za najlepszy związek, związek między bratem a najmłodszą siostrą. Są uczciwi i spokojni. Z broni używają łuku i dzid. Z kultury nic zupełnie do nich nie przyłgnęło, owszem uciekają przed nią. Umysł to ma być tak prymitywny, że nie mają nawet religji. Liczyć nie umieją zupełnie. Język ich niewyroblony. Umarłych nie grzebią, lecz zostawiają trupa na pastwę zwierzętom, tam gdzie kto padł. Liczba ich dochodzi zaledwie do 2000.

Syngalezki i Tamilki są naprawdę płcią piękną. Lubią obwieszać się gałgankami i świecidełkami i mają zupełnie poprawne kształty.

Religią Cejlonu jest buddaizm.

Wedle wierzeń Budda-Guatama trzykrotnie odwiedzał wyspę, aby głosić swą naukę, a jego święte odbicie stopy czyli „Skri-pada“, znajduje się na szczycie góry Adama, zwanej przez krajowców Samanella. Tam ciągną niezliczone pielgrzymki. Muzułmanie cejlońscy twierdzą, że to nie stopa Buddy, lecz Adama, który, gdy go wyżeniono z raju, aż tu zawędrował i na tym szczycie stał tak długo na jednej nodze, aż Bóg mu winy przebaczył. Stąd ten znak, który faktycznie istnieje, tylko wedle pomiarów Davy'ego jest za duży, jak na ludzką stopę. Lecz któż dziś spierać się może o wielkość stopy prapradziadka? Do tego odbicia stopy przyznają się jeszcze i Chińczycy i Persowie, a Brahmini twierdzą, że to Siwa, Portugalczycy zaś znów mówią o św. Tomaszu.

Największą relikwią Buddystów jest Dalada, czyli święty ząb Guatamy w Kandy. Ludzie twierdzą, że ze świętego zęba już ani śladu, że wyrwali go cywilizatorzy wraz z innymi bogactwami świątyni. To, co tam jest obecnie, w tej srebrno-złotej, wysadzanej rubinami skrzyni, to kawał kości słoniowej, ostatecznie także ząb.

Głównem bogactwem Cejlonu jest herbata, kaczuk i perły. Poza tem ryż, cynamon, bawełna, kakao, oliwa kokosowa, tytoń, drzewa, skóry i kość słoniowa.

By pisać o roślinności, należałoby wdawać się w szczegóły i znać się na tem. Samych paproci, przewyższających człowieka wysokością ma być 270 gatunków. Są całe legjony odmian palm, są bambusy, draceny, drzewa kaczukowe, kakaowe, baobaby, drzewa goździkowe, muskatowe, cynamonowe, kamforowe, chlebowe, tamaryndy, hebany, rododendrony, magnolje, krzewy bananowe, cytrynowe, pomarańczowe, oliwkowe — skarby całej tej dobroczynnej siły słońca.

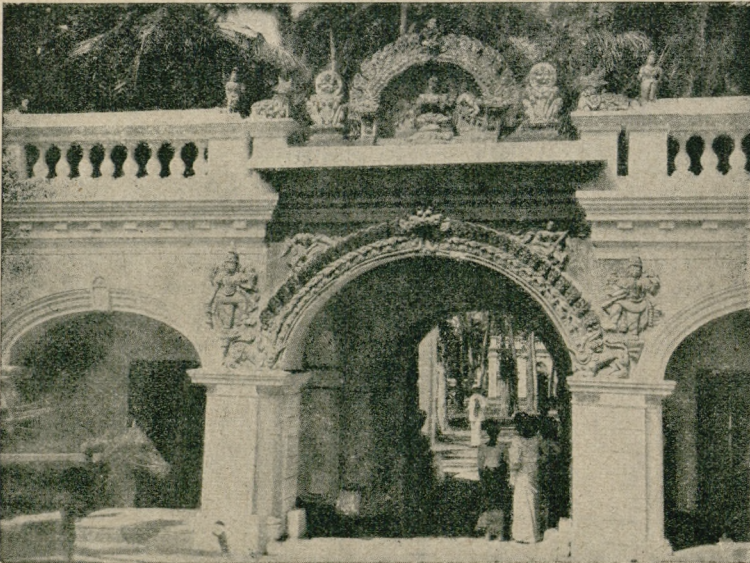
A w takich lasach żyje skromnie i po bożemu mała i dobrana gromadka. A więc: słoń, niedźwiedź, lampart, hiena, dziki kot, bawół, jeleń czerwony i nakrapiany, dzik indyjski, krokodyl, aligator, jaszczurka, python, okularnik, małpa i krząta się ptactwo przeróżne, jak orły, sępy, sowy, śnieguły, zimorodki, papugi, pawie, gołębie, jaskółki, wrony i olbrzymie nietoperze.

Słońce stoi wprost nad głowami, wobec czego trudno zapuszczać się pieszo na zwiedzanie miasta. Jedziemy autem do Mount-Lavinia.

Droga biegnie nad piaszczystym brzegiem morza, lecz już po chwili giniemy wśród zabudowań miasta. Nie jest to właściwie miasto, lecz dzielnica jakaś zakwitła pośród przebogatego parku. Wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z życiem, przylgnęło do tej długiej na kilka kilometrów ulicy.

Zaraz za domami pola, ogrody, lasy.

Ruch olbrzymi. Palmy rzucają ożywczy cień. Niema zgiełku ani tłoku. Środkiem ulicy przewala się tłum nadzwyczaj barwny i ochoczy: więc żółte, zie-



ŚWIĄTYNIA

lone, białe, czerwone zapaski Syngalezów, zawoje Mormanów, białe i niebieskie opończe Hindusów, to znów Heban nagiej piersi, chudych nóg, powłóczysta, żółta szata kapłana, a wśród tego tłumy szeregi zgrabnych rykszów, ładowne wozy, lekkie powoziki, bitykle, samochody.

A nad wszystkim dumnie pyszni się pa rasol.

Część drogi idziemy pieszo aż do pewnej świątyni, wtłocz-



MOUNT LAVINIA



COLOMBO

nej w ciżbę palm. Najeżona dziecinnie straszliwymi splotami węzłów i gadów brama wiedzie nas na obszerny, zielony dziedziniec. Garstka dzieciaków o białkach brązowych, ciekawie przygląda się naszym aparatom. Czmychają rychło i patrzają z poza węgła, topiąc paluchy w nosie zupełnie jak nasze najserdeczniejsze.

Wreszcie kończy się miasto.

Idziemy teraz bitą, czerwoną drożyną wśród lasu palmowego.

Panuje tu miły chłód i przyćmiony ton. Jest w tym lesie niesłychana rozrzutność natury. Śmigają wysoko bazaltowe kolumny pni, kryjąc w swych konarach ciężkie owoce, gładkie, kosmate, to znów owalne, krągłe, graniaste. Przez bogactwo liści nie przedziera się żaden promień słońca. Są wachlarze, są ostre dzidy, są strzępy potargane, podłużne, przewiewne, o brzegach miękko padających, strzeliste, zwinięte w rulony, rozpostarte jak kawał blachy, smętnie obwisłe, i dumnie strzelające, wyzębione, pierzaste, płaczące. Przytulone jedne do drugich, powiązane w zbity dach, mieszają się, tworząc kopułę mrocznych i tajemniczych podziemi.

Im głębiej idziemy, tem większy czar.

Wąska, ceglasta drożyna wije się pod górę pomiędzy krzewami bananów o liściach olbrzymich, przez skłębione masy gąszczów, chaszczów, pnączów powikłanych, żuwny wysokiej o liściach długich, koło olbrzymich, tysiącletnich, niezgrabnych, o stalowej barwie pni baobabów, wzdłuż drzew chlebowych, bambusów i dziko rosnących drzew kauczukowych.

Wierzyć się nie chce, że jesteśmy w naturalnym lesie — taka różnorodność drzew, krzewów na jednym miejscu.

W pewnej chwili oślepia biała ściana świątyni. Nie poetyczna, skromna kapliczka naszych lasów, lecz przepyszna, pełna rzeźbi kolumn niewielka budowla. Milczący kapłan wiedzie nas do półmrocznego przybytku. Z bogatego ołtarza patrzy przenikliwie, ogromny, czarny Budda. Na jakichś stołach płoną ofiarne świece. Kapłan tłumaczy historję Buddy, nieudolnie dość na ścianach wymalowaną. Potem podaje skarbonkę... i radzi iść w głąb, aby zobaczyć wieś.

Gdyby nie te strzeliste palmy, zdawałoby się mogło, że jesteśmy w naszej zapadłej wioszczynie. Nawet typowy przełaz. Przed nami kilka lepianek, poszytych



BUDDA WE WNETRZU ŚWIĄTYNI W LESIE

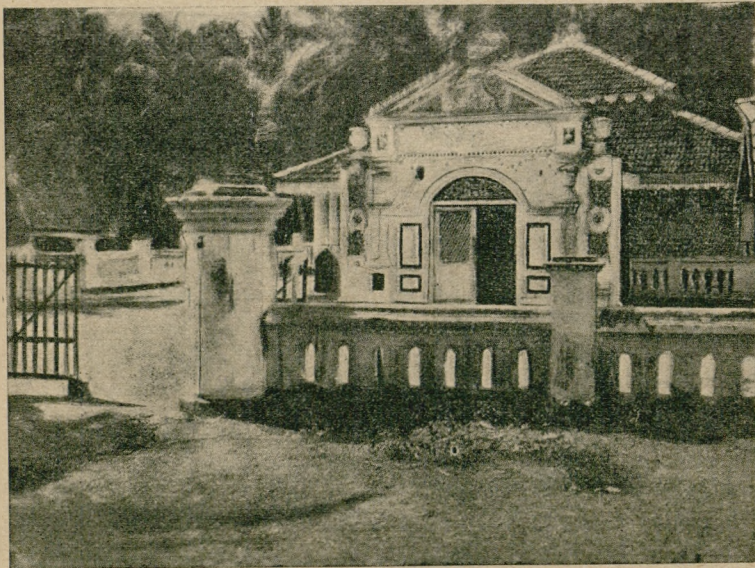
zwartą masą trzciny i liści o niskich drzwiach i oknach bez szyb. Wita nas podszczękiwaniem przyjacielski kundys. Dalej kupa śmieci, w których gospodarzą kury i senny kot. Tuż obok czarne dziewczęta, siedząc na ziemi, przebierają zwinnie wśród mnóstwa pałeczek z nawiniętą nicią. Puszczają je to w prawo to w lewo, wybierając jedno, porzucając drugie. Robią pracowite koronki. Jakiś czarny golec, zwinny jak małpa, zapomocą pętli pnie się po prostopadłej wieżycy palmy. Chłodzi nas mdłe, ale ożywcze mleko kokosowe. Nie mamy wcale ochoty wynosić się stąd. Jest cicho i dobrze. Rozmowa na migi nie męczy. Rozumieją nas, my ich. Czarne panie wdzięczą się, raz po raz kryjąc rozchichotane usta w dłoniach. Nie dowiemy się nigdy, co tam sobie o nas naopowiadały.

Jesteśmy w Mount-Lavinia.

Gdyby nie ten pretensjonalny hotel, zakątek byłby uroczy. Górzysty cypel wsunięty w morze, otoczony gęstym lasem palm. Nieco tu sztucznie. Naturalnie „Ceylon-tea“ z pierwszej ręki, koloru barszczu.

Morze sieje tysiącami kropeł, bijąc o skaliste brzegi. Słup wody ciśnięty siłą żywiołu na wysokość kilkudziesięciu metrów, wdziera się między złomy wyżartych kamieni, optukuje stopy wdzięcznych palm i ucieka.

Tu dowiadujemy się, że dziś właśnie o północy odbędzie się w Kandy „Perahara“, święta procesja z obnoszeniem zęba Buddy, istniejąca bez zmiany 2000 lat. Taka sposobność... Zobaczyć święte, białe słonie, kąpiące szkarłatem i złotem, ujrzyć potomków królów Kandy w ich fantastycznie bogatych strojach, fanatycznych kapłanów, święte tańce, tłumy wiernych... Szofer twierdzi, że dowiezie nas na czas — podróż koleją trwa 4 godziny — chyba, żeby pękły gumy lub coś takiego.



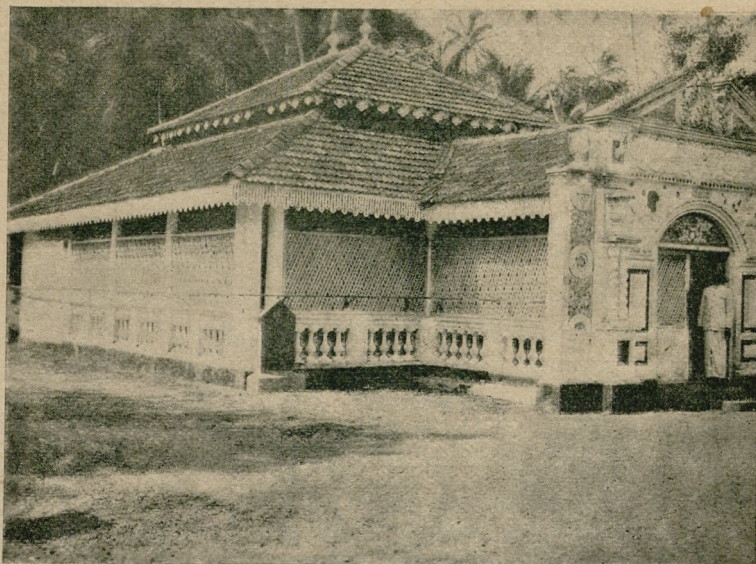
COLOMBÓ — ŚWIĄTYNIA W LESIE

Właśnie — coś takiego. Miła perspektywa zobaczyć odpływający okręt... z powracającego auta i nigdy już nie dogonić swego Mooltana.

Wracamy inną drogą. Wzdłuż pól wyścigowych, jeziora, nad którym gromady świętych, szanownych wron, żyją swobodnie i w poszanowaniu, dążymy ku miastu, by nieco oglądnąć sklepy.

Najpierw na targ owoców.

Przepych tu i bogactwo niestychane. Przewalają się olbrzymie kłosa bananów, złociste szorstkie ananasy, kosmate głowy kokosów, białych pomarańcz wory, kawony i melony o pastelowych barwach i ciemno-purpurowe owoce mangustanów. Jest to owoc drzewa *Carcinia mangifera*, o przedziwnym smaku wonnym i subtelnym, a nie nadającym się zupełnie do przewiezienia do Europy.



COLOMBO — ŚWIĄTYNIA W LESIE

Zakupujemy pełny wór tych smakołyków, wraz z lekcją jedzenia i pomykamy ku dzielnicy sklepów.

Stanowczo nie można twierdzić, że kupcy tutejsi (przeważnie Mormani) mają stałe ceny. Ale nie nabierają tak ohydnie i czelnie jak w Port Said.

W drogich kamieniach można nurzać palce. Białe i niebieskie szafiry, ametysty, rubiny, turmaliny, kocie oczy, szmaragdy, topazy, opale i moc, moc innego drobiazgu, leży jak groch w misach marmurowych. Drogocenne perły różnej wagi i wielkości, okazowe senną bledością, tęczowe, przyćmione, czarne, różowe, żółte tkwią w stalowych kasach.

Tuż obok sklep z „curiosity“. Głównie reprezentowane Indie i Japonja. Naogół japońska sztuka bije indyjską na wielką metę. Hafty indyjskie, brzozy Benares, wazy Delhi nie stoją w żadnym stosunku do podobnych japońskich. Sam Cejlon nie produkuje nic godnego uwagi artysty. Cejlończycy nie siłą się nawet na rozbudzenie tej gałęzi sztuki, gdyż niektóre przedmioty charakterystyczne wyspy, jak słonie lub kobry z brzozy czy kości słoniowej lub co piękniejsze z hebanu, są wyrabiane w Japonji. O ile rzeźba, malarstwo, sztuka stosowana stoją w surowym zarodku, o tyle budownictwo przepojone fantazją iście wschodnią, wysokim zmysłem artystycznym, poezją i harmonją.

Tymczasem zapada wieczór.

Czas na zwiedzanie dzielnicy krajowców Pettah.

Droga dość daleka, lecz niestrudzone ryksze żwawo pędzą. Ma w sobie taka podróż wiele oryginalności, lecz nieco mniej wygody, przytem spotniali czarni wydają brzydki odór.

Wpadamy w zupełnie inny świat. Ulice wąskie, niskie domy, przeważnie z kamienia, z głęboką podsienią, pokryte dachówką. W tych domach brak właściwie ścian od strony ulicy.

To dzielnica sklepów. Malowniczy, ubogi bezład. Materje wzorzyste, jedwabie, naczynia przeróżne, parasole, maty, dzbany, owoce, wachlarze, treпки, koronki, świecideła, posągi Buddy, słowem, czego dusza zapragnie. Środkiem ulicy przeciągają melancholijne zębu, mkną ryksze, kołyszają się wdzięczne dziewczęta z dzbanami na kształtnych głowach, pękate wiadra dźwiga wyschły starzec, tłumna dzieciarnia oblega roznosicielei owoców i przeróżnych słodczy kolorowych. Kipi życie, wartko toczy się pracowita godzina wieczorna.

My nie obchodzimy ich wcale. Nikt nie zebrze, nie napastuje, nie skomli. W pewnym sklepie uśmiechnięty Syngalez, nie oszukuje, nie maltretuje, nie narzuca się, lecz daje skromne odpowiedzi na chaotyczne pytania. Tu nerwowiec europejski nie może unieść się, ani zniecierpliwic.

Ciekawi ludzie. Nie gardzą wiedzą ani wynalazkami Zachodu. Co dobre i pożyteczne to biorą, co zgniłe i nie dla nich — odrzucają. A cechuje ich równowaga, godność i wyrozumiałość. Europę można zjeździć i nie spotkać tak miłego policjanta. A taki urzędnik pocztowy... Choć czarny, jest urodzonym wersalczykiem. Wybitne przeciwieństwo swego kolegi z Zachodu. Tkwi w nich wszystkich cień pogardy dla nas. Gdybym się mylił, to byłoby ich zachowanie, wpływem służalstwa, bojaźni lub bezmyślności. A to wykluczam.

Dochodziła ósma, gdyśmy stanęli przed świątynią Hindu.

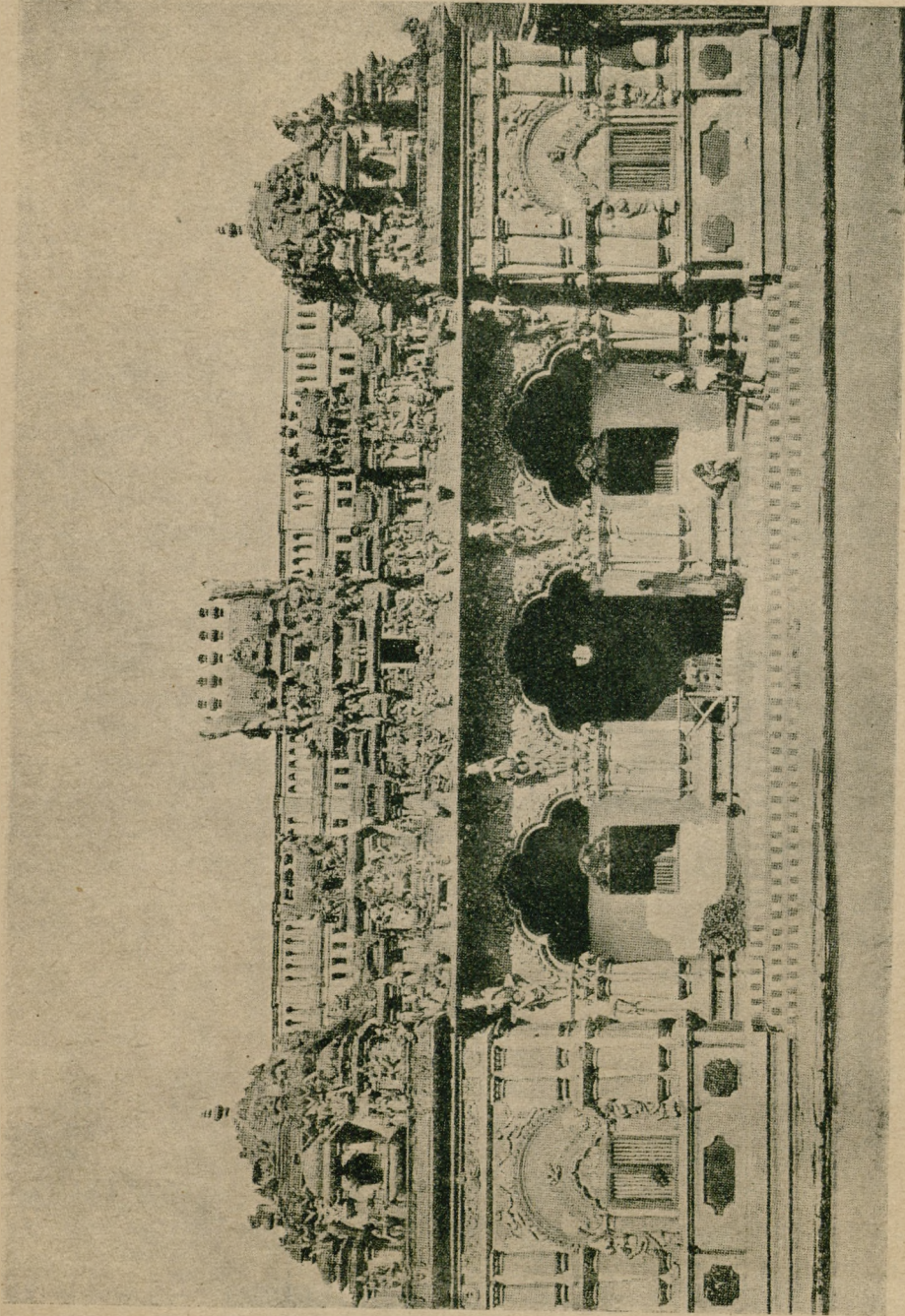
Przepyszna fasada, pełna rzeźb, kolumn, koronek. Wśród dziwolągów o kształ-



COLOMBO — ŚWIĄTYNIA W DZIELNICY KRAJOWCÓW

tach mistycznych, wiją się w różnych pozach ciała ludzkie. Karjatydy dźwigają na karkach potężne tły słoni. Z rozmachem rzucone wyobrażenia Buddy, wymierzają jakieś kary, gromią, przebaczą, troszczą się... We wnękach czai się już noc, potęgując grozę splełanych zmor, przysadkowatych kopuł górnej kolumnady.

Druga świątynia, której nazwy nie znam, roztopia się



COLOMBO -- ŚWIĄTYNIA HINDU W "PETTAH"

w pełnym fiolecie. Na ciemnym tle drzew, wy-
bują biały, stożkowaty,
olbrzymi dzwon. Tuż
przy nim dwu siedzą-
cych ludzi zastygło
w niemej modlitwie. Na-
okół cisza. Zda się,
że za chwilę wypląną
z dzwonu długie koro-
wody kapłanów, powa-
żnych białych słoni
i spełni się jakaś ta-
jemnica potężnej wiary.

Wieczór spędza-
my w teatrze jedynym
w swoim rodzaju. O-
gromna buda z blachy
mieści wiele setek osób.

Ani jednej kobiety. Nasze wtargnięcie hałaśliwe nie sprawia na nikim wrażenia, mimo obecności pań. Jak okiem sięgnąć, aż pod powagę, czarne oczy, czekoladowe twarze, brązowe ręce, białe togi.

Dają straszny dramat.

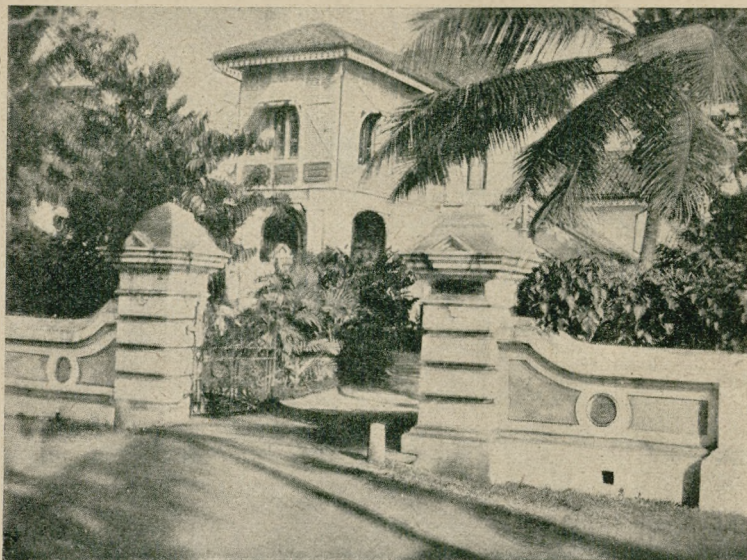
Scena przyzwoita, dekoracje niestety europejskie. Dramat jest bardzo smutny. Tak objaśnia nas, wcale gładką angielszczyzną, nasz sąsiad, tęgi Syngalez, sądząc po stroju — pan całą gębą, sądząc po brzuchu — bogaty, sądząc po mowie — wpły-
wowy i poważny. Prosi nas, byśmy jeszcze jutro tu przyszli, to poleci specjalnie dla nas dać inną charakterystyczną sztukę. Żalujemy.

Na scenie coś się dzieje. Niema w sztuce ani jednego zabójstwa, ani jednego syngaleskiego harakiri. Tylko wszyscy się martwią. I my także. Lecz oto chwilowa zmiana. Wpada na scenę znakomicie ucharakteryzowany aktor i spełnia zadania komika. Sala zanosi się od śmiechu i oklasków. Lecz inni aktorzy zazdrośni (co u aktorów takie rzadkie) wyrzucają poprostu śmieszka za kulisy i znów smućą się i martwią. Smuci się także i martwi i płacze jedyna kobieta-aktorka, a wszyscy ciągle się przebierają. Są i śpiewy smutne i muzyka smutna. Orkiestra, umieszczona na scenie, składa się z dużego bębna, pokrytego skórą, z małych bębenków, które skrobią palcami, z cymbałów (na pudle z drzewa ładnie ornamento-
wanem przeciągniętych 15 strun), z jakiejś jakby gitary, gongi o różnych tonach i z czegoś jak skrzypce czy viola o 2 strunach.

Ów sąsiad uprzejmy raz po raz wyraża żal, że nic nie rozumiemy.

Noc zupełna.

Ulice pozbawione jaskrawego słońca i pstrego tłumy — smutne. Na środ-



COLOMBO — ANGIELSKI „HOME“

kach ulic, na chodnikach, w podsieniach śpią ludzie. Wygląda to tak, jakby nad miastem przeszła zaraza. Gdzie kto stał, tam padł.

Idziemy ku przystani. Wtem... fortepian... walc z Wesolej Wdówki... W otwartej bramie jakieś damy w balowych sukniach i najczystsza mowa niemiecka. To jest tak zwany szczerp kultury europejskiej, małe ustępstwo na rzecz białego. O kilka kroków dalej, czarny pan zaprasza na tańce Tamilek. Młode, drobne małpiątka tańczyć nie umieją, są bardzo biedne i ...nie pachną. Prosiły o szklankę piwa. I znów wypływa jakiś czarny pan czy drab, zapraszając na „very interesting spectacle“ z osłem. Wysyłamy go wraz z namiętym osłem do diabła.

Dość takiego Wschodu.

W hotelu Gale Face, eleganckie tłumy we frakach i smokach. Szampan perli się i zachęca do lekkomyślności.

My w płóciennych kitlach i hełmach, zasmarowani owym różowym pyłem, wyglądamy bardzo shocking. Mimo jaskrawego naruszenia zasad, że jak się nie jest we fraku, to nie powinno się jadać obiadu, połykamy przeróżne kraby, krokodyły, słonie, nietoperze...

Jakiś wychudzony fakir, siedząc na podłodze, wpatruje się mętnym wzrokiem w rozgniewanego okularnika, a drugi przygrywa mu na dętym instrumencie, jakby na długiej fujarce. Na kolanach strojnej damy, najeża się śmieszny mopsik... syczą elektryczne wachlarze, trawiąca Anglja pyka z fajeczek i milczy. Ktoś wchodzi... to znów ktoś wychodzi... ogarnia grzeczna senność... kobra okręca się naokoło szyi Hindusa... przez duże, szerokie okna, płynie od morza ciepły wiew... zaglądnij wielkie, twarde liście palmowe...

Nazajutrz ruszyliśmy ku Australji.

Rozpoczynamy najuciążliwszą część drogi. Przed nami bezmiar wód Oceanu Indyjskiego, dziesięć dni beznadziejnej chwiejby. Tu już natura nie współdziała, prócz ogromu wody nie stworzyła nic. A te masy ciemnych odmętów, dniem i nocą jednostajnie przewalających się, te hulanki wichrów, brak wszelkiej styczności ze światem, zaczynają rozprężyć nerwy.

Nieznane sploty gwiazd z tajemniczym Krzyżem Południa na czele, są światem obcym, w którym oko błądzi ciekawie, ale z trudem.

Zaraz za Cejlonem zaskoczyła nas wspaniała burza. Zagarnął nas w swe koło cyklon, rzadki o tej porze i w tych stronach.

Zaczęło się deszczem.

Czarna masa chmur wyładowała krople tak ciężkie, że potworzyły się z wody postronki. I nagle dopadł wiatr. W mgnieniu oka zmącił bałwany i począł hulać.

Rozpętał się żywioł.

Oszalałe wody, w ataku wściekłym skłębione, poczęły się brać za bary. ściierać, miotać i burzyć pod nieustającymi ciosami huraganu. Pogmatwane fale tylne, boczne, przednie, tworzyły bezładne, zawrotne koliska i spienione wiry. Bryzgi strzeliste pian, szły ku górze, jak alabastrowe kolumny i szarpnięte nagle zaciekłym

zębem wichury, padały jak kłosy podcięte. Wstawały nagle jakieś potworne wachlarze, jedne ponad drugie, siejąc ziarna słonego pyłu. Wydymały się góry wodne i biorąc na swój kulisty, kosmaty grzbiet, na zjeżone, białe grzywy, statek, ciskały nim w przepaście z głupią wściekłością, aby zmiążdżyć, rozbić, zalać. Strumienie wód łączyły niebo z morzem w jedną mętną masę.

A wicher dął zapamiętale.

Zbierał się do skoku i przypadał. Wyjąc, gwizdząc, zawodząc, plątał liny, maszty, reje, szczękał łańcuchami, dzwonił po kominach, pędząc przed sobą całe tumany wód. Już nie można było rozeznaczyć, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy morze. Białe i czarne kłęby wody, szły zewsząd na bój, na zwycięstwo, świadome potęgi swego żywiołu.

Statek tańczył jak potępieniec.

Bezsilne śruby miotały się, prując już nie wody ale powietrze.

Stała się taka ciemna noc, że prócz brudnych zasłon wody nie widzieliśmy nic. Szum przewalających się odmętów, ryk wichru, syk zalewających pokłady rzek, trzask wiązań, bolesne drżenia śruby, głuchy łoskot ludzi pędzących po pomostach, ostre gwizdy komendy, nieobliczalne skoki parowca — wszystko to zlewało się w tak piekielny chaos, w tak przeraźliwy obraz, że czekaliśmy nieuniknionego końca. Jeszcze jeden cios, a z parowca pozostaną drzazgi, jeszcze jedna fala, a będzie dla rekinów bal.

Ale gdzie tam... Parowiec pokładał się jakby w paroksyzmie śmiechu, figlarne i zgoła nieoczekiwane wyprawując skoki. Zbity, ociekający wodą, niestrudzenie przemykał wązozami, spadał kulą w przepaście, jednym rzutem wjeżdżał na szczyty, targany za czub wichurą, nurzał kadłub w najbardziej spienione kłęby, kładł się, stawał dęba, przewracał, skarżył, jęczał — ale się nie dał.

Dnia następnego morze było jeszcze niespokojne i wiatr ponawiał swe ataki, ale najgorsze minęło.

Tej nocy przepłynęliśmy równik.

Na okrętach angielskich niema żadnych z tego powodu zabaw i uroczystości. Nieco suchotniczych żartów, na temat drutu, czerwonej kresy... i już jesteśmy na południowej półkuli.

Księżyc stał w pełni nad głowami, a wokół niego, potwornych rozmiarów, wyraźny cień. Było to zjawisko piękne i pełne tajemniczości, lecz nikt nie potrafił objaśnić, skąd się wzięło.

Nietylko noce ale i dnie stały się chłodne. Idziemy ku zimie. Załoga, a za nią podróżni w zimowych ubraniach, na wieczory nie zawadziłyby i dacha.

Przeptywamy, woddali nie widząc nic, rafy koralowe Cocos, na których prócz 6000 krajowców tkwi kilkunastu Anglików, urzędników Stacji telegrafu iskrowego. Ma tam być klimat tak malaryczny, że co dwa lata ich zmieniają. Dowóz poczty i żywności odbywa się raz na miesiąc. Wcale wesoło. Nasz Marconi rozmawia z nimi, wysyłając iskry trzaskające z wiadomościami ze świata.

Nie spotykamy więcej nic.

Dwie szanowne, święte wrony, które nieopatrznie oddaliły się na naszym okręcie z Colombo, odlatują w stronę wyspy. Co za przepyszny instynkt.

Zabawą — obserwacja latających rybek, które stadami podrywają się z pod okrętu. Świecąc, jak srebrne płomyki, unoszą się tuż nad falą kilkanaście metrów i zapadają w morze. Czasem gromada delfinów towarzyszy nam, skrzętnie wyławiając przeróżne odpadki, wyrzucane przez kuchenne okna... i przytłaczający nieskończonością bezmiar.

Dawniej płynęło się do Australji żaglowcami naokoło Afryki. Trwała taka podróż, przy sprzyjających okolicznościach, 6 do 7 miesięcy. Cuda opowiadał nam o takiej wyprawie, zamieszkały w Melburnie, żołnierz z pod Bema, p. Boberski. Po katastrofie 48 r. wyemigrował do Australji, a po amnestji wracał na lat kilka do kraju, by dzieciom pokazać Kraków i Lwów, a wracał przez Ziemię Ognistą, bo tamtędy idą pomyślne wiatry. Na Oceanie Spokojnym wybuchł na żaglowcu pożar. Wtedy — mówił — zdawało się nam, że koniec nasz. Dniem pompowaliśmy wodę do wnętrza statku, gdzie tlił ogień, a nocą, gdy okręt za wiele już się opił, wypompowaliśmy. Wtedy znów wzmagał się ogień, więc znowu praca przy pompach... i tak aż do Chile. Tam naprawiało się okręt przez 5 miesięcy, a do Anglji dotarliśmy po 11-tu miesiącach podróży...

A nam obecna 35-dniowa podróż na wytwornym parowcu, wśród wygody, złocień, tańców, zabaw, muzyki, gier, pijatyki i uczucia bezpieczeństwa, wydaje się czemś wielkiem.

Dnie płynęły jeden drugiemu podobny, wolno i leniwie. Wszystko, co kto komu miał powiedzieć, już dawno powiedział, co było do obejrzenia, obejrzał. Zaczęła się ogólna ociężałość i ospałość.

Wreszcie dnia 15 sierpnia ujrzeliśmy strome brzegi AUSTRALJI.

Tak się to mówi „stromie“ dla wrażenia, bo właściwie w tem miejscu, są one płaskie i piaszczyste.

Wizyta lekarska nie zajmuje wiele czasu, prosta formalność. Zaczynamy powolnie a mozolnie wkraczać w przystań, przy pomocy szerokobarczystego pilota. Wszystkie nadbrzeżne miasta Australji mają przystanie tak głębokie, że największe nawet parowce, zawijają do samego brzegu. Kto podróżował morzem, ten zrozumie co to znaczy, tak prosto z okrętu, po bezpiecznym pomoście zejść na ląd, a nie kołysać się małemi stateczkami po najczęściej złem, przybrzeżnem morzu.

Jesteśmy więc w Australji.

Wszystko jedno co to za miasto, lecz nareszcie pod nogami ląd, ląd po 10-ciu dniach beznadziejnej chwiejby. Opuszczamy naszą „kołyskę“ z ulgą i dziecinną radością.

Fremantle. Ani to miasto, ani miasteczko. Kilka prostych, dobrze brukowanych ulic, rozpalonych pożogą słoneczną, gromadka niskich, skupionych, bezładnych domów z podsieniami, terasami, werandami. Mieszanina cegły, kamienia i żelaza, i ta na pokrycie dachów, falowana, barwna blacha, rozpanoszona w całej Australji.

Celem naszym PERTH, stolica Stanu Australji Zachodniej, oddalona 12 mil ang. od Fremantle. Dobić do niej można koleją lub motorówką, przez rzekę Łabędzią (Svan river). Wybieramy naturalnie przeprawę wodą. Poprostu z przyzwyczajenia. Kolej wydaje nam się jakimś niepewnym, obcym środkiem komunikacji.

Przepyszna, szeroka rzeka o brzegach lekko falistych, pokrytych lasami gęstej masy eukaliptusów. Łódź śpieszy wesoło, wymijając wyniosłe, czarne łabędzie i samotne, zadumane pelikany. Powietrze przedziwnie czyste.

Seledynowo-niebieski ton światła uderza nowością, drażni... Tuż przed nami owe nadbrzeżne lasy, a zdają się oku obcemu dziwnie odległe. W niebieskich oponach stoją drzewa, wzgórza jakby przestępcznione mgłą, której jednak niema.

Więc to jest Australja.

Owa Australja, o której tyle sprzecznych zdań. Trzeba chwycić każde wrażenie, a z rudy tej urabiać sąd. I dziś po tylu latach wyrobił się i uzasadnił pogląd wprost sprzeczny temu, z którym jechałem. Jednem krótkim słowem, chciałbym się wypowiedzieć. Niechże więc idzie to świadome, przedumane: — Szczęśliwi, co tam żyją.

Myśl wraca uporczywie do tej najmniejszej części świata, do tych czystych, smętnych krajobrazów, do tych ludzi pełnych wdzięku, gościnności, słodyczy i prostoty, do tego kraju ciszy, spokoju i zadowolenia, do tych miast malowniczych, pełnych życia i nerwu...

Oto przed nami jedno z nich. Perth, najmniejsza stolica (60.000 mieszkańców) największego obszaru Stanu Australji (975.920 mil. kw.), rozłożona z fantazją nad rzeką Łabędzią, rozlaną w tem miejscu w wielkie łagodne jezioro.

Ulice szerokie, poprzerywane tramwajami i jakby powiązane w górze setkami przewodów, drutów na grubych drewnianych palach. Mieszanie stylów Ameryki i Anglii gdzie niegdzie ułagodzi oko wstydlivy renesans, w którym się lubują. Trochę to wszystko pstre i ciężkie. Obok małego domku pokrytego falistą blachą, dwupiętrowy z kamienia w pasy czerwono-żółte, obok spokojnego w koszarowym stylu, jakiś dziwoląg przystrojony wieżami, wieżyczkami nieprawdopodobnych rozmiarów. Jakiś niepokojący bezład. Ale czy to tak tylko w Australji?



PERTH

Jasne jest, że miasto do pewnego dnia rośnie powoli spokojnie i gnuśnie, aż nagle poczęło podnosić się, rozwijać, nie mogąc uporządkować się odrazu i nabrać powagi. Tak też i było.

Przed laty kraj opuszczony, przepalony słońcem, gdzie mała garstka deportowanych, żyjąc, jak na wyspie od świata odciętej, wśród pustyni bez wody, wznosiła miasto, które w przyszłości nie miało żadnych widoków i właściwie niewiadomo, poci i dla kogo powstało. Tak trwało aż do r. 1893. W tym roku awanturniczy górnik Paddy Hannan, znalazł w piaskach pustyni (tam gdzie dziś miasto Kalgoorlie) złoto. A było go tyle, że w jednym dniu stał się bogaczem. Gruchnęła wieść i zewsząd zbiegli się ludzie. Odtąd zaczyna się rozwój Australji Zachodniej. Pola złota okazały się wprost niewyczerpane i niestrudzone. Stanęły środowiska górnicze, jak Kalgoorlie, Boulder, Coolgardie, Kanowna, gdzie w minach pracuje przeszło 8000 ludzi. Dotychczas wydobyto złota za 1.125.000.000 fr., z czego 400.000.000 użyto na zapłacenie dywidendy. O rozmiarach przedsiębiorstwa niech mówi przykładowa cyfra, że na same pensje robotniczo-urzędnicze wydają miesięcznie dwa i pół miliona franków.

Powstały miasta bogate, pełne okazałych gmachów, teatrów, parków. W całym tym górniczym rejonie sławą największego miasta cieszy się Kalgoorlie z 30.000 mieszkańców. Środowiskiem życia dziennego są kopalnie i budynki fabryczne. Wokoło nich wyrosło miasto, otulone niesłychaną mgłą kurzu i piasku pustynnego. Po upalnych, pracowitych dniach, wszystko co żyje, wypełza wieczorami na główne ulice, pełne klombów, skwerów, parków sztucznie założonych i utrzymanych.



OGRÓD BOTANICZNY W PERTH

Było złoto, bogactwo niepomierne, ale nie było wody. Woda, która tam istniała, była czterokrotnie bardziej słona od oceanicznej. Lecz w Australji, wedle ich własnego wyrażenia — wszystko możliwe. Jest pieniądz, to jest i woda.

Wybudowanogigantyczny wodociąg, który aż z Perth 600 klm odległego sprowadza wodę. Całe studjum możnaby napisać o rozmiarach tych rezerwo-

arów, o rurach, przewodach, maszynach. Koszt stosunkowo, jeśli weźmiemy pod uwagę brak sił roboczych w Australji, niewielki, bo tylko 75 milionów franków. Wszystkie rezerwoary, a jest ich coś siedm, dostarczają rocznie cztery miljardy litrów wody.

W ślad za odkryciem złota Stan dotychczas cichy, opuszczony, zaczął się rozrastać, nabierać lepszych manier.

Pustynie zamieniono w urodzajne pola, kanały irygacyjne przeryniają kraj, koleje pną się przez pasma gór i toną wśród szalonych piasków. Głównie zagospodarowany południowy szmat kraju. Bo północna część, jak dotąd, pozostała opuszczona i tajemnicza. Plaga słońca, much, piasków nie daje podniety do zaludnienia niegościnnych przestrzeni. Trzeba czekać na szczęśliwe odkrycie złota. Da wtedy Australja radę i tym pustyniom — lecz na razie tam milczenie, cisza i groza śmierci, a Europejczyk w tych stronach czuje się dziwnie opuszczony i sentymentalny.

Cały swój wysiłek ekonomiczny kieruje Stan ku południowi i południowemu zachodowi. Tam lasy wspaniałe, klimat znośny, wody poddostatkiem, tam przyszłość rolnictwa, choć ziemia niezbyt bogata.

Celem ściągnięcia kolonistów Stan daje ochotnym subwencje na przejazd z Europy, by przeszkodzić zaś tworzeniu się wielkiej własności, nie wolno jednemu osobnikowi, nabyć więcej jak 800 ha. ziemi (żona może nabyć ponadto 400 ha.). Płaci się coś około dwa i pół szylinga za hektar. Są pewne obciążenia, są zupełne ułatwienia w spłatach, ale ciekawych odsyłam do tych map, książeczek, programów, anonsów, reklam, któremi zarzucają wprost podróźnych. Są to książeczki, bardzo ładnie wydane, zdobne ilustracjami, pełne zachęty i nieumiarkowanej przesady.

Jeżeli zaś nowoprzybytemu brak gotówki, to Banki rolnicze (Instytucja oficjalna Stanu Australji Zachodniej) pożyczą do 12.000 fr. na kupno ziemi, wodę i użyźnianie, do 3.000 fr. znów na zakup maszyn rolniczych i bydła. Zwrot odbywa się w ten sposób, że przez pierwszych lat 5 płaci dłużnik tylko 5%, po pięciu zaś latach zwracać zaczyna pożyczkę w 50 ratach, rozdzielonych na 25 lat.

Nie jest-że to idealny Stan?

Prócz rolnictwa rozwija się tu i ogrodnictwo i pasterstwo. Na pastwisko wolno wydzierżawić najmniej 1200 ha. za opłatą roczną 84 fr. W okolicach zaś bardziej na wschód położonych, można wydzierżawić najmniej 8.000 ha. za czynszem rocznym niecałych 7 fr. od 400 ha. Przeszkodą do rozwoju rolnictwa są olbrzymie lasy eukaliptusowe (Yarrah-Yarrah), które osadnicy karczują w ten sposób, że nacinają na drzewach głębokie pierścienie (ring-barking). Tak okaleczone drzewo wkrótce ginie.

Lecz to wszystko, choć kierowane z tego oto pałacu, pod którym przejeżdżamy, odnosi się do dalekich stąd, odległych stron. Mknie samochód ulicami białymi, ku zachodniej stronie miasta do King parku.

Dumą Australji są jej parki, ogrody botaniczne i zoologiczne. Niestychane przestrzenie pełne poezji, wykwintu, pracy i pedagogji. Godzinami można jeździć po tych alejach prostych, zawitych, raz to dziewiczych, raz o typie angielskich parków, nie wracając nigdy w te same strony, czy to w Perth, czy Adelajdzie czy Sydneyu.

Tu aleja pełna drzew paprociowych, tam inne rzewnie podobne do wierzb płaczących, tam palmy wszelakich gatunków, znów coś jak nasze brzozy, topole smukłe. Nieraz błysnie gigantyczny mur eukaliptusów, podniebne, przeraźliwie smutne kolumnady, jakieś dziwaczne drzewa „butelkowe“, obce oku o barwie żółto-fioletowo-niebieskiej banksje, zadziwiające drzewa trawowe, magnolje, arony nieprawdopodobnie wielkie, strzeliste araukarje — a wśród tych ulic, dróg, wiją się strumienie naturalne i sztuczne, wdzięczą mosty białe, śmiało rzucone.

Wracamy do miasta.

Hotele pełne. Zwyczajem amerykańskim życie hotelowe koncentruje się w hall'u. Jedzenie możliwe, ceny normalne. Jest i pilzner trochę zwietrzały, naturalnie przoduje whisky i szampan. Służba zachwala wino krajowe. Dobre — lecz strasznie idzie do czuba.

Gdy po dwóch dniach mijamy zachodnie „biodro“ Australji, zapowiadają nam znowu burzę, w Wielkiej Zatoce Australskiej.

Dosyć już tych burz. Czemuż to nie można z Perth do Adelajdy dotrzeć koleją? Do czego to podobne, by do tej pory nie wybudowano linii kolejowej?



ADELAJDA



ULICA WIKTORJI W ADELAJDZIE

Wszyscy towarzysze podróży przyznają nam rację, twierdząc, że cała Australja podziela nasze oburzenie — ale kolei jak nie było, tak niema. Jest dopiero wytyczona linja.

Ciekawa wogóle jest ta cała polityka kolejowa w Australji. Wszędzie na kuli ziemskiej budują kolej na terytorjach produktywnych, aby wślad za koleją osiedlali się ludzie. W Australji przeciwnie. Budują kolej tam, gdzie już są ludzie, którzy potrzebują danej linii dla celów ekonomicznych. Tak też tam jest najwięcej linii kolejowych, gdzie ludność najsilniejsza, to jest na południowym wschodzie. Dlatego poprostu, że w Australji jest powszechne głosowanie. Rząd robi to, czego pragną wyborcy, wyborcy zaś pragną, by kolej szła przez ich posiadłości lub przynajmniej w pobliżu tychże. Gdyby zaś rząd poszedł wbrew tym prądom — to leciałyby ministerja, o co w Australji niezmiernie łatwo. A znów gdzie przestrzenie puste, gdzie niema ludności i wyborców, to niema kto dopominać się o swe prawa i rząd nie buduje nic. To się nawet lepiej opłaca taka polityka, bo koleje i tak dają stałe niedobory mimo wysokich taryf.

Zarząd kolejami należy dotychczas do pojedynczych Stanów, a nie do Stanów Zjednoczonych, ponadto wszelkie koleje są własnością rządu, co także przyczynia

się do tej dziwnej polityki. Prywatnych kolei niema obecnie dlatego, że po pierwsze ludzie prywatni nie myślą ryzykować i swoją kieszeń rozwiązywać te zagadnienia społeczne, a po wtóre Australczyk nie lubi, by kto dochody z dobra publicznego zagarniał do własnej kieszeni.

Stąd miliony hektarów względnie dobrej ziemi leży odłogiem, bo kto założy fermę tam, dokąd dostać się nie można lub kosztem nadzwyczajnym i skąd wogóle nie możnaby pchnąć wyprodukowanego towaru na rynki zbytu a koszty transportu przewyższałyby zysk.

Tak samo Adelajda powinna być dawno połączona koleją z Port Darwin, skąd tak blisko do Indyj, lecz Stany nie chcą, twierdząc, że tam pustynia.

Ta polityka Stanów dochodzi do takich absurdów, jak różność w szerokości szyn. I tak Wiktorja i Australja południowa mają 1.60 cm., Nowa Południowa Walja 1.45 cm., Queensland i Australja Zachodnia 1.05 cm. Jadąc więc z Adelajdy do Brisbane trzeba dwa razy przemieniać pociąg. Co za niewygody stąd płyną, łatwo pojąć. Nie wspominać już o konieczności przeładowywania towarów, stracie czasu i nadzwyczajnych kosztach z tego powodu. Na wypadek wojny, mogłoby to wszystko wywołać poważne niebezpieczeństwa. Podobno istnieje silny prąd w łonie rządu, by to jak najprędzej zmienić.

Taka polityka doprowadziła do tego, że Australja Zachodnia jest właściwie wyspą. Mógłby wprowadzić Stan Zachodni wybudować własnym kosztem linię kolejową, ale on żąda słusznie, by i inne Stany przyczyniły się do tego, bo i dla innych korzyść zbyt widoczna. Na interpelację w tym względzie inne Stany odpowiedziały, że „nie“, bo to byłoby wyrzucaniem pieniędzy na pustynię. Dziki partykularyzm.

A tymczasem my płynąć musimy dalej (poświęcając 10 dni czasu na przebycie drogi z Perth do Sydney) z tą miłą nadzieją, że za dzień wpadniemy w ramiona burzy.

Na razie nic z tego. Już przyzwyczailiśmy się do tej myśli, że będzie źle — więc zawód, bo spokój zupełny. Morze zaspiane, bez nerwu. Bo te wody ogromne wtedy są piękne, gdy rozpoczyna się gra fal, gdy coś się dzieje na ich powierzchni. Wtedy zaczyna się życie. A tu nic. Pokorna, zła cisza. Woddali mającą urwiste brzegi „Wielkiej Zatoki“, wapień świeci w słońcu, pokryty nieprzebranem bogactwem lasów. Wieczorami mrugają wesoło latarnie morskie.

Bliskość lądu i kres podróży rozluźniają związki znajomości. Część podróży już wysiadła. Nikt nie wymyśla uciesznych zabaw na opustoszałych pokładach.

Kilku Anglików chłodne swe oblicza przystraja w pobłażliwo-sarkastyczny wyraz.

Wszak to Australja.

Nie lubią Australczyków ani Australji. I są na tym punkcie nielitościwi. Tajemniczo zapewniają o niskiej kulturze, o straszem pijaństwie i o tem, że jak



ADELAJDA

Australczyk przyzna się, że jego pradziad był już w Australji, to ten pradziad był galernikiem, złodziejem lub czemś podobnem takim...

Jest to wyższa złośliwość.

Bo przecież w Australji prócz deportowanych osiedliło się wielu wolnych obywateli. Zresztą, jeżeli pradziad danego pana był deportowany, to jego prawnuk stał się zaiste gentlemanem, w niczem nie ustępujący Anglikowi... nawet w poprawności trzymania noża i widelca. A zresztą, jeżeli pradziad był zbrodniarzem, to był nim w Anglji, więc winę ponosi po części tamto społeczeństwo. W Australji już niema zbrodniarzy. Jest to kraj pod tym względem dziwnie różny od Europy — cichy i dobry.

Były czasy w latach 1850, gdzie rabusie byli postrachem Stanów, gdzie staczano całe wojny z bandami rozbójników — ale to były czasy gorączki złota, czasy, gdzie wyrzutki społeczeństwa ze świata całego, zgraży awanturników, nie mających nic do stracenia, przywędrowały do Australji za tanim zarobkiem, lecz nie byli to Australczycy urodzeni z owych galerników. Zresztą owe czasy dawno minęły.

Dziś spokojna praca, dobrobyt, świetne i łatwe warunki życia, nie nasuwają myśli o potrzebie zbrodni. I to może być słusznie chlubą Australji, że potrafiła i chciała się tak urządzić.

Co zaś do kultury, to na razie trudno o to kruszyć kopji. Ta jeszcze w powijkach. Kultury w znaczeniu estetycznem mało, natomiast ogromnie wiele w znaczeniu etycznym. Trzeba pamiętać jednak, że Australja istnieje niewiele ponad sto lat. Lecz i to idzie dzielnym krokiem naprzód. Wszędzie Uniwersytety, Biblio-

teki, Muzea, jakieś Akademje Umiejętności. Śmiało twierdzić można, że będzie miał kulturę taki kraj, w którym szewcy fundują zakłady naukowe.

A pijaństwo?

O tem później... na razie sami pochłaniamy taką ilość trunków, że trudno wprost i wstyd prawić kazania.

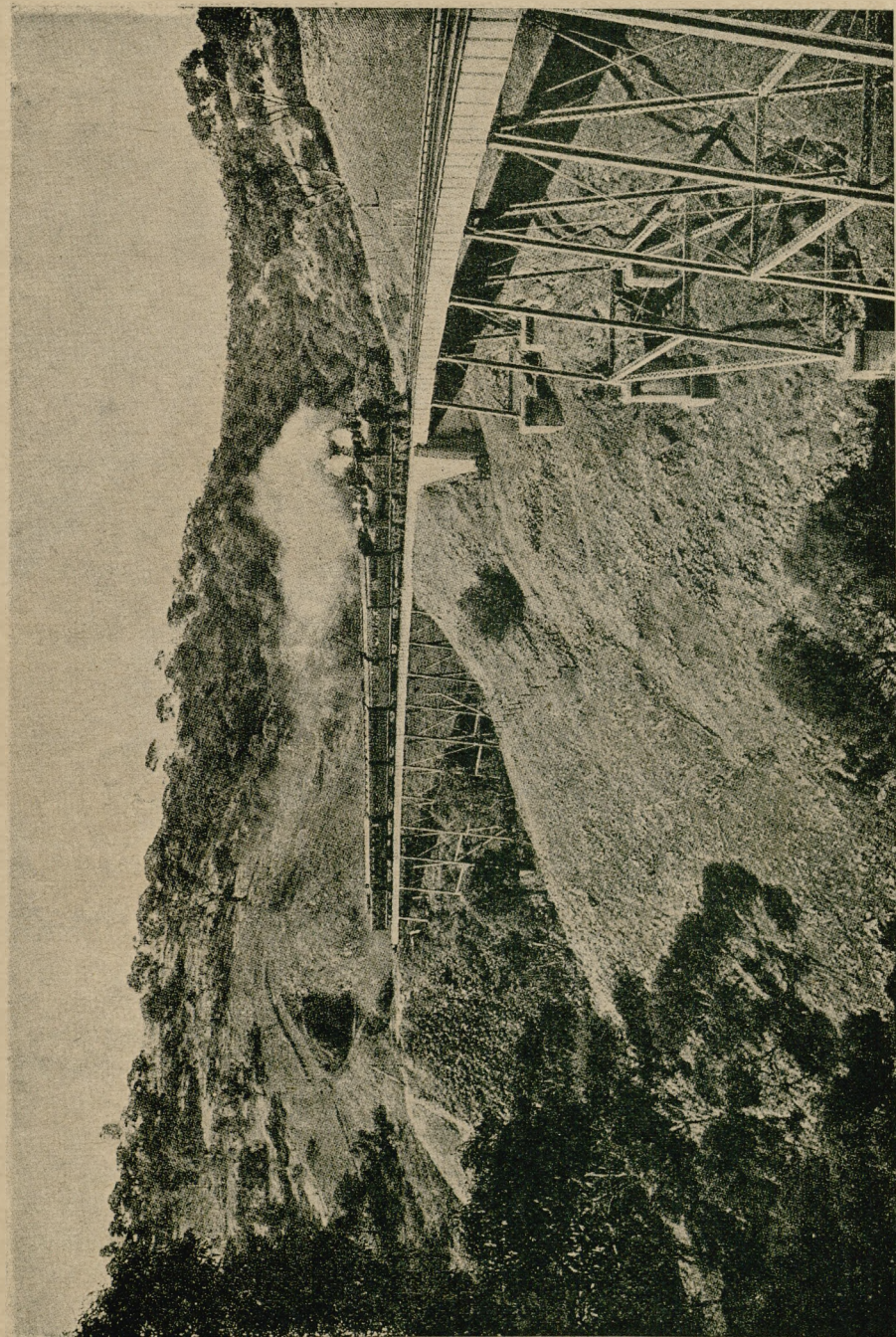
Na jednym punkcie mają Anglicy rację, to jest na punkcie języka. Australczycy mówią już jakimś dialektem, wcale wesołym i dźwięcznym, ale dialektem. Gra tu głównie rolę zmiana akcentu, poza tem tworzą wiele własnych słów, jakby zdrobniałych. Ale to dla nas najmniejsze zmartwienie.



Pięć dni trwa ta przeprawa z Perth do Adelajdy.

Niczego innego nie oczekiwałem.

Zanim statek oparł swój wytrwały bok o pomosty, już miałem w rękę kilka książeczek reklamowych i mapę Australji, na której cała Europa aż po Rosję wraz z wielką Brytanią — włoczona jest w kontynent Australji, co ma oznaczać, że Australja jest wielka. Poza tem dowiedziałem się, że The Central State, jest cztery razy tak wielki jak Francja, a siedm razy większy od W. Brytanji, a ma tylko 416.047 mieszkańców.



WIADUKI W MONT LOFTY KOŁO ADELAJDY

Jest czem się chęcić.

Wszak to tu w tym chępliwym Stanie tysiące hektarów ziemi leży odłogiem, tysiące wcale żyznej ziemi czeka siekiry i pluga.

Ogarnia nas ruch i życie większe niż w Fremantle. Przedewszystkiem dlatego, że wyładowują całą pocztę, która już dalej do Melburnu, czy Sydneyu pójdzie kolejami.

Zacznymy sami ze sobą targi. Jechać koleją do Sydneyu, czy dalej okrętem. Jest sobota. Trzebaby zaraz, za kilka godzin wsiadać do mało wygodnych wozów i walić do Sydneyu 30 godzin. Więc wypoczniemy i pojedziemy jutro.

Australczycy śmieją się.

— Jutro niema pociągu.

— Jakto niema?

— Niema.

W niedzielę w Australji nie kursują żadne pociągi, jak tylko te podmiejskie dla przyjemności i wycieczek. Wyjątek pociąg pocztowy, ten właśnie odchodzi. Wiezie pocztę a to ważna sprawa.

— To okropne — krzyczy Europejczyk.

— Okropne? — dziwi się Australczyk — to piękne, naturalne. Każdy musi wypocząć, musi mieć święto i swobodę.

Jak musi, to musi. Jedziemy więc okrętem. A tymczasem wysiadamy, by tych 6 mil ang. przejechać pociągiem i znaleźć się w Adelajdzie (185.000 mieszkańców) cofniętej na wschód na rzekę Torrens'a.

Dziwny kraj ta Australja. Jakby coraz bardziej chcąc ołśnić przybysza, pobudowała swe miasta tak, by coraz to piękniejsze rzucać mu w oczy, coraz bardziej zadziwiać. Po Perth — Adelajda. Wielkie, rozłożyste u stóp pięknego pasma gór Lofty, miasto, po Adelajdzie — Melburn, po Melburnie — najcudowniej na kuli ziemskiej położony Sydney.

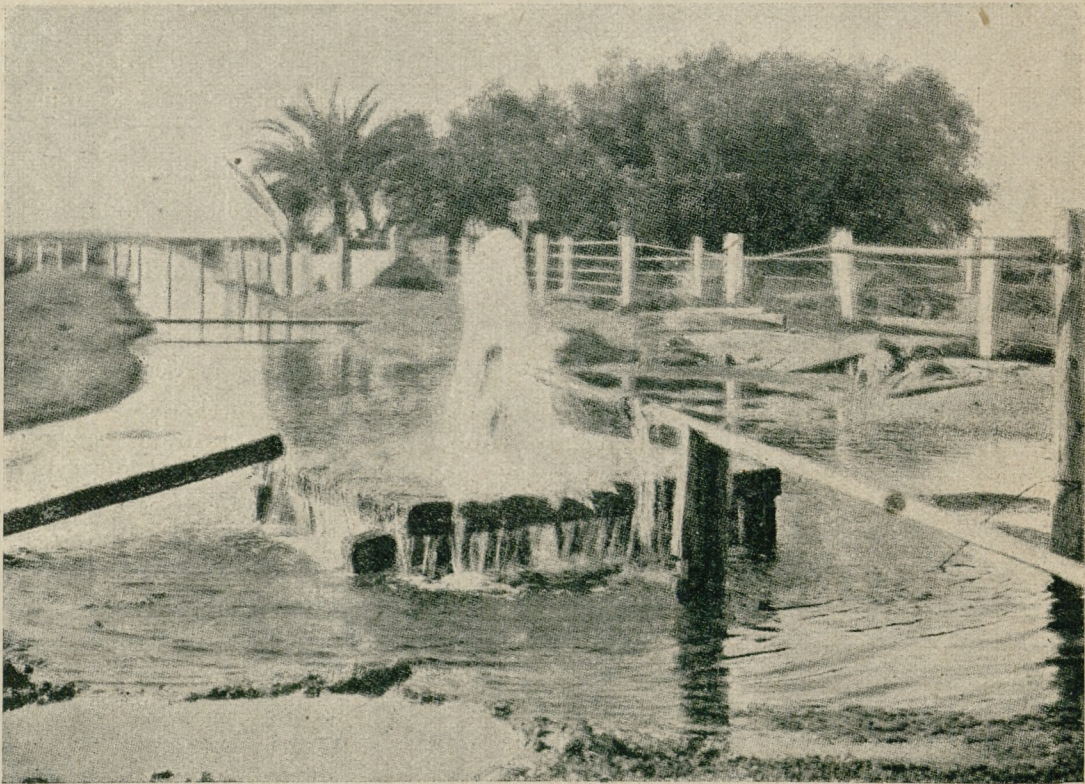
Odrazu poznać można, że Adelajda założona została z planem dalekowidza. Przedewszystkiem szerokość ulic o tem opowiada, a potem ta ogromna ilość (8.000 ha) parków i ogrodów w samym mieście, prócz otaczających je ze wszech stron sadów. Wśród tej zieleni, na wielkiej przestrzeni zbudowane miasto, skromne w swych budowlach dwu — najwyżej trzypiętrowych, lecz tak czyste, miłe, przyjacielskie. Szpecą jedynie te ogromne słupy drewniane, szubienice pełne przewodów elektrycznych.

Naturalnie najpiękniejszym budynkiem jest jak wszędzie w Australji poczta — G. P. O. i ratusz. Te wszędzie w jednakim stylu, jeżeli tak nazwać można olbrzymi kwadratowy budynek o nieproporcjonalnej wieżycy, poza tem Biblioteka, Muzeum, Uniwersytet (który pierwszy przyznał dyplomy kobietom), konserwatorium, szkoła techniczna, górnicza, biały poważny Parlament i kilka malowniczych pomników.

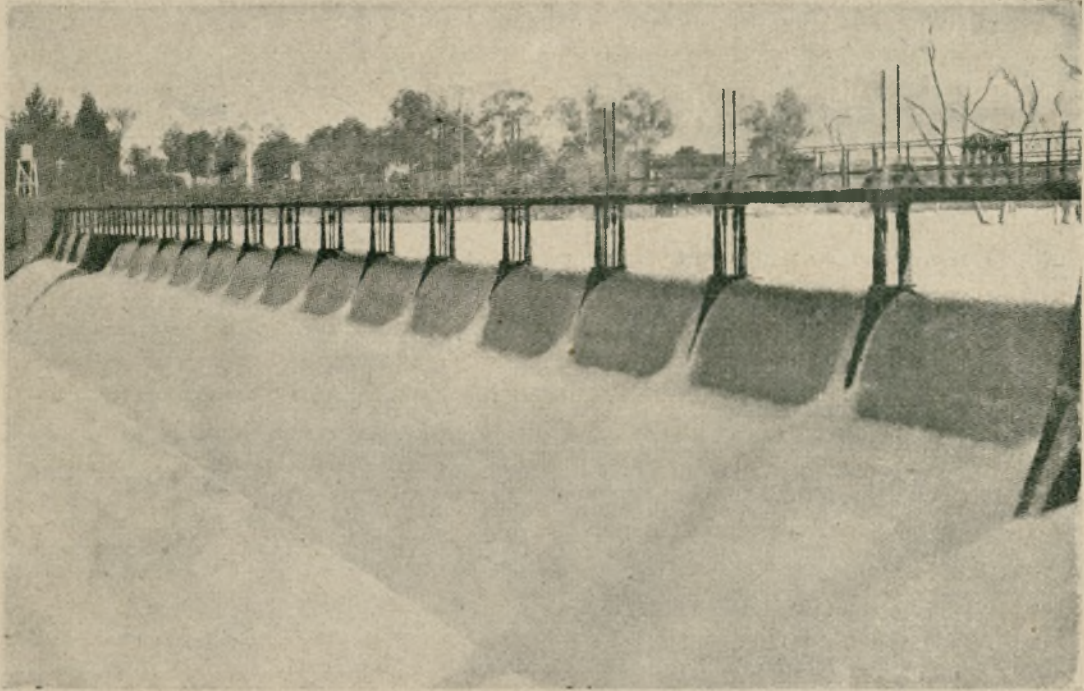
Mieszkańcom Adelajdy, wśród rozkosznego klimatu wcale dobrze życie się układa. Mieszkają poza miastem w willach, w otoczeniu parków i ogrodów, przeczyste niebo nad nimi, czasem zanadto prażące, przeczysta przyszłość przed nimi. Mimo iż dług publiczny ogromny, racjonalna gospodarka rządu nie zatrważa, bo

jakaś dziwna i mocna wiara w to, co będzie, przebija zewsząd. Młodość kraju to robi. Wierzą, że Murray, opłucze ich ziemie wczas i wydatnie, że przyjdą lata bujne, urodzajne i wszystkie wydatki na koleje, drogi, irygacje — jednym zamachem stopnieją. To jest mocna wiara, czy jednak nie zaślepią, trudno przewidzieć. Wszak tysiące hektarów ziemi, wcale niezłej, czeka woli i dłoni ludzkiej, a młode pokolenie tkwi w mieście, nie idąc wzorem swych ojców i nie wyrębiając swych bogactw w głębi kraju, nad rozległymi brzegami rzeki Murray.

Murray jest jedną z największych rzek świata, ma 3.800 mil. ang. długości, a zlewisko jej obejmuje $\frac{1}{7}$ całego obszaru Australji. Ogrom tych wód nie stoi jednak w żadnym stosunku z wydatnością i wartością ekonomiczną, gdyż rzeka płynie przez nisko położone równiny, gdzie ewaporacja przewyższa ilość opadów, tak, że równiny więcej rzece zabierają, niż jej dają. Murray składa się z trzech odrębnych rzek: Darling, Murrumbidgee i Hume. Żeglugę rozpoczęto w r. 1853. Parlament ustanowił nagrodę 4.000 funt. szt. dla tego, który pierwszy ukaże żeglowność rzeki. Obecnie 90 parowców i 90 łodzi towarowych pełni służbę na rzece. Używanie Murraju, jako rzeki żeglownej, wywołuje konflikt z jej używaniem do



STUDNIE ARTEZYJSKIE



IRYGACJA W WIKTORJI

celów irygacyjnych. Stany, przez które przepływa Murray, długi czas spierały się, ile który Stan może użyć wody do celów ekonomicznych. Po długich debatach ustalono schemat używalności, ze specjalnem uwzględnieniem lat suszy i wylewów.

Mieszkańcy tego Stanu chętnie zwą go „A Garden State“. I słusznie. Taka moc ogrodów i sadów nie istnieje w żadnej innej części Australji. Jak tylko śródmięscia się kończą — zewsząd śmiać się poczynają przepyszne pomarańcze, cytryny, jabłka i grusze, przewalają się bujne winogrona, śliwy, oliwki i czereśnie. Gną się kornie ku ziemi przysadkowe drzewa pełne owoców soczystych, duma ludzkiej pracy i zapobiegliwości.

Klimat temu sprzyja. Właściwie są tu tylko dwa sezony, lato i zima. Niema przejść wiosny i jesieni, a i zima bywa łagodna. Ranki nieco chłodne, śnieg rzadkim gościem nawet w górach. Najzimniejszy miesiąc to lipiec, kiedy temperatura dochodzi zaledwie do 4 st. ciepła. A sprzyja temu i to, że nie rozwinęły się tu te czynniki, które w innych Stanach zabity myśl o uprawie ziemi, to jest górnictwo. Złota od początku było bardzo mało, tak, że ludzie, którzy tu osiedli, nie porwani ogólną gorączką, poczeli bardziej po wierzchu, aniżeli w głąb ziemi zaglądać, zwłaszcza, że ta ziemia okazała się życzliwa i uczciwa. Tutaj po raz pierwszy w Australji zastosowano t. zw. dry farming, co wydało nadzwyczajne rezultaty (orze się ziemię tak głęboko, by uzyskać potrzebną wilgoć).

Prędko załatwiliśmy się ze zwiedzaniem miasta i parków.

Zapadał wieczór, gdy rozprószona nasza gromadka, zeszła się w jakiejś cukierni. Uciekaliśmy przed deszczem.

Wszędzie widać twarze rozjaśnione. Mówią: — nareszcie mamy czas piękny.

Co kraj, to coś nowego. Tu jak ładnie i ciepło — to brzydko, a jak deszcz — to pięknie. Trudno i dziwić się temu, gdyż mimo wszystko Australia, z wyjątkiem pasów nadbrzeżnych, narażona jest na dotkliwe susze. Wprawdzie niema w Australii miejsc absolutnie bez opadów, lecz te są nieregularne i zmienne co do natężenia. Miesiące nieraz mijają bez kropli deszczu, a potem nagle runie taka nawałnica, że rzeki wylewają i powstają groźne powodzie. Tak np. w r. 1890 rzeka Darling wylała tak niesłychanie, że parowce jeździły po niej godzinami, jak po morzu, nie widząc brzegów, a znów w r. 1903 po katastrofalnej suszy Darling przez 11 miesięcy przestała zupełnie płynąć.

Po deszczach wygląd kraju zmienia się w okamgnieniu. Ziemia poczyna oddychać, tryska bujna zieleń, ludzie jaśnieją, pasza wszędzie znamienita, ceny wełny i zboża wyrównają wszystko. Australczyk nabiera humoru i zapomina rychło o minionych klęskach posuchy, kiedy to w przeciągu pół roku 1903 padło 18,381.864 owiec.

Jakkolwiek ląd Australji rozciąga się na przestrzeni blisko 30 stopni szer., klimat kontynentu jest mało zmienny. Północna część Australji leży prawie w pasie zwrotnikowym, reszta w podzwrotnikowym, a część południowa i Tasmanja w umiarkowanym.

Australia jest wyżyną, wznoszącą się do 7.300 stóp, oblaną Oceanami, co łagodzi jej temperaturę tropikalną. Klimat zależny jest od przejścia cyklonów i antycyklonów, przelatujących kontynent od Oceanu Indyjskiego. Lato w Australji jest sezonem wilgotnym, ponieważ w lecie ląd jest ogrzany, powietrze nad lądem rozrzedzone, stąd Australia środkowa w lecie ma niskie ciśnienie i zostaje pod wpływami cyklonicznymi, a ciepłe wiatry wilgotne pędzą ku środkowi lądu w lecie dalej niż w zimie. W zimie natomiast kontynent jest pod wysokim ciśnieniem czyli wpływami antycyklonicznymi, ponieważ ląd oziębia się prędzej niż morze, powietrze nad nim jest zimne i zgęszczone, ciśnienie barometryczne wysokie, wiatry wieją ku morzu.

Najbardziej charakterystyczny jest wiatr gorący w lecie, trwający nieraz kilka dni. Jest suchy i pełen żaru, a szkodliwy dla roślin, bydła i ptaków. Nazywają go „Brickfielders“ z powodu czerwonego pyłu, który roznosi. Podczas ataków takiego wiatru, temperatura dochodzi do 56 st. C., a Australczyk zamyka szczelnie okna, zapuszcza stopy i pije w domu „soda and whisky“.

Styczeń jest miesiącem najgorętszym, czerwiec najzimniejszym. Deszcze w Australji są nieregularne. Nadbrzeżne okolice mają poddostatkiem opadów, ku środkowi coraz ich mniej. Śnieg pada corocznie na wyżynach Nowej Południowej Walji i Wiktorji, a w górach Kościuszki od maja do listopada.

Więc jakże tu nie wołać, gdy deszcz pada: „Piękny czas“. Lecz nas ten deszcz nie rozczula, owszem gniewa. Projektowaliśmy wycieczkę do gór Lofty, by

stamtąd ogarnąć miasto, port i daleki widok, a nie udaje się, bo mgła przesłania świat.

Zatem i dziś i dnia następnego włóczymy się po mieście. W ratuszu potężne organy, na których w niedzielę odbywają się bezpłatne, publiczne koncerty. Tam przed muzeum piękny obelisk, przewieziony z Egiptu, znów armaty zabrane Burom przez Adelajdczyków, pomnik na cześć bohaterów tej wojny, piękna statua Herkulesa przed pocztą (dlaczego?), pomniki niestrudzonych badaczy środkowej Australji, parki kilometrowe, marne sklepy, bary amerykańskie, owocarnie bogate, małe sklepy z czekoladkami. Nie można powiedzieć, by to wszystko było niezajmujące, ale nie można też powiedzieć, by było zajmujące... Jeszcze w każdym razie małe miasto. I ludzie jacyś ospali i małomiasteczkowi.

Nasza spacerująca gromadka, wśród której kilku żywo jak zawsze gestykulujących Włochów, zwraca powszechną uwagę. Przyglądają się nam nieco złośliwie.

Może i mają swą słuszość, bo jest w nas sporo komizmu. Ubrania sportowo-okrętowe, aparatów bez liku, torb, torbeczek, pakunczków, zapasów na dalszą drogę — pełne ręce. Obwieszeni tem, umęczeni bezcelową włóczęgą, wyglądamy, by rychło złożyć te pakunki w kabinach naszego pocziwego Mooltana.

Stało się to o jakiejś godzinie dnia.

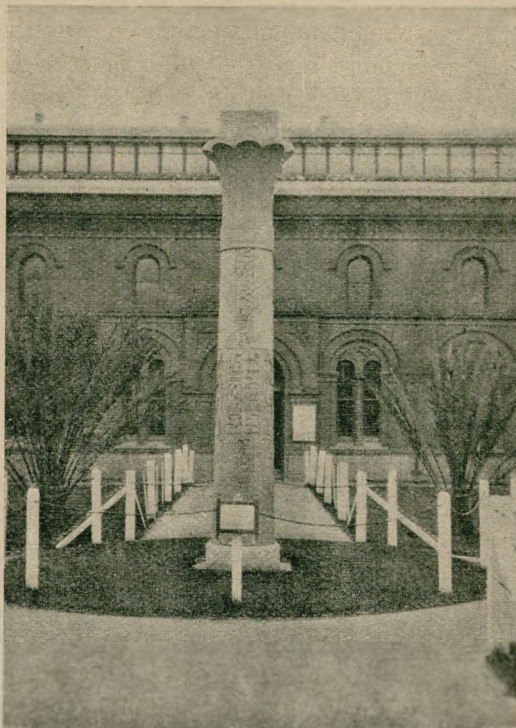
Wyłynęliśmy cicho z zatoki, wśród lekkiego deszczu, a otarliśmy się o olbrzymią wyspę Kangaroo, mkniemy na wschód coraz bardziej.

Deszcz nie ustał. Zacina bez temperamentu, wstydliwie i żałośnie. Morze smutne. Nie widać nic. Na pokładach porozpinane żaglowe płótna zabezpieczają od wilgoci. Płyniemy jak w pudełku. Zaczynamy już żałować, że nie pojechaliśmy koleją wprost z Adelajdy. Można by to urządzić teraz z Melburnu. Lecz odradzają. Koniecznie należy do Sydney wjechać od strony morza. Ma to być wspinały widok.

Ale tymczasem nudno. Wszyscy Australczycy, jadący z nami, już wszystko wygadali. Więcej jak sto razy słyszałem dumne cuda o tym kraju.

— Niema takiej krainy, jak nasza Australja — włacza mi w uszy jakiś niepozorny jegomość.

— Niema takich pięknych miast, jak w Australji.



OBELISK PRZED MUZEUM

- Niema takich uczynnych, dobrych ludzi, jak w Australji.
- Niema nigdzie takich bogactw, jak w Australji.
- Moja jedynaczka ma 1,000.000 f. szt. posagu...
- Rany boskie — ta niewiastka chuda z oczyma żaby a piersią zimorodka.

A jednak nie kłamał. On dzierżawi u Rządu taką sobie pod względem obszaru jakby dawną całą Galicję i pasie na tym skrawku ziemi około 600.000 owiec. Włosa z głowy rwać. I zaczął mnie ogarniać cyframi nieubłagalnymi i nie do uwierzenia romantyczną historją.

W Australji baranów nie było wcale, jak wogóle żadnego pożytecznego bydłęcia. W r. 1797 przywieziono kilka sztuk merinosów z Przylądka Dobrej Nadziei. Te podzielono między zasłużonych kolonistów. Pewne marne sztuki dostał jakiś pan kapitan John M'Arthur. Tamte stada wyginęły, tylko pan kapitan swoje pielęgnował i dokupił jeszcze kilka sztuk baranów hiszpańskich i począł krzyżować, dmuchać, chuchać na tych pierwszych rodziców i teraz wszystkie barany australskie są dziećmi tamtych.

Włosa ich przednia, cienka, jedwabista, długa, gęsta, fryzowana...

Coraz bardziej upadałem na duchu.

— delikatna a mocna, puszysta, trwała, czysta...

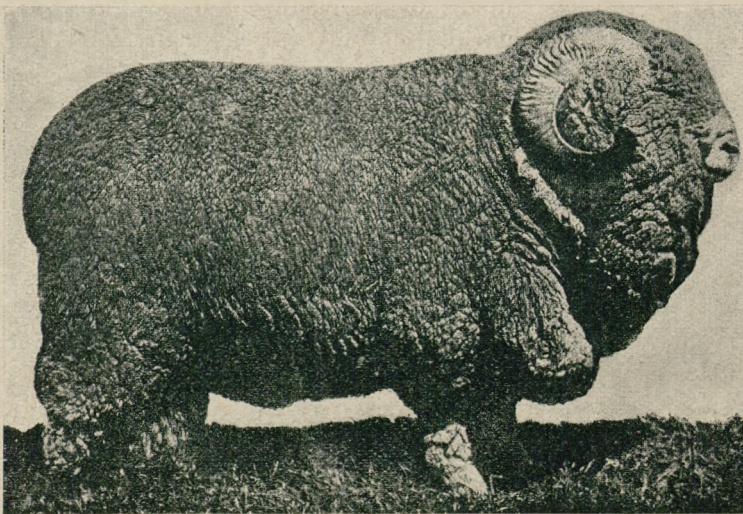
I długo, długo jeszcze wyliczał przymioty owiec, przymioty wełny, paszy, klimatu. I tak rozwinął się chów owiec w Australji. W r. 1807 eksport wełny wynosił 200 klg., a w r. 1910 już 225,000.000 klg.

Owiec nikt nie pasie, wędrują same milami, zajadając idealnie smaczną dla nich paszę, słoną trawę (salt bush). Strzyże się je obecnie maszynami czysto, szybko i bez okaleczeń. W minucie taki jeden baran goły. Strzyżone owce bywały dawniej poprostu bez żadnej ceny. Bo któż miał konsumować. Zamało było, na to ludzi.

Wtedy całą owcę można było kupić za 1½ franka. Obecnie wysyłają mrożone mięso do Europy, Ameryki i Indyj. Powstały wielkie przedsiębiorstwa, obejmujące cały kraj i operujące olbrzymimi kapitałami.

To jest bardzo piękny business.

Stąd ta pięknooka, cudnie zbudowana jedynaczka ma tylko 1 milion funtów posagu. Papa jedzie z nią z Europy do Sydney, bo tam zjechała Opera.



MERINOS AUSTRALSKI



MELBURN W R. 1840

Właśnie jedzie i dojechać nie może.

Mieliśmy być o 2-giej nad ranem w Melburnie, a tymczasem już 9-ta rano, a my stoimy. Mgła taka, jak to czasem w Tatrach bywa, wszystko jedno czy oczy otwarte czy zamknięte. Jechać dalej niepodobna, bo jak mówi nasz telegraf iskrowy, kilka okrętów stoi tuż obok siebie i boją się zderzenia.

Że nie żarty, zobaczyliśmy za jakie dwie godziny, gdy mgła zrzędnęła i opadła. Jedyny w swoim rodzaju widok. Stoimy na gładkiej tafli jeziora (zatoka Port Philip) a w okół nas bliźutko 5 parowców, śmiesznie bezradnych, ogłupiałych, jeden przy drugim. Wnet zaczyna się wyścig. Wszystkie całą siłą pary naprzód, który prędzej. Zysk to pono niemały. My jesteśmy spokojni. Nasz okręt jako Royal Mail, choćby przeszedł nawet żółtym krokiem, musi wejść pierwszy do odnośnego portu.

I tak się stało.

Jesteśmy w Melburnie, stolicy Stanu Wiktorji.

Ma 562.000 mieszkańców, leży nad rzeką Jarra, posiada bardzo wygodny dworzec główny, ładne i szykowne kobiety, ogród zoologiczny, Uniwersytet, kwadratowy budynek G. P. O., tramwaje tanie i oryginalne, muzea, szpitale, wspaniałe galerie obrazów, dobre hotele, ratusz z wieżą i organami, halę targową do rosyjskiego soboru podobną, kościoły ponure i zimne, kilka torów wyścigowych, footballowych, przecudny ogród botaniczny, wśród wieczystej parku zieleni pomnik królowej

Wiktorji (stojącej), kąpiele morskie, sklepy z cukrami przedniej jakości, biały gmach Parlamentu Związkowego, odrapaną Mennicę, marmurowe gmachy banków, setki przepysznych will władców baranich, budynki wielopiętrowe, sławną z flirtów Collins Street, sklep ze starożytnościami polskiego żyda, dumny pałac gubernatora Australji, kilka teatrów, ludzi bardzo miłych, wesółych, jasnych, rubasznych nieco, wiele kultury...

Doprawdy piękny jest Melburn.

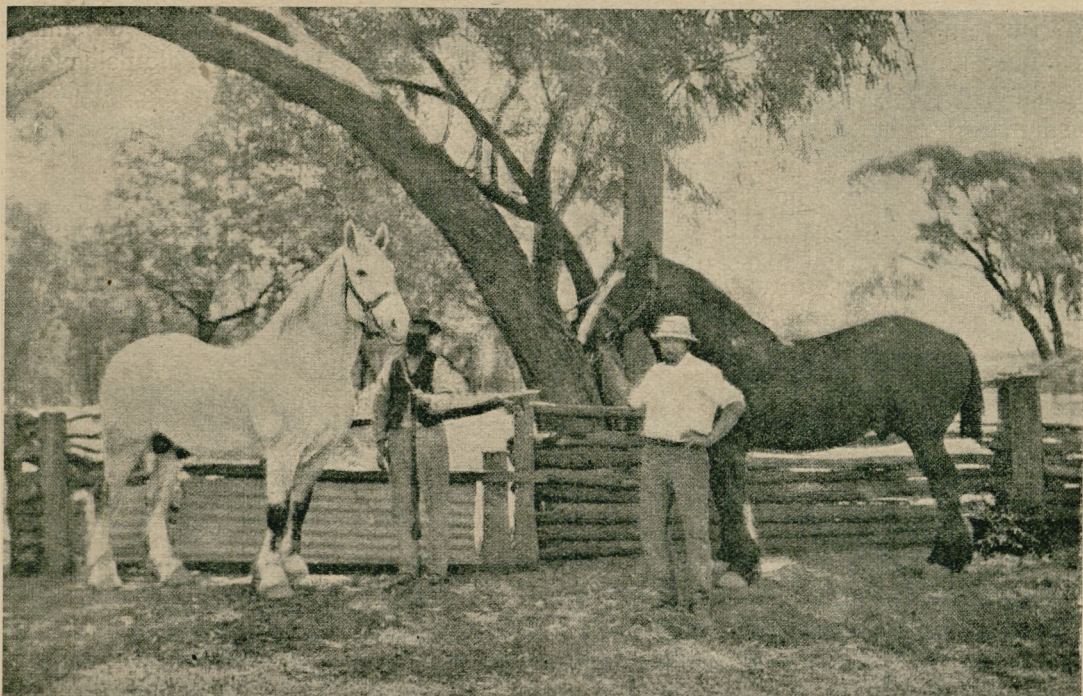
Z takim jakimś artystycznym rozmachem rzucone (1835 r.) na olbrzymiej połaci ziemi miasto, wrzyna się w oczy i w serce...

Sam Stan Wiktorji, najmniejszy ze wszystkich Stanów, bogaty i zadowolony ze siebie. Ziemia dobra, złota bywało poddostatkim, klimat umiarkowany, niezłe fermy, wieś zagospodarowana, a tylko brak trochę dalej po wsiach ludzi. Tak się jakoś złożyło, że wszystko uciekło do miasta, gdzie łatwiej się żyje. Rolnictwo stoi wobec tego słabo, tem bardziej, że większa część ziemi tkwi w rękach tych baranich władców. Więc zewsząd słyszy się krzyki: niech tylko rząd podzieli te wielkie okręgi na małe fermy, będzie inaczej. Nie wiedzieć jednak jakto będzie wobec braku rąk roboczych, a zwłaszcza wobec braku rolników.

A dlaczego ci rolnicy nie przybywają, trudno i nie trudno odgadnąć. Powinni przybywać, gdyż rząd racjonalne przygotowuje dla nich warunki, karczuje wszędzie lasy i owe sławne australskie buszy, zakłada kanały, buduje drogi i stara się możliwie wybrnąć z fatalnej polityki kolejowej. Nie powinni przybywać, dopóki rząd nie odda im wzamian za uprawę pewnej przestrzeni ziemi, jako tako możliwej, za darmo i dopóki rząd nie stworzy, jak w Stanie Australji Zachodniej, jakiejś



OGÓLNY WIDOK MELBURNU



KONIE STANU WIKTORJA

oficjalnej instytucji bankowej, któraby nie darła skóry, ale owszem wspierała osadników i głównie rozwój rolnictwa, a nie zysk swój miała na oku.

Ziemia tu wszędzie dobra i mogłaby być bogactwem Stanu. Jak narazie wszystko jeszcze raczkuje. Natomiast ogromnie rozwija się przemysł mleczarski. Masło idzie stąd pakami do Anglii w nieprawdopodobnej ilości. Trzy dni stał nasz okręt w powrotnej drodze do Europy w Melburnie i przez trzy dni pakowano bez przerwy masło, tak, że przez następne trzy dni nikt na całym okręcie nie dał sobie wspomnieć o maśle... Po maśle — wełna, po wełnie — konie, które eksportują głównie do Indyj. Są hodowle koni wyścigowych i zwykłych pracowników.

Dochody z tych gałęzi przemysłu muszą być znaczne, bo życie po tych miastach wre pełnią zadowolenia i beztroski.

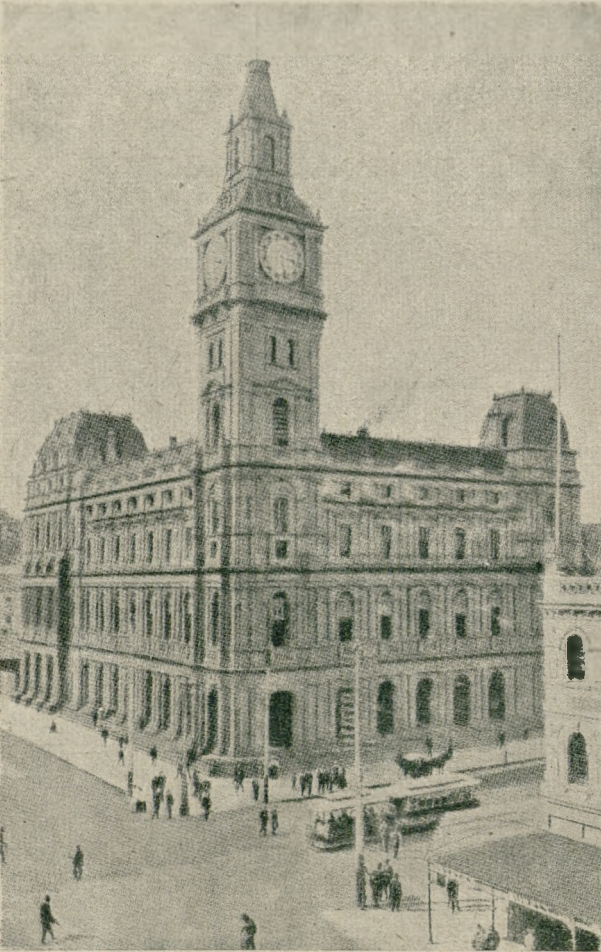
Włoczyliśmy się kilka dni po mieście bez celu, by ogólne powierzchowne pochwytać wrażenia. Wiedziałem, że przeżyję w tym mieście później jeszcze dwa miesiące. Narazie główna uciecha trwała w tem, że czuliśmy ziemię pod nogami i że można było wyspać się porządnie na hotelowym łóżku. Dokuczyły już te kabinowe łóżka i ten specjalny, wdzierający się wszędzie, mdły zapach okrętowy.

Hotele w Australji są dobre i solidne, lecz o wiele skromniejsze od europejskich i amerykańskich. Obojętne byłoby to, że nie mieszka się na jakimś 69 piętrze, lecz te przebajeczne wygody Ameryki nie znalazły naśladownictwa

w Australji. Panuje w nich zato jakaś familjarność i życie płynie, jak w jednej rodzinie. Wprawdzie i tu wszędzie są hall'e, są bary, cukiernie, pokoje dla palących, niepalących, ogrody zimowe dla pań, pokoje bilardowe, czytelnie, fryzjernie, golarnie, wspaniałe i zaiste ogromne sale restauracyjne, lecz nie błyszczą to wszystko złotem i lustrami i nie rzuca się w oczy, jak u Yankesów.

W restauracjach hotelowych, jak zresztą i w innych, jedzenie niestety podłe. A wszędzie porcelana „made in Germany“ a na nożach firma Kruppa. Wcisnęli się. Znow ten sam jeleń, co pędzi na reklamowych anonsach po murach Wiednia, galopuje i po murach Australji — mydło Schichta...

Cały elegancki świat uznaje „five o'clock tea“ ze śmietanką i ciastkami. Niedarmo Australja konsumuje najwięcej na świecie herbaty. Przeważnie panie

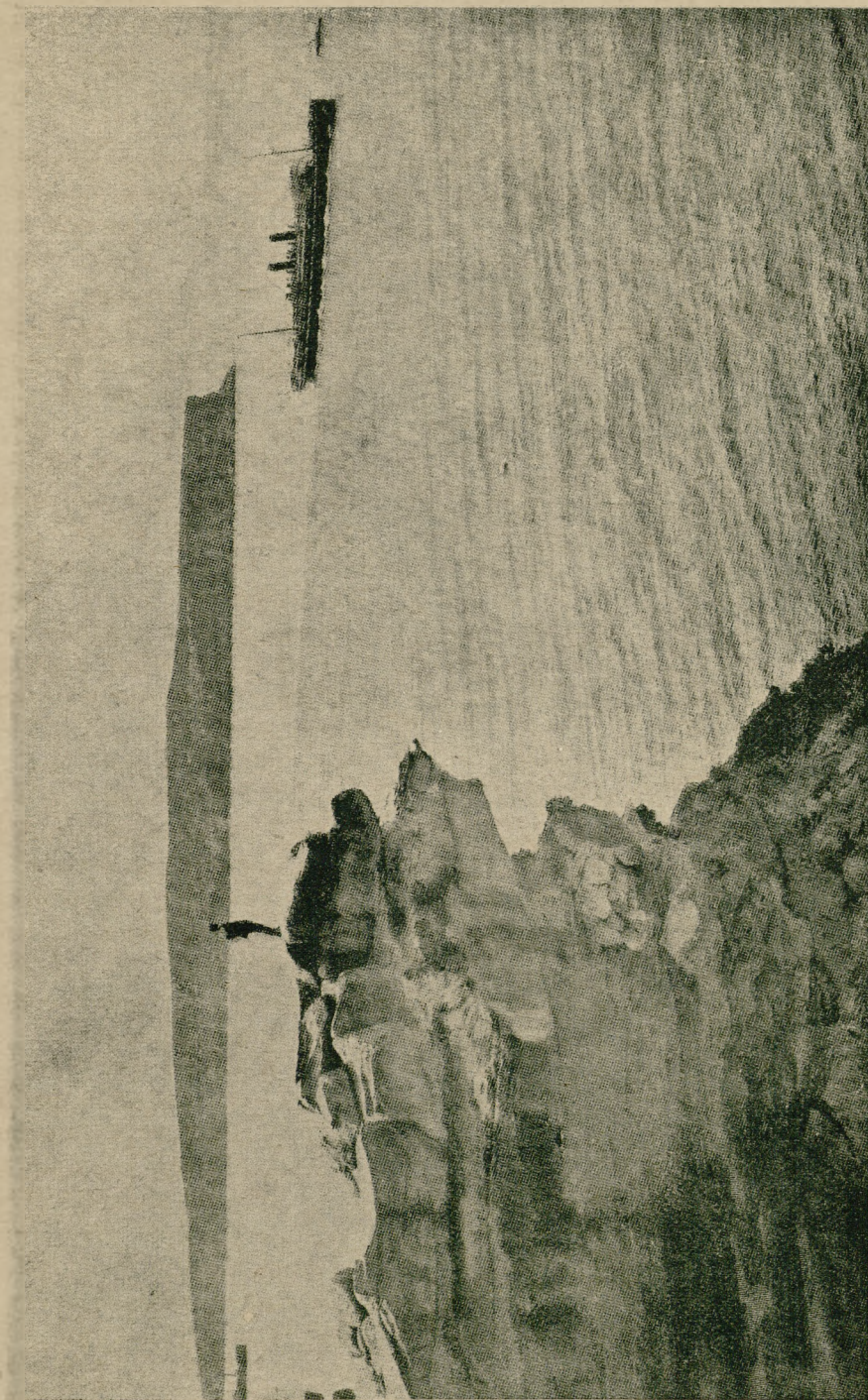


POCZTA W MELBURNIE

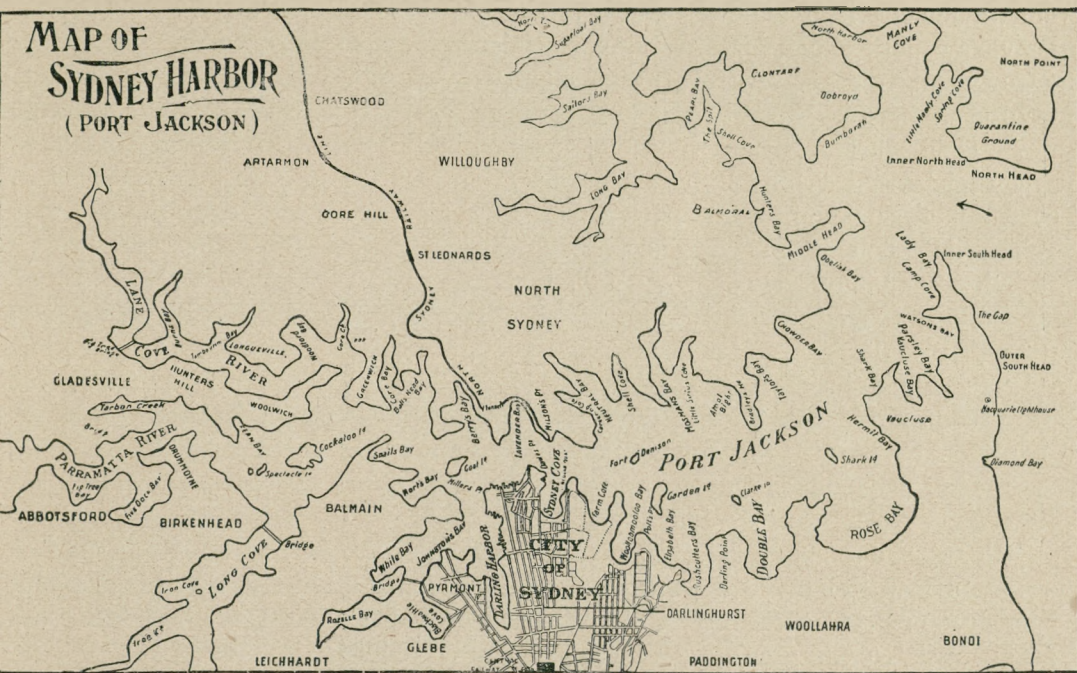
dzwonią ząbkami o tę niemiecką porcelaną, panowie natomiast między 12 a 2 w południe tkwią w barach w takiej przerażającej ciżbie, że docisnąć się nie można do spotniałych garsonów. Lecz niema tu zwyczajów amerykańskich, tej szerokiej natury Yankesów. Zaprasza tylko znajomy znajomego na jakiś drink. Podczas gdy w Ameryce często jakiś hałaśliwy gentleman, ogarnąwszy podnieconym wzrokiem cały bar i zebranych w nim, dajmy na to 30 innych podnieconych gentlemanów, woła dobitnie „well“, robi szeroki gest ręką od wschodu na zachód, drugi od południa na północ... i płaci wszystko, co do danej chwili wszyscy inni wypili. A nie przyjąć, to i wyboksować gotów.

Wiadomo jak czas szybko mija na zwiedzaniu barów, kawiarni i restauracyj. To też trzy dni pobytu zleciały, jak z bicia trzask.

I znowu otula nas okręt i morze niespokojne. Jakieś niezdecydowane kołysanie dokuczliwe i głupie. Raz w przód, to znowu w bok, to z pod nóg wyrывa. Właściwie niema burzy, tylko deszcz i wi-



WJAZD DO SUDNEJU



ZATOKA SYDNEJU

cher zimny od południowego bieguna, a fale te znajome, krótkie i przez to irytujące. Połowa podróży niewidzialna. Zewsząd dochodzą charakterystyczne, znane stękania. Morze daje swe ostatnie pomazanie.

24 sierpnia rano mieliśmy stanąć w porcie sydnejskim, a tymczasem stoimy bezradnie niedaleko od wejścia do portu, bo wjazd niemożliwy. Nie grozi nam wprawdzie katastrofa, jak owa w r. 1857, gdy to okręt Dunbar, po trzymiesięcznej podróży dojeżdżał do Sydney, mając na pokładzie moc imigrantów. Ziemia już była blisko. Zapadła ostatnia noc, a burza szalała. Pan kapitan zmylił wjazd i zamiast w bramę, wjechał wprost na skały South Head. Okręt naturalnie poszedł w tak zwane drzazgi, a z 400 podróżyńnych ocalał tylko jeden, który uczepił się skały i tak przetrwał wytrwale całą noc. Żyje jeszcze ten staruszek w Sydney i opowiada niestworzone bajki na ten temat bez świadków. Po tym wypadku wybudowano w tym miejscu największą na świecie latarnię morską. Niedawno znaleziona kotwica owego okrętu sferczy sennie w muzeum.

Mgła nieco opadła i zrobił się jaki taki dzień.

Po wielu mozolnych targach z falą zupełnie zdziczałą, udało się pilotowi chwycić drabinkę sznurową i wprowadzić nas w przystań Sydney.

Wjazd jedyny w swoim rodzaju.

Stromy brzeg w pewnym miejscu jakby cudownie otwarty i znów dalej zamknięty wysoką, prostopadłą, poszarpaną skałą. Jakaś naturalna i nadnaturalna

brama, północna i południowa „głowa“, jak ją zwą Australczycy, a za tą bramą, przepyszny port, olbrzymi, wygodny, bezpieczny, pełen zatok, załamanych linii brzegowych... rzeźba raz groźna skałami, raz cicha zielenią, raz piaskiem błyszcząca.

W głębi wielkie miasto ze swemi kopułami, wieżami, wspaniałemi gmachami o wielu piętrach i strojnych fasadach, miasto pracy, znoju a bogactw, a na lewo i prawo nad zatokami, wśród zieleni bez końca, wśród lasów jakby dziewiczych, rozsiane miłe domki, wille i pałace.

Niezapomniany widok.

Od lądu rozbrzmiewa donośny, kilkakrotny okrzyk: Oooe... Jest to jakby hasło Australji. Brzmi wszędzie. W lasach, na morzu, w portach, na rzekach, a nawet na znak zachwytu w teatrach. Coś dzikiego i młodzieńczego w tym powitalnym okrzyku.

Tak przyjmuje przybyszów z Europy wielki tłum ludzi na brzegu.

Wyrastają coraz wyraźniej gmachy ugrupowane swobodnie i malowniczo. Okręt podejżdza pod sam ląd. Rzucają pomosty... jesteśmy naprawdę u kresu podróży.

Wizyta słowa nie trwa jak minutę.

Błogosławiona bądź Australjo. O ileż fatalniej dzieje się to samo w Ameryce. Tam trzy godziny trzymano nas przy rewizji i literalnie wyrzucono wszystko do spodu, spisując każdy kawałek, każdą szmatkę, każdy drobiazg (który przy wyjeździe musi być okazany), nie zważając na nerwy zbiedzone podróżą.

Błogosławiona bądź, Australjo, za swych pogodnych, uprzejmych urzędników słowych.

Sympatyczny, dziewięciopiętrowy „The Australia Hotel“ przyjął znękanym, żądnym wypoczynku, kąpieli w słodkiej wodzie, łóżka, nadewszystko łóżka...

Nad głęboko, w ląd wcinajacem się morzem, rozlanem w zatoki małe, kształtne i urocze, zagospodarowało się miasto Sydney, najstarsza osada Australji.

Cook znalazł tak wspaniałą zatokę, że nie wahał się zawinąć i założyć kolonję.

Miasto rozwijało się powolnie (przeciwnie, jak Melburn, który zbudowano odrazu) prowadzone nieco bezładnie ze swojemi długiemi, lecz wąskimi ulicami, pełnemi zakrętów i nierozwagi. To jest centrum komercyjne „City“, pełne hoteli, banków, biur, sklepów i okazałych publicznych budynków. A ci, co tu pracowali, zapragnęli zupełnie słusznie, resztę chwil po pracy spędzić nad morzem, wśród bujnej natury. I stąd owe raczej przedmieścia, zamieszkałe przez całą 650.000 ludność.

Miasto stało się rozmyślnie czy nierozmyślnie centrum życia całego Stanu. Ześrodkowało się w niem wszystko. Tutaj kończą się koleje, tutaj port jedyny na całą Południową Walję, tutaj zamknięty cały ruch, cały handel... słowem jedyna groźna zaporą dla rozwoju innych miast. Podobnie zresztą jest i w innych Stanach, że stolica zagarnia wszystko, jedynie tylko w Queensland wybrzeże morskie całe zasiane portowemi miastami, które rozrastają się, nie krępowane stolicą Stanu, miastem Brisbane.

Przez cały dzień do godziny 6 wieczór panuje w City ruch gorączkowy. O tej godzinie miasto poczyną się wyludniać. Dziesiątki natłoczonych parowców uwozi ludzi na wszystkie strony ku zacisznym zatokom. Zostają tylko ci, co spędzają wieczory na zabawach.

Ruch dzienny, handlowy koncentruje się przeważnie na Circular Quay, gdzie mieszczą się olbrzymie składy z prasowaną w kwadraty i

włoczoną we wory wełną, niezliczone biura handlowe i okrętowe; zaś zwykły ruch uliczny i sklepowy na Georg street, mało estetycznej. Poza tem w kwadracie ulic, obejmujących monstrualnie wielki renesansowy budynek pocztowy, istnieje coś w rodzaju korsa. Przeważa płeć piękna, mężczyzn mało, bo na flirty uliczne Australczyk nie ma czasu.

Australczyk pracuje dużo i intensywnie, w krótkim czasie robi pieniądze, potem nic nie robi, a pieniądze robią się dalej same.

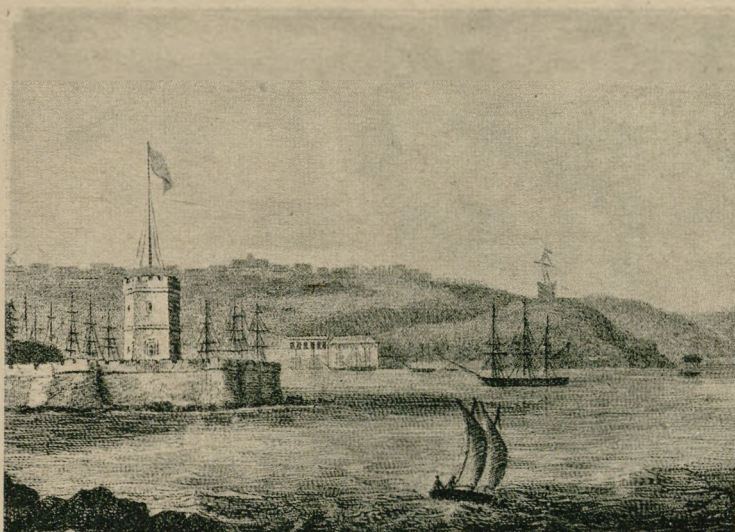
Zwiedzanie Sydneyu zaczyna się jak wszędzie w Australji od ogrodu botanicznego. Przepych wszelakich gatunków drzew świata, malowniczość położenia, rozmiar, czystość, połączenie praktyczności z poezją — zaprawdę podziwu godna.

Lecz precudne te aleje, pełne pożądanego chłodu — dziwnie ciche i opuszczone. Nikt tu prawie nie zachodzi. Prawdopodobnie dlatego, że ogród leży w City, w środowisku pracy, skąd każdy po dniu pracy ucieka do swych will, ogrodów. Dzieciarnia nie przychodzi, bo mieszka za daleko. Wszak Sydney ma 120 mil ang. obwodu.

Na takiej przestrzeni ogrodu zaledwie parę osób — i to prawie wszyscy zebrani przy klatkach z papugami.

W tej części ogrodu zebrano także pewne okazy zoologiczne, a więc przede wszystkim australskie „emu“ — zdobiące wraz kangurem tutejsze srebrne szylingi.

Ptaka, dochodzący do 2 m wysokości, koloru ciemno brązowego, o tonach jeszcze ciemniejszych na plecach, głowie i szyi, gdzie świecą potężne łysiny. Ma pióra jak struś, lecz podlejszego gatunku. Bojaźliwy i bajecznie głupi. Patrzy wzrokiem absolutnie nic nie mówiącym, typiąc oczyma jak latarniami i przebierając nogami jak tanecznica. Połyka wszystko, co mu podać. Szczególnie smakowały mu



SYDNEJ W R. 1812



SYDNEJ — „BRAMA“ DO PORT JACKSON

papierosy i zapalki. Żyje parami nie uznając, jak struś, wielożeństwa. Głupi ptak, ale zato samica składa jaja jadalne.

Nie można pominąć i dziobaka. Ssące zwierzę, jednoczerwone, o budowie kreta, pokryte rudawym włosem. Głowę ma zakończoną płaskim, rogowym, kaczym dziobem. Nogi krótkie, a palce spięte błoną, ogon dosyć długi i płaski. Żyje w no-

rach nad brzegami wód, żywi się owadami i mięczakami. Samica składa po dwa jaja, które umieszcza w gniazdach. Młode karmią się mlekiem matki.

Opisywać miasto byłoby trudne.



WIDOK NA „CITY“



SYDNEJ — G. P. O.

Zaznaczyć można ogólnie, że w centrum przeważają gmachy poważne, wielopiętrowe od dołu do góry zajęte na biura, sklepy, wynajmowane na godziny gabinety lekarskie, magazyny niestychanie ruchliwe, restauracje. Tu i ówdzie występuje jakiś gmach publiczny czy szkoła, uniwersytet (gotyk podziwu godny) czy biblioteka, muzeum, Galerja obrazów, kościół, klub, hotel czy boarding house. Raz po raz przecina ulicę bujny skwer lub park zabawowy, bądź ogród z pomnikami badaczy Australji lub pamiątką po Cooku, lub znów bieli się plac obszerny, po którym kręcą się wkoło tramwaje.

Do najpiękniejszych budowli należy: gotycka katedra Św. Andrzeja, ratusz, poczta, uniwersytet, szpital w sąsiedztwie ohydnej budy drewnianej parlamentu, pałac gubernatora, Galerja Sztuki i Muzeum.

Ruch uliczny odbywa się tramwajami bezwzględnej taniości, służącemi ku pożytkowi ludności, a nie dla celów reperowania finansów miasta. Tramwaje są najczęściej otwarte. Jeżeli niema wewnątrz miejsc wolnych, to zupełnie bez protestu ze strony konduktora, pasażerowie stoją na stopniu idącym wzdłuż

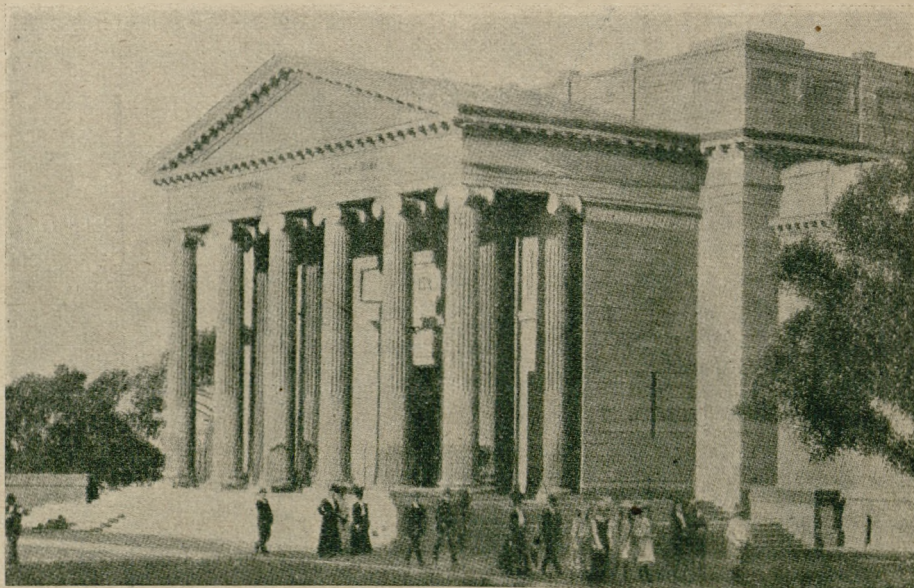
całego wozu, trzymając się sztaby. Nikt nie łamie jakoś karku, ale jak mu śpieszno, nie potrzebuje czekać. Dorożki należą do zbytku. Są to owe miłe angielskie Hansuny. Natomiast samochody w zwykłym użyciu, bruki wszędzie nadzwyczajne, a drogi podmiejskie porównać można chyba tylko z belgijskimi.

Wskutek tego, że właściwe centrum Sydney, nie wybiega poza ramy średniej wielkości miasta, ruch uliczny znacznie żywszy niż w Melbourne. W City gromadzi się dziennie setki tysięcy ludzi dla załatwienia swych interesów, czy pracy w biurach, magazynach, fabrykach. Tutaj codzienne obroty idą na miliony, tutaj znać temperament ludności. Lecz temperament ten nie wybucha w hałaśliwości ulicy. Owszem, wszędzie uderza powaga i jakby jakieś chmurne zamyślenie. Napewno można twierdzić, że ten, co tu przyjechał, przyjechał z pewnym celem, a uśmiech chowa na chwilę swobody w domu, gdzieś tam malowniczo nad jakąś zatoką rzuconym. Lecz to przypuszczenie zawodzi — gdyż Sydneyczyk stale jest smętny i poważny. Nawet piękne kobiety zdobi tylko smętny uśmiech, a energiczne nerwowe szczęki mężczyzn, rzadko zadrgają szczerym uśmiechem.

A przecież klimat tu tak miły, łatwość egzystencji nadzwyczajna, bogactwa zda się rozrzucone, trosk żadnych, polityka w ich ręku, przyszłość kraju niemniej, społeczeństwo nawskroś demokratyczne i zwarte, rozwój miasta i Stanu świetnie się przedstawia — więc niewiadomo skąd ten rys charakteru Walijczyków.

Żeby nie tracić czasu wyruszyliśmy pewnego dnia do La Perouse, miejscowości położonej nad zatoką Botany.

Tutaj właściwie wstąpił na ziemię Australji po raz pierwszy Cook.



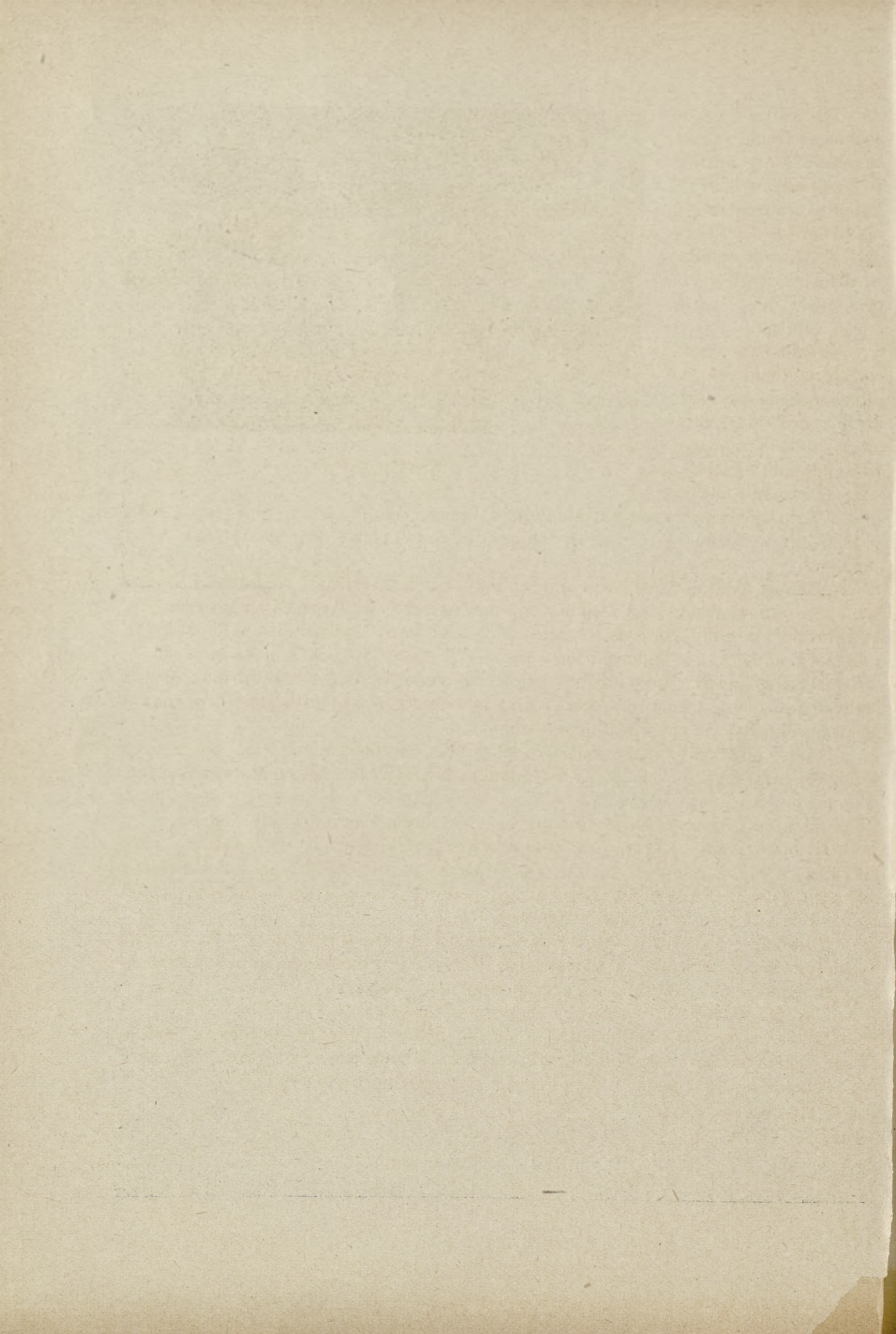
SYDNEJ — GALERIA NARODOWA



KATEDRA ŚW. ANDRZEJA RATUSZ I HALE TARGOWE W SYDNEJU



RATUSZ W SYDNEJU



Nazwa La Perouse pochodzi od żeglarza francuskiego, który zawinął do tego portu w r. 1778. Tutaj też widziano go po raz ostatni. Potem zaginął tak, że nikt nie dowiedział się, które morze pochłonęło jego barkę jego samego.

Na samej zatoce rzucony fort, grozi lojalnym morzom, niedaleko stacja kablowa do Nowej Zelandji i osada krajowców Nowej Połudn. Walji.

To właśnie nęciło.

Nie tu miejsce na obszerne studjum o krajowcach Australji. Słów tylko kilka o tych pierwotniakach, o których najpoważniejsze głowy angielskie całe tomy napisywały.

Wskutek odosobnienia Australji od innych części ziemi, pozostawieni sami sobie na nieurodzajnych, stepowych, ogromnych, pustynnych przestrzeniach, w klimacie skrajnie gorącym, gdzie nic nie rosło, gdzie nie było żadnych wierząt domowych, ograniczeni do wątej ilości i jakości środków pokarmowych — wytworzyli krajowcy Australji typ człowieka zupełnie odmienny od innych, typ jakby skamieniały, zostawiony przez dziwactwo natury w stadium pierwotnym, nawet po przyjsciu białego człowieka w te strony.

Dawni podróżnicy opisywali ich jako dzikich ludożerców, nie wierzących w bogów, bez religji, bez świątyń, bez żadnej własności, bez naczelników, mieszkań, jako myśliwych używających tylko dzid i bumerangów, a nieznających nawet łuku, nie posiadających broni właściwej wszystkim najbardziej pierwotnym narodom kuli ziemskiej.

To było zdanie pierwszych awanturników, wybijających na każdym kroku abrylców, a nie starających się i nie umiejących ich poznać. Później kilku badaczy jak Roth, Howitt, Wallace, Lydekker poszli pomiędzy nich i latami tam żyjąc, dali nam obraz odmienny zupełnie od tamtego.

Prawda, że krajowcy Australji od Anglików nie przyswoili sobie niczego, że kultura nasza okazała się dla nich za dostojna i za bardzo skomplikowana, że przyjęli tylko whisky, a sam się przyjął przymiot i ospa.

Obecnie należy ich uważać za rasę na wymarcie.

Wedle skrupulatnych badań, po latach polemik między uczonymi świata całego, ustalono (Spencer i Gillen), że Australczycy pochodzą od przodków: Weddów Cejlonu, Aino z Japonji, Toda z Indyj i pewnych grup Abisynji.



KRAJOWCY AUSTRALJI

Ci prawdopodobnie weszli do Australji w czasach, gdy ten ląd był jeszcze połączony przez Nową Gwineję z Azją. Pierwotnymi mieszkańcami Australji byli Tasmańczycy, którzy pod naporem hord, idących od północy, cofnęli się do najdalszych krańców Australji, jaką była w epoce trzeciorzędnej Tasmanja. Po ich przejściu utworzyła się cieśnina (Bass'a) i zamknęła ich na wyspie Tasmanji, pozostawiając tych nowych przybyszów panami olbrzymiego kontynentu.

Te wędrówki odbywać się miały w okresie, gdy Australja była bardziej żyzna i miała więcej deszczów, a nawet jak chcą Schoentensack i Klaatsch, gdy Australja była kolebką całej ludzkości.

Australczycy pozostali — zbrakło tylko Tasmańczyków. Obecnie nie istnieje już ani jeden Tasmańczyk na całej kuli ziemskiej. Wybili ich doszczętnie Anglicy, urządzając na nich polowania z psami, podając im zatrutą wódkę... W r. 1835 wywieziono resztę żyjących Tasmańczyków w liczbie 210 na wyspę Flindersa, a w r. 876 umarła królowa Tasmanji Lala Roukh, jako wogóle ostatnia istota z rodu Tasmańczyków.

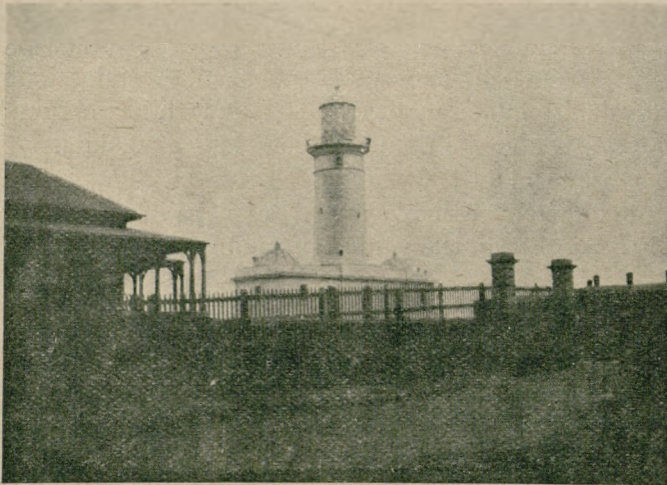
Gdy ta horda narodu znalazła się na wielkich pustyniach australskiego lądu, poczał wytwarzać się typ. Pustynia — kazała rozwijać się mięśniom, intensywność światła — wpłynęła na zmniejszenie się oczu, żywność gruba i twarda — na rozwój szczęk, jednostajność otoczenia, brak podnieć, potrzeb — na rozwój umysłowości, brak nieprzyjaciół — na charakter łagodny i niepodejrzliwość. Nie było co jeść — nie potrzeba naczyń, ciepło — nie trzeba ubrań, brak deszczu — nie trzeba mieszkań.

Tak powstał typ (Denikier, Spencer, Gillen, Ratzel i v. Gennep).

Typ o wysokości do 1.67 cm na cienkich nogach bez łydek i o cienkich rękach. Kolor ich skóry od czekoladowo-brązowej do jasno-żółtej. Włosy fryzowane lub ondulowane, nigdy kędzierzawe, głowa wydłużona, nos zajmujący nieraz połowę twarzy, spłaszczony, szeroki w nozdrzach a wąski u nasady, na czole bruzda pionowa do nasady nosa, wargi

grube, zęby szerokie o kłach szczególnie rozwiniętych, oczy czarne, białka zabarwione żółtawo, pojemność czaszki średnia, czaszka prognatyczna, żyły nabrzmiałe krwią.

Absolutnego typu wytworzyć niepodobna: są czekoladowi, ale są i jasnożółci, są nosy spłaszczone, ale są i semickie, a nawet zupełnie regularne. Włosy mają czarne jak smoła, które na starość nie bieleją, lecz dostają odcień szary. Tors rozwinięty prawidłowo, owłosienie ca-



LATARNIA MORSKA NA MIEJSCU KATASTROFY „DUNBARU“



„KING BILLY“ ZE „SZTABEM“



KRAJOWCY AUSTRALJI

tego ciała silne. Wszyscy natomiast mają jedną cechę wspólną — a mianowicie bardzo śmierdzą.

Umysłowość ich przedstawia się tak: są spokojni i bojaźliwi nieco, przy czem łaskawi, wobec obcych gościnni i chętni. Anglik Buckley przez 30 lat u nich pozostawał, tak samo jak King, jedyny, który ocalał ze sławnej wyprawy Bourkego, latami żył wśród tych dzikusów, a ostatnio Spencer i Gillen przebywali wśród nich wiele lat, zaglądając im w dusze i w garnki. Są jednak łatwo zapaleni i podniecają się dość szybko, jak to bywa u ludzi nerwowych. Nigdy nie byli jednak powodem wielkich zamieszek w kraju i nigdy nie staczano z nimi walk jak n. p. w Nowej Zelandji. Może być, że zrozumieli wyższość białych przybyszów. Niezorganizowani zupełnie, żyjąc koczowniczo, gromadami tylko małemi, woleli cofać się w głąb kontynentu niż darmo przelewać krew i ginąć. To jedyny kraj — z czego dumni Anglicy — przy którego okupacji nie padł ani jeden żołnierz angielski. Żołnierz angielski być może — ale krajowiec zapewne niejeden.

Broni i narzędzia wyrabiają z drzewa, kamieni i kości, ozdabiając je niejednokrotnie ornamentacją wklęsłą, muszlami lub malowidłami.

Charakterystyczną bronią Australji jest „bumerang“ (powrotny) i dzi-domiót.

Bumerang, jest to zakrzywiona sztaba twardego, ciężkiego drzewa, długości 3—6 stóp, którą z wielką siłą i zręcznością rzucają, a która lecąc ze świstem i obro-tami i wznosząc się coraz to wyżej, uderza człowieka czy zwierzę i wraca do nóg rzucającego. Rzucają nią także i w taki sposób, że idzie w podskokach po ziemi, po pewnej chwili wznosi się w powietrze, zatacza łuk i powraca. Używają jej do polowań. Człowiek jedynie w skroń uderzony, może od niej zginąć, lecz uderzony w kość, może stać się niezdolnym do walki. Do walki serjo używają dzid długości około 10 stóp o ostrzu z kamienia, kości, a w czasach ostatnich z izolatorów elektrycznych od telegrafu, który okradają wszędzie. Dwid nie zatrują nigdy, a miotają je ręką lub zapomocą dzidomiotu, działającego jak proca. Jest to mocna sztaba drzewa, mająca na jednym końcu kawał drzewa, ukośnie do sztaby sznurami przytwierdzonego. O ten kawał drzewa opierają tylny, wyłobiony koniec włóczni. Drugi koniec dzi-domiotu trzymają w ręce zgiętej w przegubie i mocnym ruchem ramienia nadają włóczni pęd na dalszą metę, niżby się to normalnie stało.

Do broni zaczepnej zaliczyć jeszcze należy pałkę (maczugę). Do obrony zaś służy tarcza gruba i ciężka, lecz bardzo wąska. Jest to raczej kij, w miejscu ujęcia czyli najszerszem do 4 cali mający.

Jako narzędzi codziennego życia, używają kijów do wygrzebywania korzeni, siekierek kamiennych, małych kamieni, przygotowanych jako skrobacze do skór i do otwierania zwierzyny. Kamienie te polerują zapomocą wody i żwiru. Znają jeszcze kliny, noże, raszple, przysieki, kamienie do mlenia, do rozcierania ziarn dziko rosnących, młoty, tłuczka do włókien, kamienie do rybołówstwa.

Będąc plemieniem koczowniczem, nie budują chat, a obozują wszędzie, zwykle pod gałęziami naprędce ściętymi. Ubrań nie używają, tylko sznurem prze-

pasują biodra, a od sznura tego zwykle wisi szereg chwastów. W Stanie Wiktorji, gdzie zimniej, narzucają na plecy skórę kangura lub opossum.

Ciało mają pokryte bliznami od podłego tatuowania, do której operacji używają farby białej, czerwonej i czarnej. Wzory wycinają w koła, kwadraty i wcale harmonijne linje. Czasem przystrajają skórę malowidłami, używając do tego farby białej.

Liczbę krajowców jedni podają na 100.000, inni zaś na 200.000, naturalnie w czasach, gdy przyszli Anglicy. Dziś lepiej nie badać. Giną coraz bardziej z nędzy i poniewierki. Smutni usunęli się w głąb kraju, nie chcąc przyjąć cywilizacji.

Język krajowców, jakkolwiek opiera się na jednolitej podstawie, nie jest jednakowy wszędzie. Z powodu tego charakteru koczowniczego, każda rodzina odrywa się od dawnej grupy rodzinnej i traci wspólność pojęcia, a nie mając mowy spisanej, rozwija czasem specjalny dialekt, tworząc nowy, niezależny szczep. Gramatykę języka plemienia Parakalla wydał w r. 1860 Szurman. Wedle niego język odznacza się wielką harmonijnością. Dla ciekawych jedno zdanie:

Kukatarri yirrabukarri kuyabidni. Ma to znaczyć: plemię Kukata zepsuło sobie zęby, jedząc ryby.

Dalsze przykłady: Ojciec — kuni, matka — kutjina, żona — karina, mąż — kai-kai, teściowa — mimai-inna, brat — pappa, siostra — kakarinnia i t. p.

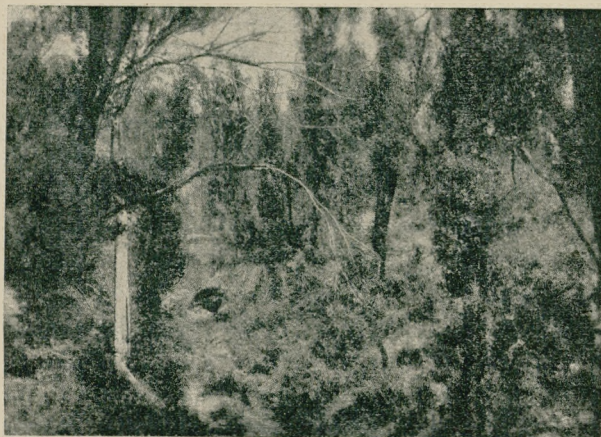


JEDNA Z NAJPIĘKNIEJSZYCH...

Żyją w gromadach. Typową formą rządu jest Rada mężczyzn plemienia (wedle Howitta), która odbywa regularne posiedzenia. Naczelników despotycznych nie znają. Tylko w Stanie Wiktorji istnieli tacy naczelnicy dobrze ugruntowani i oni nazywali się królami, jak np. sławny King Billy, stary szef plemienia z pod Melburnu. Zresztą u rozmaitych plemion, rozmaite istniały pod tym względem zwyczaje. U niektórych byli tacy naczelnicy dziedziczni, u innych czarnoksiężnicy przy pomocy Rady zarządzili, u innych znowu najstarsi wiekiem.

Do atrybutów Rady należało prawo karnia. Australczycy rozróżniają zbrodnie popełnione przeciw osobnikom, które są mszczone i karane przez jednostki i zbrodnie przeciw całemu plemieniu, o których karygodności rozstrzyga Rada. W razie niepewnej winy nakazywany bywa Sąd boży, zwykle rzut włócznią. Gdy dany osobnik uniknął ciosu, jest bez winy — gdy nie uniknął, bywa karany mimo otrzymanej rany.

Co do własności prywatnej, to zdania są podzielone. Nic dziwnego, że tak trudno nieraz dociec prawdy. Wszak taki dziki niechętnie wywnętrza się wobec białego, często kłamie, często zmyśla i fantazuje. Nie mogę mieć zaufania do cudzoziemców, więc za fakt absolutny nie można przyjąć podanych spostrzeżeń. Poza tem należy uznać to, że krajowcy nie określają dobrze swych myśli, nie potrafią wytłumaczyć dobrze tego, o co są zapytywani — a i brak znajomości ich języka niesłychanie utrudnia badanie i poznanie.



BUSH W WIKTORJI

U plemienia Dieri każdy dorosły mężczyzna miał swoją własność z polowania, naturalnych produktów ziemi i prawo własności ziemi. Tak np. pewna grupa krajowców w Wiktorji była właścicielką góry William i u niej inne grupy kupowały przez handel zamienny, kamienie, noże, skrobaczki, które wyrabiano z kamieniomów tej góry (Howitt). W tych wyrobach plemiona niejednokrotnie specjalizowały się. Tak np. bumerangi malowane i ornamentowane wyrabiano w Queensland. Na takich podstawach wyrabiał się handel międzyplemienny. Istniały stacje handlowe, jak naprzykład znana i opisywana nad rzeką Cooper. Handel był dziedziczny. Istnieli też specjaliści postowie handlowi. Poseł taki miał „święty kij“. Czasem taki poseł nie miał ustnych poleceń, tylko na „kiju“ wycinaniem pisano zamówienia czy rozkazy.

Najbardziej zawile przedstawia się kwestja religji.

Formą religji jest fetyszizm, lecz mało mają materialnych fetyszów. Powszechnym fetyszem wszystkich plemion jest „grzechotka“.

Silna ich imaginacja uniezależniła religję od wyobrażeń widocznych. Pewne jest, że świątyń nie mieli, ani nie mają, ani bogów kamiennych czy drewnianych lub malowanych.

Całe życie krajowca Australji wypełnia wiara w duchy i świat duchowy. W kołach kobiet i dzieci wpajano zasady wiary, że głos grzechotki jest głosem potężnego ducha. Ta idea duchów różni się w różnych częściach kontynentu, lecz istnieje wszędzie.

Niebo wyobrażają sobie jako płaszczyznę, po której można chodzić. Wejść zaś do nieba można po bardzo wysokiem drzewie. Naturalnie uczynić to mogą tylko siły nadprzyrodzone. Niektóre gwiazdy — to ludzie. Castor i Polux są bliźniętami, Orion to szereg starych bab, a Plejady to znów małe dziewczęta.

Do misterjów religji zaliczyć można i wiarę plemion, że przodkowie przychodzą do nich w nocy podczas snu i dają im rady, nauki i ostrzegają przed niebezpieczeństwami (widzenia senne).

Religia ma pewne przedmioty czci — „tabu“. Nie można ich tykać, ani używać, ani oglądać — mogą to czynić tylko pewni wybrani ludzie. Takim tabu są pewne drzewa, niektóre kamienie, groty, kij posłów i tak zwane przez Spencera i Gillena „churinga“. Najbardziej popularnym i interesującym churinga jest grzechotka.

Jest to krążek z drzewa lub kamienia, umocowany na plecencie z włosów ludzkich, włókna roślinnego lub skóry. Gdy się nim obraca, wydaje warkot. Do tego warkotu przywiązane są legendy, że to głos Ducha. Te churinga u wszystkich plemion są starannie chronione przed kobietami i dziećmi, które dopiero przy ceremonii upełnoletniania wtajemniczają w ich moc, wartość i znaczenie.

Dalszem tabu są przedmioty magiczne „arungyuitha“, które mają swoją siłę i władzę. One uśmierniają choroby, wywołują porost brody, używane są jako leki, by kobieta zaszła w ciążę — czyli, że mają moc czynienia dobrego, podczas gdy churinga — złego. Churinga są więc potęgą religijną, a arungyuitha — magiczną.

Obrzędy pogrzebowe mają skomplikowane i pełne powagi. Ciało grzebią w dole głębokim, albo owinięte korą drzewną, składają na wysokiej platformie osadzonej na palach. Przy umarłych składają broń, gdy to był mężczyzna, gdy kobieta, kij do wygrzebywania korzeni. U plemienia Unghi ciało nieboszczyka wpród wędzono, u Kurnai suszono na słońcu, u innych plemion palono, a popiół zagrzebywano w koszyku. Części włosów i kości po zmarłym można zachować na pamiątkę, lecz imienia zmarłego nie wolno wymawiać — gwoli respektu.

Kanibalizm, jako część religii, pozostał przy pogrzebach. Potomkom wolno zjeść kęs mięsa, nerki lub wątroby, a to w tym celu, by odziedziczyć cnoty ojca swego (Howitt).

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o legendach. Jest ich mnóstwo, a wszystkie bardzo ciekawe i barwne. Zebrał je van Gennep. Dla nas charakterystyczną i interesującą jest legenda o przodku Arunta, który był synem dziewicy i umarł, a po zmartwychwstaniu założył plemię Arunta (Kempfe). Dla przykładu przytaczam parę najciekawszych.

O POWSTANIU CZŁOWIEKA

Legenda plemienia Wurrumjerri z okolicy Melburnu — wedle Brough-Smytha

Bunjil (duch) zrobił dwóch mężczyzn z gliny. Temu już bardzo, bardzo dawno. I ci dwaj oddychali w kraju na północnym zachodzie. Oto jak Bunjil zrobił dwóch czarnych mężczyzn: swym wielkim nożem on przekroił 3 wielkie płyty drzewa z kory obrane. Na jednej z nich on ułożył pewną ilość gliny, którą spulchnił swym nożem, o ile było trzeba. Gdy glina była wilgotna, on przeniósł jedną część na drugą płytę odartą z kory i modelował tak, by jej dać kształt ludzki, zaczynając od stóp. Potem zrobił nogi, potem tułów, potem ręce i głowę. I na każdej z dwu płyt, obranej z kory, zrobił człowieka. Był zachwycony swym dziełem, długo patrzył na ludzi i tańczył naokoło. Potem wziął włókna eukaliptusowe i zrobił włosy i wsadził im je naokoło głowy. Jednemu włosy proste, drugiemu włosy kręte. Bunjil znów więc patrzył na swe dzieło, które mu się bardzo podobało i znowu tańczył na-

około nich. Każdemu człowiekowi on dał nazwę. Człowieka o włosach prostych nazwał Berroukbourn, człowieka o włosach krętych zaś Koukinberrouk. Potem rękami swemi wygładził ich ciała od stóp do głów, położył się na każdym z nich, dmuchnął w nich swój oddech w usta, nos i pępek. A że dmuchał bardzo mocno, oni ożyli. On tańczył tedy po raz trzeci naokoło nich. Potem zrobił ich mówiącymi, kazał im się podnieść i oni podnieśli się jako mężczyźni dojrzały, lecz nie jako dzieci.

O SŁOŃCU

Legenda plemienia z nad rzeki Pennefather

Słońce jest kobietą. To był Grzmot, który ją stworzył. On dał jej tylko dwie nogi, jak innym istotom ludzkim, lecz wiele rąk, które można widzieć, gdy ona idzie spać i gdy wstaje (promienie). Wieczór, to ona jest głodna i zatapia się w wodzie lub ziemi, by wyszukać sobie korzenie, jaszczurki lub ryby.

O POTOPIE

Legenda plemienia Wiktorji

Morze ma wody, które się różnią od tych, jakie płyną w rzekach i od tych, które schodzą z nieba. Dawno temu, duch Bunjil był rozgniewany na czarnych. Był rozgniewany, ponieważ oni źle się zachowywali. I Bunjil zaczął oddawać mocz przez dużo, dużo dni, i wszyscy czarni utopili się, wyjąwszy tych, których Bunjil ocalił. Tych on wzięł i na niebie umieścił jako gwiazdy. Jeden mąż i jedna kobieta, którzy wydrapali się na drzewo, na pewnej górze, uniknęli zalewu, który urządził Bunjil. I oni żyli tak dalej. I wszyscy ludzi obecnie pochodzą od tych dwojga.

Głównem zdarzeniem socjalnem u plemion są Corrobori. Są one raz uroczystościami tańców, zabaw i uczt, raz znowu obrzędami świętymi dla przebłagania pewnych duchów, jak np. celem sprowadzenia deszczu, innym znów razem służą do nadania tajemniczego charakteru pewnym ceremonjom, podczas których wtajemniczają chłopców w ich obowiązki, i uznając ich za dorosłych, pozwalają na wiadomości o tabu. Do takich ceremonij należy długa bo kilka dni trwająca ceremonia Gna-loung, właściwa wszystkim szczepom, t. j. ceremonia wybijania zęba, lewego górnego siekacza.

We wszystkich tych ceremonjach ogromną i przeważającą rolę odgrywa taniec. Tańce te mają znaczenie realne, to znaczy, że spodziewają się po nich wpływu na świat zewnętrzny (Gregory). Sławny taniec księżycowy, odbywa się w okresie wezbranych namiętności, na wiosnę — jest dalej taniec „psi“, taniec „kangurowy“ i t. d. Podczas tańca śpiewają. Śpiew zawsze jest oparty na słowach. Zaczynają melodję od najwyższego tonu, opadając coraz to niżej. Pieśni te są przeważnie z dawnych bardzo czasów i tekst ich jest już tak zmieniony, że sami nie wiedzą, co śpiewają.

Przeprowadzić klasyfikacji plemion Australji niepodobna. Nie udało się to żadnemu z uczonych. Cechą ich wszystkich jest jednostajność, tak, że prawie niepodobna ich odróżnić. Klasyfikować wedle języka także niepodobna, gdyż znajomość ich

języka jest bardzo słaba. Wedle zwyczajów także bardzo trudno, gdyż prawie wszędzie istnieją podobne z małemi tylko odmianami.

Bardziej jeszcze zawity, niż system religijny, jest system małżeński. Opiera się on na podstawie egzogamicznej. U jednych — plemię dzieli się na klasy i podklasy i tu nie wolno zawierać związków małżeńskich w tej samej klasie. Znów klasy podzielone są na pewną ilość grup totemicznych i tu małżeństwa pomiędzy członkami tej samej grupy totemicznej są niedozwolone. U innych plemion nie wolno zenić się z kobietą, która mówi tym samym dialektem.

Słowem system zawity i trudny do rozplątania.

Niejasne jest także powstanie grup totemicznych w Australji. Jest wiele w tym względzie teoryj.

Każdy klan ma niejako swój herb, swój symbol i oznaczony bywa imieniem zwierząt, roślin i to jest totem tego klanu. Naprzykład: człowiek — emu, człowiek — kangur, człowiek — trawa. Małżeństwo w tych samych klanach, w tem samym totemie jest stanowczo zakazane, a stosunki płciowe między takimi osobami są karane śmiercią.

Totem ma jeszcze tę doniosłość, że każda grupa totemiczna ma zapewnić powiększenie, trwałość i używanie tego życia lub rzeczy, której nosi imię i do której należy. Tak: człowiek-kangur, dostarcza mięsa kangura dla człowieka-emu, dla człowieka-wody, od których znów otrzymuje jaja emu, wodę i t. p.

U większości plemion Australji, dzieci należą do klanu rodu matki, a nie ojca. Tak więc w walkach często ojciec i syn spotykają się jako wrogowie.

U pewnego plemienia nad rzeką Proserpine, bóstwo zwane Kunja, daje każdemu dziecku rodzaj duszy, zwanej Choi, która po śmierci człowieka wraca do miejsca świętego, służącego jej za pobyt wieczny.

Wskutek tej wiary, śmierć znaczy uwolnienie ducha dziecka i pozwolenie wrócenia mu do siebie. Nie jest więc śmierć wynikiem uroków lub karą za zwałenie zakazu.

Kilka słów jeszcze o wierzeniach i zapatrywaniach plemion różnych na sprawy naturalne, które wedle ich mniemania zapomocą rytuałów magicznych nadprzyrodzenie mogą być wywołane. Tak np. by młodym dziewczętom urosły piersi, malują naokoło sutek koła czerwoną farbą i śpiewają pieśń do piersi; by urosła broda młodzieńcom, pocierają twarz kamieniem świętym. Menstruacja pochodzi stąd, że wątroba pęka na dwie części, nieplodność następuje wtedy, gdy dziewczyna nosi pasek z włosów umarłego, poród przedwczesny, trudny lub niekształtność noworodka powoduje to, że dziecię-duch, zostało wprowadzone do kobiety z zakazanej klasy małżeńskiej lub totemu.

Ceremonja ślubu odbywa się w zupełnie prosty sposób. Mężczyzna chwyta kobietę za ramię i ciągnie ją za sobą, a czasem dla dodania sobie powagi bije ją maczugą po głowie.

Kobiety australskie są nadzwyczaj szpetne i nieproporcjonalne. Małżeństwo dla kobiety jest cierpieniem. Mąż nic nie robi, tylko poluje, a kobieta musi zbierać

owoce, korzenie, nosić wodę, budować szałas, nosić dzieci w wędrowkach dalekich i znojných, bezcelowo wałęsających się plemion. Zjada tylko resztki jedzenia. Zato wszystko mąż może ją bić wedle upodobania, a nawet zabić. Kobiety australskie żyją przeciętnie do 50-ciu lat i bardzo szybko się starzeją.

Niektóre plemiona podobno zabijają dzieci, gdy ich za wiele na świat przychodzi. W każdym razie, gdy są bliźnięta, jedno zabite być musi, gdyż matka nie może nosić dwojga na plecach. Lecz zato, gdy dziecko zostanie zakwalifikowane do życia, dzieje mu się wcale dobrze na świecie.

Mężczyźni są uprzywilejowani. Zręczni, gibcy, szybkobiegacze, polują znakomicie, skacząc po trudnych terenach jak kangury, ślizgając się węzowym ruchem po ziemi, pnąc na prostopadłe pnie wysokich drzew zapomocą sznura i siekierki, odznaczają się przytem niesłychaną wprost cierpliwością. Palce u nóg mają tak wyrobione, że podejmują niemi przedmioty z ziemi, a stwardniałej stopy używają zamiast kowadła.

O byle co staczają walki międzyplemienne. Jako wezwanie wojenne, posyła jedno plemię drugiemu pęk piór Emu. Jest to zerwanie stosunków dyplomatycznych. Do walki malują ciała i śpiewają: Przebij jego czoło... przebij jego wątrobę, serce i tym podobne części ciała. Wywijają dzidami, ryczą, wyją, rzucają na siebie najstraszliwsze obelgi. Następuje krótkie starcie i walka kończy się, gdy jeden przeciwnik padnie. Nie są więc okrutni.

W tych zestawieniach zebranych z rozmaitych mądrych traktatów, dzieł, broszur, polemicznych artykułów, wspomniałem o czarnoksiężnikach. Jak prawie w każdym społeczeństwie, tak tem bardziej u pierwotniaków takich jak Australczycy, czarnoksiężstwo poprzedziło religję. Tajemniczość odgrywa zawsze i wszędzie swoją rolę. Zabobony mało mają wspólnoty z kulturą wyższą. Na tle takiej tajemniczości i zabobonów ogólnych, wyrasta osobnik powiedzmy sprytniejszy od ogółu, który urodził się z mózgiem geszefciarskim. Taki osobnik poczyna spekulować na łatwowierność ludzi i robi karierę swemi oszustwami. Byle nieco sprytu i fantazji.

Nic dziwnego, że w Australji, na tak jałowem tle umysłowem, wyrastali czarnoksiężnicy, tworząc prawie kastę.

U niektórych plemion, tacy czarnoksiężnicy, zwani lekarzami, są rodzajem naczelników, kojarzą małżeństwa, przewodzą w obrzędach, przestrzegają formalności przy sądach bożych, mają nadzór nad deszczem i pogodą. Piastują oni faktycznie władzę i wydają rozkazy. Może właśnie zczasem wyrobiliby się z nich królowie, lecz rasa ta, zanim dojdzie do jakiegokolwiek rozwoju, prawdopodobnie zniknie z powierzchni ziemi.

Są bowiem fizycznie i moralnie tak podupadli, tak mało już mają cech wspólnych z tymi, których spotkał pierwszy Europejczyk, że los ich, zda się, przypieczętowny.

Żyją jeszcze w Australji środkowej, w okolicach pustynnych, jako pierwotni ludzie w całym tego słowa znaczeniu — ci zaś, których my spotkaliśmy, przedstawiają smutny widok. Anglicy twierdzą, że obchodzili się z nimi i obchodzą przy-

jaźnie. Zaprzeczyć dziś temu niepodobna, lecz pierwsi osadnicy i awanturnicy nie odnosili się do nich bynajmniej z pobłażaniem.

Krajowcom trudno było pogodzić się z myślą i ograniczeniem ich własności i wolności, z tem, że mu zabierają ziemię i odejmują swobodę ruchów. Czasem ustępywali, a czasem powstawały zatargi, zwłaszcza, gdy całe bandy poszukiwaczy złota przebiegały Australję. Popelniano wtedy mordy masowe i zatrutowano ich wódką, do której lgnęli.

Dziś krajowiec nadbrzeżnych części Australji, przedstawia zupełnie komiczny obraz, gdyby nie smutny.

Ubrany z kieszka po europejsku, melonik na kudłatym łbie, patrzy melancholijnym wzrokiem i zaledwie raczy na pytania odpowiadać.

W La Perouse mieszkają w małych domkach, pokrytych falowaną blachą. Wewnątrz czysto — głównie dlatego, że cały dzień spędzają za domem.

Siedzi właśnie taka cała czarna rodzina na trawie.

Pozwalają krzątać się po swoim domu, zaglądać wszędzie, obojętni na wszystko. Właściwie zaglądać niema za bardzo w co i gdzie — bo wszystko prawie europejskie.

Prosiliśmy, by pokazał rzut bumerangiem.

— No... sunday...

Wszyscy świętują, to i on. Może nawet katolik...

I szyling nie naruszył przekonań. Dopiero przyniesiona z pobliskiej restauracji fłaszczyna whisky, zrobiła swoje.

Rzucił zadziwiająco.

W naszych rękach bumerang był kawałkiem bezdusznego drzewa. U niego w łapach odżył.

Na dłuższe rozmowy nie dał się naciągnąć. Może dlatego, że wiele było osób, może dlatego, że nie podobaliśmy się mu.

Smutny obraz...

Pojęcie wprost przechodzi, jak daleko Australczyk jest zadowolony ze swego losu.

Niezmiernie to miłe dla podróżującego, gdy słyszy wszędzie swobodny śmiech, widzi ludzi bawiących się całą duszą.

Jednak coś tu nie w porządku.

Mianowicie ta chęć użycia, ta praca tylko dla teraźniejszości, ten jakiś masowy egoizm. Australczyk nie lubi, czy nie chce zastanawiać się nad tem, co będzie. W danej chwili jest mu dobrze, jest im dobrze, wystarczy tego dobra na całe ich życie, a może nawet i dla ich potomstwa. Energji jakby nie było i tego rozpędu na dałszą metę. Wiele wprawdzie zrobili — ale to właściwie ich przodkowie, ci co dawniej przybyli z Europy, dobrowolnie czy nie dobrowolnie, ale nie obecne pokolenie.

Przyczynia się do tego przedewszystkiem klimat — wieczna wiosna i upały, a także i ta chwiloowa łatwość warunków bytu. Stąd płynie zadowolenie i wesołość

obecnego pokolenia, które wierzy w niewyczerpane naturalne skarby swej ziemi, stworzonej dla szczęśliwców, których losy zagnaty w dal złota pełną. Ogół nie zastanawia się nad tem, że urodzenia są zbyt słabe, że system dwojga aniołków, zyskuje coraz więcej zwolenników, że ów mur chiński problemów imigracyjnych, którym się otoczyli, zwiększa niebezpieczeństwo.

To sprawy statystyków i myślicieli.

Życie w Australji koncentruje się po miastach. Tu jest cel, ruch, życie, tu o zarobek łatwo, tu można wydawać i używać. Życie w buszach straciło urok. To było dobre dla praocjów, ludzi twardych, dla których koniecznością było pracować i tworzyć podstawy życia dla siebie, a gdy taka podstawa już istnieje — jest miło, dobrze i wesoło.

Niechże więc będzie.

W trzeciem zaledwie pokoleniu wytworzył się specjalny typ Australczyka.

Są szczupli, średniej miary i nerwowi. Mężczyźni przypominają Anglików o ruchach południowców, a serdeczności Amerykanów. Kobiety podobne raczej do Amerykanek o temperamentcie Hiszpanek. Są silne, drobne, zgrabne i bardzo... łatwe. Chciałem napisać „ładne“. Niechże już zostanie i łatwe i ładne. Ubierają się dobrze (Melburn ma swoją modę, a Sydnej swoją) i obwieszają złotem i akwamaryną. A już prawdziwą chorobą pań czy pokojówek, są grube, złote obręcze, zakuwane na przegubie rąk lub przedramieniu. Czynią to na wzór Papuasek.

Mężczyźni przeciętni i zaniedbani. Włosy krótkie, strzyżone na jeża, ręce po kieszeniach szerokich spodni, grube buty mimo upałów i fajka w wąskich, bezwąsych ustach. Do fajek tych wyrabiają w Anglii specjalny tytoń dla Australji. Jest to zbity, prasowany pęk liści tytoniowych, płaski i twardy jak kawał drzewa, które każdy fajczarz kraje nożem, rozciera na dłoni i sypie do fajki.

Naogół są zwarci i mocni w charakterze, niewiasty zaś kokiетки i słabe. W tak zwanem towarzystwie, jednak spotyka się wiele kultury, wysubtelnienia i elegancji.

Do szyku należy język francuski. Lecz daru do wymowy nie mają.

Pewna dama z towarzystwa, zapytana, czy mówi po francusku, odpowiedziała z odcieniem głębokiej pewności i zadowolenia:

— O Yes — un pou...

Lubią się bawić i zapełniają teatru, music-hall'e, kina, gdzie zachowują się entuzjastycznie. Szczytem zadowolenia jest, mocny przeciągły gwizd. O prawdziwej muzyce mają jednak mdłe pojęcie. Najmuzykalniejszym miastem jest Melburn. Istnieje tam nawet stała orkiestra symfoniczna, co prawda pochodzenia nieco semicko-niemieckiego.

Właściwie muzyka jest pewnego rodzaju plagą Australji. Wszyscy tam grają i śpiewają. Organy po domach prywatnych bardzo częste, a fisharmonje, fortepiany wszędzie. Najwięcej jednak zdolności mają do... pianoli. Śpiewają zaś wszystkie niewiasty od babci do wnuczki. Materiały głosowe są pierwszorzędne, lecz wykształcenie marne.

Tem zamięrowaniem do muzyki tłumaczy się istnienie olbrzymich magazynów nutowych, jak Allan w Melbourne, a Palling w Sydney. Są to największe magazyny świata.

Dalszą specjalnością Australczyków jest wdzięk i niebywała gościnność. Nawet brutalna gdzieindziej ulica, ma tam swój wesoły wdzięk.

Choć to kraj ze stanowiska socjalnego najbardziej demokratyczny na kuli ziemskiej, nie ujawnia się to nazwewnątrz. Niema w nim nienawiści żadnych. Jednego tylko ulica nie znosi, to jest cylindra. Te wygwizduje stale — ale nie jest to ów miły gwizd z teatru.

Zato ci, co należą do towarzystwa, są naprawdę bez żadnej złości. Gdyby się chciało korzystać ze wszystkich zaproszeń na obiady, to należałoby wprost z Australji, jechać do Karlsbadu. Gdyby się przyjęło wszystkie ofiarowane do użytku samochody, to miałby człowiek osobną maszynę dla każdego członka ciała.

Pikniki, garden-party, rauty, bale należą do normalnego rozkładu dnia.

Z Ameryki przedostał się zwyczaj urządzania herbatki popołudniowych. Wtedy wszędzie pełno. Przeważają kobiety, zwykle życie próżniacze pędzące. Mężowie, ojcowie pozostawiają wiele swobody żonom i córkom, może zawiele. Ale to ich rzecz. Pożycie małżeńskie jest spokojne i pełne wzajemnej wyrozumiałości. Australki są bardzo ponętne, a wiedząc o tem, korzystają ze swobody i ponętności. To wieczna wiosna temu winna. A wiadomo, co wiosna broić potrafi. To też broi się wszędzie z ochotą, ze śmiechem, bez tragedji. Tragedja nie należy do tonu i nie prowadzi do szczęścia...

O Polsce niewiele wiedzą.

Mają wprawdzie w Alpach Australskich szczyt (najwyższy w Australji 2240 mtr.), nazwany imieniem Kościuszki — uczynił to w r. 1852 badacz Australji Strzelecki — lecz pewności co do tego imienia nie mają. Wymawiają „Kosjasko“. Jeden Australczyk twierdził, że to był Amerykanin, inny dziwił się, jak wogóle tak można się nazywać i że to zapewne nie jest żadne imię, a inny jeszcze zapewniał, że to jakieś nieporozumienie. W każdym razie na pochwałę Australji trzeba dodać, że do tej pory nie zmienili nazwy np. na Hindenburgspitze. Ogromnie ciepło, mimo i tak ciepłego klimatu, robi się polskiemu podróżnikowi, gdy widzi za oknami sklepów, w tramwajach, hotelach, biurach anonse z imieniem Kościuszki.

Szalenie reklamują ten szczyt i sporty zimowe. W górach Kościuszki od maja do listopada pada śnieg i wtedy panuje powszechna radość. Gdy na równinach praży słońce wcale dobitnie, pocieszny widok sprawiają gromady młodzieży czy starszych, sunące ku dworcom kolejowym z saneczkami lub nartami na plecach. Wszystko to bieży na górę Kościuszki. Ubielone szczyty Alp Australskich roją się od wycieczkowców. Tryska życie, jednostopniowy mróz barwi uszy, policzki. Wyścigi, skoki, ślizgawka, sanki, walki bombami śnieżnymi wrą na całej linii.

Całe to pasmo uśnieżone, szumnie zwane Alpami, podobne raczej do naszych Karpat wschodnich. Nic tam grozy, dzikości. Łagodne stoki, powolne opady, kopuły pokryte lasami. Sam szczyt nieco kamienisty. Są tam wszędzie ślady lodowców, moreny, trochę czeluści i wąwozów. Geologja zalicza ten masyw górski do najstarszych placówek świata, starszych jak Himalaje. Niegdyś wysoko i dumnie



NA GÓRZE KOŚCIUSZKI

sterczał ponad tysiące metrów, kąpał swe wierzchołki w wiecznym śniegu i patrzył na przemiany łądów i mórz — dziś łagodne wzniesienie, na którego szczyt leniwy muł wynosi „turystów“. Słowem ruina dawnych gór.

Z polskich nazw zachowały się jeszcze inne, a mianowicie pasmo gór w Wiktorji, „Strzelecki Range“ i „Strzelecki Creek“.

Australczycy fizyczny swój rozwój zawdzięczają sportom, które uprawiają z zamiłowaniem i pewnego rodzaju zacięciem, przechodzącym nawet w okrucieństwo.

Byliśmy świadkami takiego wybijania zębów systemem poprawnego boksowania, między szampjonem Włoch a szampjonem Australji. Zęby leciały jak groch, krew lała się jak w bajce, a publiczność drwiła i zachęcała okrzykami w rodzaju: „popraw, jeszcze mu zostały dwa zęby“.

Przy piłce nożnej ta brutalność publiczności nie zmniejsza się zupełnie, owszem potęguje. Sport pływania rozwinięty niesłychanie, a do przewspaniałych należą zawody regat. Wtedy cały Port Jackson (zatoka Sydney) lub rzeka Jarra, pokrywają się puchem żagli malowniczych, ptakami białymi, wiołkami.

Wyścigi cieszą się zupełnie słusznie światową sławą. Właściwie idzie jedna fala wyścigów przez wszystkie Stany. Te same konie biegają w Brisbane co i w Adelaide, ci sami ludzie jeżdżą od miasta do miasta. Wyścigi, to ogólne święto w Australji, tygodnie szatu i podniety. Największe bywają w Melburnie, trwają cały tydzień, a cup-day odbywa się zawsze w środę. Nagroda dla zwycięzcy wynosiła w tym roku 350.000 franków, prócz honorowych puharów, statuetek i. t. p.

Ta środa to już prawdziwe święto narodowe. Banki, domy handlowe, sklepy, biura od południa zamknięte. Co żyje, gna na plac wyścigowy, miasto pustoszeje

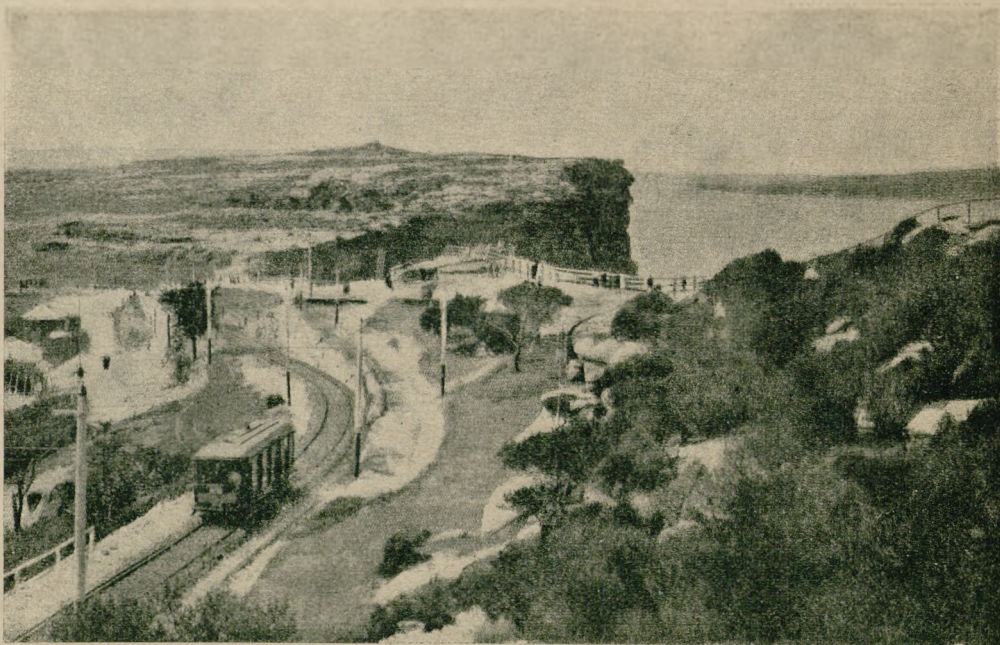
zupełnie. Zjazd olbrzymi z całej Australji, z najgłębszej nawet prowincji. Hotele przepelnione, jakby jakie misje zagraniczne zjechały... Pokoje zamawiać należy na cztery miesiące naprzód, bez przesady. Sale bilardowe, czytelnie, jadalnie przemieniają się wtedy na wielkie sypialnie. Nawet z Londynu zjeżdżają bookmakery. Miałem taką wątpliwą przyjemność jazdy aż z Europy z panem Green (czytaj Gruen) z Londynu, który rok rocznie wywozi grube sumy z Australji.

Kto wczas nie postarał się o samochód, ten jedzie koleją. Stan Wiktorja wybudował specjalny tor kolejowy na plac wyścigowy, a bilet kolejowy służy równocześnie za bilet wstępu na tor. Pociągi odchodzą co 5 minut i są tak misternie natłoczone, że człowiek przestaje czuć i orientować się, gdzie kończy się jego, a zaczyna bliźniego ciało.

Na placu może pół miliona ludzi, może więcej, nie licząc tej falangi wiszącej bezpłatnie po okolicznych eukaliptusach. Tego dnia bezkarnie można ubrać cylinder. Najbardziej do szyku należy popielaty. Panie godnie poobwieszane bajecznymi koronkami, promieniejące, przemienione w kopalnie złota, wystawy pereł. Prowincja staromodnymi strojami rażno się odcina.

Miejsca tańsze zapewniają się już dodnia, łoże dopiero popołudniu.

Jeneralny Gubernator, w otoczeniu doborowej wzrostem świty lordów, zjawia się na minutę przed trzecią. Muzyka intonuje God save the King... poważna cisza... głowy odkryte, tylko bookmakerzy drą się niepatrijotycznie.



ZATOKA SYDNEJU

Dzwon i wyrywa 27 nerwowych koni.

Chwila potężna milczeniem, chwila skupienia. Chwila nieprawdopodobnej ciszy, chwila zaparcia oddechów. Zastygło, co żyje w nieruchomości jakby w oczekiwaniu cudu, a to tymczasem kilka ładnych bydląt męczy się i łamie nogi.

I nagle rozdzierający krzyk przecina ciszę. Ryk półmilion na gardzieli zdrowych, oklask miliona rąk, tupot miliona nóg.

Ooo—e...Ooo—e...

Spotniała klacz Parisiana, triumfalnie wiedziona, drży, nerwowo stawia nogi stalowe, spieniony pysk tuli do ramienia dżokeja.

Kotłuje się mrowie głów, przewala, płynie i płynie. Kieszenie puchną lub chudną. Australczyk się zabawił. Przegrał 100.000 franków, może więcej, to przegrał, ale miał emocje i wrażenie.

Wieczorem miasto zalane powodzią żądnych zabawy. Wszędzie tłok nie do opisania. Francja tego dnia zagarnia setki tysiące za szampana. To trwa do 12 w nocy. O 12-tej (jak zresztą zawsze nie tylko dziś) zabierają flaszki, niedopite lampki z przed nosa. Tak każe prawo. I nie obejdzie je jak w świętoszkowatej Ameryce. Tam gdy nie wolno w pewnych Stanach w niedzielę podawać w lokalach publicznych trunków, to piją whisky lub coctail w filiżankach od czarnej kawy, a szampan wjeżdża na stół w czajniku i popija się ten zacny trunek w filiżankach od herbaty. Tu tego niema. Nie wolno — to nikt nie protestuje. Owszem protestuje jakiś Włoch, krzyżący, że za swoje pieniądze może pić, kiedy chce. Ogół mówi, że to excited foreigner.

Spać.

Tylko po prywatnych salonach szaleją ludzie, a galowy obiad u Jeneralnego Gubernatora przeciąga się do rana. Lord Denman, sympatyczny, młody pan, gra z paniami w bilard. Zrzucił swą wielką wstęgę, frak, zakasał rękawy i uwija się jak dzieciak naokoło wielkiego bilardu. Nikogo to nie krępuje, bo to sport.

Powiada, że polki są charming ladies...

Well... i ja tak sądzę.

O pijaństwie Australji czyta się rzeczy niemożliwe. Piją dzielnie, to prawda. Klimat — powiadają — wymaga wiele wody, a że picie czystej wody jest szkodliwe i wody wogóle mało w Australji, więc dolewają do wody alkohol. Tak rozcieńczona woda idzie szybko do głowy. Jednak pijany Australczyk, gdy ma już dosyć,



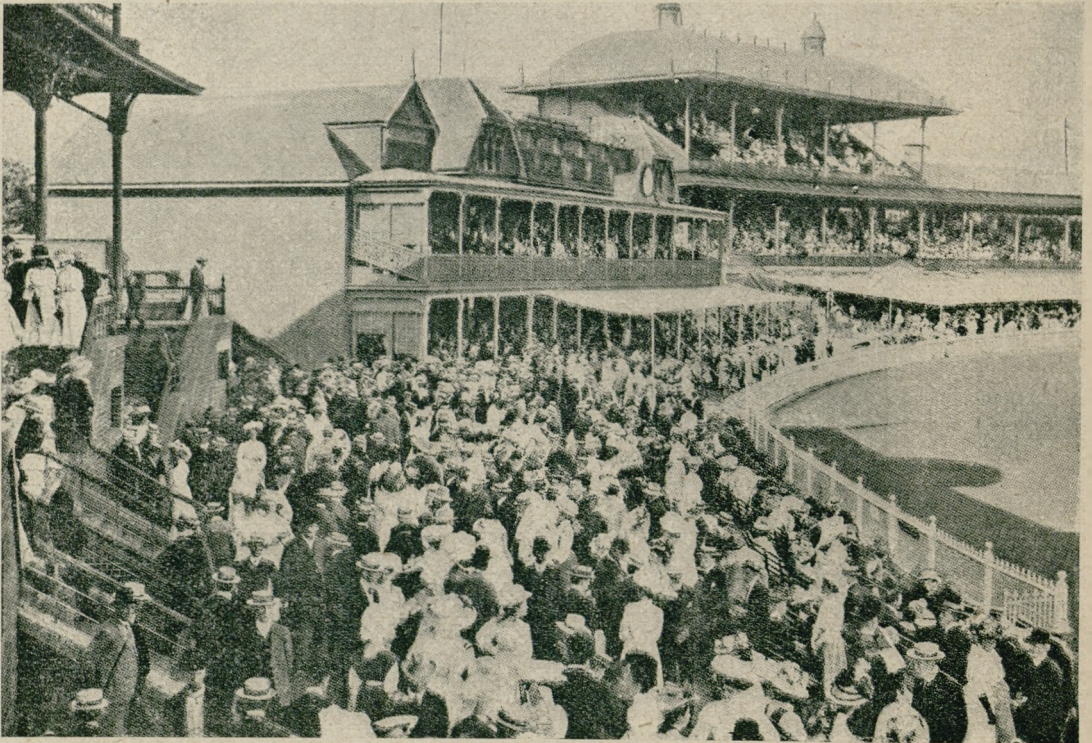
WYŚCIGI W MELBURNIE

nie wyprawia nigdy awantur, lecz idzie do domu spać, a jak czasem nie trafi do domu, to śpi na ulicy, dopóki serdeczny policeman nie uprosi go, by przespał się w więzieniu.

Ponieważ sprzedaż trunków jest ograniczona ustawami — w barach do 10-tej wieczorem, a w restauracjach do 12-tej w nocy, w niedzielę zaś, w obrębie 6-ciu mil ang. od najbliższego miasta w żadnym lokalu nie wolno podawać ani piwa ani wina, ani wódki — więc Australczyk pije naogół więcej w dzień, niż w nocy. Ma to być moralniejsze. Na punkcie zresztą konsumpcji alkoholu, Australia nie ustanowi rekordu wobec Europy.

Australczyk jest dumny z tego — słusznie zupełnie — że u nich niema takich różnic socjalnych, jak u nas. Bogacze tutejsi nie zapominają, skąd wyszli i nie są tak nieprzystępni i głupio zarozumiali. Majątek nie przewraca w głowach. Z drugiej strony niema biedaków i nędzy wielkich miast i wsi naszych. Niema olbrzymich kapitałów, nagromadzonych w jednym ręku, jak w Ameryce, ale niema i tej nędzy amerykańskiej. Jest proporcja i ta przyczynia się do owego zadowolenia i spokoju.

Umysłowość Australji jest nieco zaniedbana. Wykształcenie naogół tylko praktyczne. Rząd nie sprzyja wyższemu wykształceniu uniwersyteckiemu, twierdząc,



PLAC KRKIETOWY W MELBURNIE

ze fach w rękę lepszy, niż filozoficzne mózgi. Odczytanie marne. Czytuje się tylko własne dzienniki, które prosperują świetnie, a postawione są na pierwszorzędnej stopie i zorganizowane znakomicie.

Dzienniki australskie uniknęły szczęśliwie owego typu gazet amerykańskich, pełnych rycin i fotografii. Amerykanin nie ma czasu i ochoty do wertowania owych zadrukowanych prześcieradeł. Spojrzy na rycinę, przeczyta nagłówek tłustym drukiem wybity i sensacyjnie zredagowany i wie już, o co idzie. W Australji ku celowi „przez oko do duszy“ służą tygodniowe wydawnictwa, bogate w ilustracje i pełne naprawdę dobrych i rzeczowych artykułów z każdej dziedziny.

Cechą australskich dzienników jest brak polemik wogóle a już szczególnie w tonie ostrym. Tam partje polityczne ścierają się na trybunach. Może właśnie dlatego mają dzienniki wielki wpływ na politykę i polityków.

Paszkwile i wydawnictwa o celach szantażowych nie istnieją wcale. Poza działem politycznym szeroko traktowane są wiadomości z Anglji, mniej z innych państw i krajów Europy. Ekonomja i sport mają swe specjalne działy.

Australczyk nie czyta nigdy jednego dziennika. Czyta stale wszystkie. Ułatwia mu to sprzedaż uliczna i przestrzenie, jakie musi przebywać z biur do domu. Tramwaje, Ferry-boat'y, koleje pełne czytających.

Tydzień cały mija na pracy intensywnej. W sobotę o 12-tej w południe ustaje wszelka praca i zaczyna się odpoczynek. Lecz nie tak jak w Anglji, powrót na łono home'u, czytanie biblji i zamknięte życie rodzinne w tradycyjnych nudach. Australczyk widzi swój home w powietrzu. Roją się wybrzeża morskie, roją bliższe i dalsze parki, ogrody od wycieczkowców. Niema prawie miejsca, jeśli choć kilka tylko sterczy krzewów, by jakaś parka nie piknikowała.

Piknik jest częścią składową życia Australczyka.

Tramwaje, kolejki podmiejskie są tak natłoczone, że kolana wzajemne służą za siedzenie. Często jest to miłe. Miasta zamierają zupełnie i nudne stają się ulice. Australczyk wchodzi w bush, zdejmuje surdut, zjada przyniesione z domu zapasy, ubiera surdut i wraca w takim samym tłoku do domu.

Było mu dobrze.

Ruch uliczny później w nocy nie istnieje wcale. Dzienny największy między 4-tą a 6-tą popoł. Wtedy na uprzywilejowanych ulicach oglądać można wystrojone piękności miejscowe, które tak samo jak w Anglji, kłaniają się pierwsze mężczyznom znajomym. Anglja twierdzi, że kobieta powinna dać wskazówkę temu lub owemu panu, czy chce, czy nie chce jego ukłonu lub znajomości. Może być i tak, zwłaszcza że tak już jest.

Rochają swój kraj, dumni z tego, że u nich nie istnieje korupcja ani protekcja, że niema przywilejów urodzenia ani szlachectwa.

W rozmowie gięty i swobodni, przechwalają się zawsze i przy każdej sposobności, a nawet bez sposobności swym Stanem, jego wielkością i bogactwem, otaczają nas chmurami cyfr na przedce zbilansowanych, co i ile produkuje ich Stan (nie zaś Australja), o ile Australja przewyższa Europę, jak zbliża się kulturą do

Ameryki (nie Anglii), jak doszli do tych bogactw, jak wydają, jak mogą, mogliby wydawać pieniądze, bo żyć trzeba dobrze, jak śmieją się z tego, że inne Stany zazdroszczą ich Stanowi dobrobytu, piękności i rozwoju, a jeśli nawet czasem coś się nie uda lub dzienniki czemś straszą, to będzie lepiej, bo Australia „wszystko może“.

Niech im ta pewność, spokój, ufnosć, równowaga i bogactwo wyjdą na zdrowie. Są tak mili, uprzejmi, łatwi, że wśród nich zapomina się o wszystkim, co cośkolwiek ma wspólnego ze żółcią.

Byle następne pokolenia politykę ojców tak błogosławiły, jak oni błogosławiały swych dziadów...

Najmniejsza ze wszystkich części świata, napóźniej oddana ludzkości i cywilizacji do obrobienia, spoczywała Australia przez wieki, jak szlachetny kruszec w ukryciu, w milczącym odosobnieniu.

Nieliczni śmiałkowie u niegościnnych jej wybrzeży nie znajdowali nic, prócz żaru słońca i suszy. Wszystkie relacje od najdawniejszych czasów opisywały tę wyspę czy kontynent, czy grupę wysp, za jaką uważano Australję, jako kraj bez przyszłości, trudny do zwalczenia i do opanowania. Nie znaleźli ani pól urodzajnych, ani owoców jadalnych, nie znaleźli rzek ani strumieni, nie znaleźli zwierząt podobnych starym lądom — słowem nic.

I przez wieki już nam dostępne, leżał ten piękny, bogaty kraj, jako tajemnicza wyspa, daleki ląd, otoczony złem morzem, dziwny, nieprzystępny i niepodatny. Cóż się na to złożyło. To odosobnienie Australji, jak chce nauka, datuje się od niepamiętnych czasów.

Mozolą się uczeni (Huxley, Lydeker, Wallace i inni) nad utworzeniem i udowodnieniem teorii co do połączeń Australji z Azją i Ameryką południową — opierając swe wywody na podstawach świata zwierzęcego i roślinnego.

Mimo, że Australia jest biologicznie oddzielona od reszty świata, ma tyle cech wspólnych, że opinia uczonych oświadczyła się za połączeniem Australji, w pewnym przedczasie, z resztą świata. I tak Wallace (*Island Life* — 1880) twierdzi, że Australia była połączona z Azją, od której odłączyła się w czasach mezozoicznych, udowadniając, że głównymi ssakami Australji są



NIEDŹWIEDŹ AUSTRALSKI

torbacze, które wyginęły w Europie w czasach eocenicznych, a ryby rzeczne Australji, jak *Ceratobus*, żyły w Europie w czasach jurajskich i triasowych, zaś śledź *Diplomystus*, który dawno zaginął w Europie, żyje jeszcze w rzekach Nowej Południowej Walji.

Spencer Moore (*Suggestions upon the origin of the Australian Flora*) popiera te wywody i dodaje, że flora podtrzymuje dowody połączenia swą zupełną prymitywnością, niezdecydowaną naturą uliścienia, małą ilością nasienia i nadmiarem drzew gumowych.

Z drugiej strony pojawiają się nowe teorie.

Huxley doszukuje się wspólności fauny Australji i południowej Ameryki.

Przedewszystkiem węgorz słodkowodny z gatunku *Galaxias* znajduje się w Australji i Ameryce południowej, co wskazywałoby na połączenie tych lądów. Przeciw temu protestuje Wallace (*Geographical Distribution of Animals*) daremnie, a Dr. Boulenger stara się znów udowodnić, że tamten dowód nie jest dowodem, bo *Galaxias* hoduje się i w morzu.

Prześcigają się wszyscy w udowodnieniu twierdzenia, że Ameryka południowa i Australja były połączone lądem, rozciągającym się przez Ocean Spokojny, wzdłuż wysp Polinezji albo lądem leżącym bardziej na południe „Antarctic Land“.

Lyddeker dorzuca swoje dowody, jak znalezienie skamieniałości torbaczków w Patagonji, odkrycie *Diprotodonta Coenolestes*, żyjącego w południowej Ameryce i twierdzi, że takie połączenie istniało w czasach kenozoicznych. Broni tej opinii Benham, wierząc w istnienie lądu antarktycznego w czasach mezozoicznych. Ląd ten łączyć miał Afrykę południową, Australję i Amerykę południową. Tegoż zdania jest i von Graff i Hooker Forbes, który pierwszy publikuje mapę takiego fantastycznego lądu.

Są dwie alternatywy: albo południowy ląd antarktyczny, albo, co prawdopodobniejsze ląd, rozciągający się od Melanezji do Nowej Zelandji i na wschód wzdłuż łańcucha archipelagu polinezyjskiego do Patagonji.

W czasach zaś po-mezozoicznych Australja była połączona z Azją i tędy przeszedł dingo i szczury do Australji i tędy przywędrowały rośliny zwrotnikowe.

Z teoryj, odnoszących się do Australji, przytoczyć należy jeszcze i tę Wallace'a, który twierdzi, że w czasach kenozoicznych Australja była rozdzielona na dwie części morzem, które rozciągało się od zatoki Karpentaryjskiej, przez jezioro Eyre, wzdłuż doliny Murray'u do Oceanu Południowego. Na zachód od tego morza wznosiła się stara wyżyna Australji zachodniej, którą uważa za żywicielkę tego, co powstało i rozwijało się w Australji. Na wschodzie był łańcuch gór Australji wschodniej, znacznie wyższy od teraźniejszego — a obszar lądu ciągnął się nieprzerwanie od Cap York aż do Tasmanji.

Gdy te połączenia, zresztą zbyt nikłe, by mogły wpłynąć na rozwój olbrzymiego kontynentu, zniknęły — pozostał ten ląd, sam dla siebie, przez naturę zachowany jako skamieniałość.

Trwało to odosobnienie Australji wieki całe, aż przyszedł Anglik i ożywił ten smutny i pustynny kraj.

Powstały kolonie, zamknięte dla siebie światy, powstała ludność jednorodna o pewnym swoim typie równym, czystym, zdemokratyzowanym, pełnym energii, siły i żywotności, ludność mająca wspólność żywą interesów, nie dzieląca się na kasty, patrząca bardzo śmiało w przyszłość.

Zrobili wiele, poznali i uporządkowali kraj, odrzucili co im przeszkadzało, przeobrazili w jednym stuleciu Australję. Rzucono kable, zbudowano telegraf przez szerokość całego łądu, pozakładano linje kolejowe, zaprowadzono świetną komunikację z Europą, sprowadzono ziarno, owoce, zwierzęta domowe, zastosowano wszystko do tamtejszych stosunków i warunków i okazało się, że kraj pustynny i dziki stać się może śpichlerzem innych łądów.

Pragną wytworzyć zdrową rasę, dbać o elementarne wykształcenie i higienę, zmusić Australję, by stała się narodem jednolitym, oprzeć prądy socjalne na trzeźwych podstawach, kierować polityką tak, by zaważyła na szali Pacyfiku, wytworzyć obronę kraju przez zbrojne porty, zaprowadzić powszechną służbę wojskową, zczasem wybudować własną flotę wojenną i zachować czystość rasy.

Kwestja, do jakiej rasy ma właściwie należeć Australja, jest kwestją bardzo niejasną i niepewną.

Australczycy głoszą zawzięcie politykę „Australja dla białych“. Tymczasem tych białych brak. Nie można stanowczo twierdzić, by biały nie mógł zupełnie pracować w klimacie Stanu Queensland, bo nietylko tutaj go brak. Ustawy imigracyjne niby sprzyjają, ale właściwie nie sprzyjają napływowi nowych przybyszów, lecz rasę żółtą wykluczają zupełnie, bojąc się jej, jak ognia. Przeczują, że Japonja iub Chiny, wyciągną w czasie stosownym, zbrojną rękę po ten bogaty i cudowny dla nich kontynent.

Wskutek tej polityki „białej“, wielkie przestrzenie okolic tropikalnych leżą odłogiem. Uprawa ryżu, bawełny, kawy, trzciny cukrowej, tytoniu nad wyraz słaba, a winą to tylko tej polityki imigracyjnej i tego wrogiego odnoszenia się do rasy żółtej.

Dziś przedstawia się ten powabny kraj wcale ciekawie. Cztery i pół miliona ludności, żyje zasobnie, robi majątki, bawi się, używa życia, wykorzystuje teraźniejszość i myśli: niech przyszłość budują ci, dla których ona ma być teraźniejszością.

To są uwagi, które nasuwają się bez żadnej specjalnej złośliwości. Poza tem oni sami chętnie o tych sprawach rozprawiają, zapatrują się zaś na wiele kwestyj wprost dziecinnie.

Zawsze i wszędzie mówią o sobie, zawsze i wszędzie szukają w oczach naszych zachwyty i uwielbienia. Lubią, by im mówić, że u nich lepiej niż u nas, lubią podrwiwać z Anglji, mimo iż poczucie przynależności angielskiej dokładnie rozwinięte i wpadają zbyt często w śmieszny partykularyzm. Jest to zapewne pozostałość tych czasów, gdy jeden Stan od drugiego, dla braku komunikacji, był oddzielony zupełnie, o zupełnej odrębności i niezależności.

To już dzisiaj, dzięki Federacji, zmniejszyło się na korzyść, lecz jeszcze istnieje.

Do You like better Sydney or Melbourne...



BIBLIOTEKA PUBLICZNA W MELBURNIE

Oto pierwsze pytanie, prześladowające już stale i wytrwale.

Ta zazdrość międzystanowa paraliżuje niejedną zdrową myśl, osłabia jedność polityki i jest pozostałością tych czasów, gdy każdy Stan rządził się swym Parlamentem, uchwałając prawa dla siebie, nie troszczył się jak o siebie, a o sąsiadów chyba tylko wówczas, gdy trzeba ich było czemś zgnębić.

Parlament Związkowy Stanów istnieje od 1 stycznia 1901. 17-go sierpnia 1900 r. Królowa Wiktorja podpisała proklamację, że od 1-go stycznia 1901 r. naród Nowej Południowej Walji, Wiktorji, Australji Południowej, Tasmanji, Queenslandu i Australji Zachodniej, ma utworzyć Stany Zjednoczone Australji pod nazwą THE COMMONWEALTH OF AUSTRALIA.

Władza prawodawcza Stanów Zjednoczonych Australji spoczywa w Parlamencie Związkowym, składającym się z Generalnego Gubernatora, Senatu i Izby Reprezentantów.

Generalnego Gubernatora mianuje Król. Władzę ma taką, jakiej mu udzieli Król, przy zachowaniu konstytucji. Gen. Gubernator oznacza sesję Parlamentu, może odroczyć i rozwiązać Izbę Reprezentantów.

Senat składa się z sześciu senatorów dla każdego Stanu, wybranych przez

mieszkańców Stanu. Tych sześciu senatorów reprezentuje jeden głos. Wybierani są na lat sześć, po trzech latach połowa ich traci mandat.

Izba Reprezentantów wybierana jest na 3 lata. Liczba członków, wedle zwyczaju, podwójna jak senatorów (72), a każdy Stan wybiera w stosunku do ilości mieszkańców, jeżeli inaczej nie postanowi Parlament. Obecnie: Nowa Południowa Walja ma 26, Wiktorja ma 23, Queensland ma 9, Australja Południowa ma 7, Australja Zachodnia ma 5, Tasmanja ma 5.

Każdy Senator i członek Izby Reprezentantów ma rocznie 600 f. szt., a Generalny Gubernator 10.000 f. szt.

Do władzy Parlamentu należy: handel i przemysł międzystanowy i z innymi państwami, cła, pożyczka, poczta, telegrafy, telefony, morska i lądowa obrona wojskowa, latarnie morskie, obserwatorja, kwarantanny, rybołówstwo, statystyka i spisy ludności, kurs monety i bicie monety, sprawy bankowe, miary i wagi, patenty, ochrona dzieł sztuki i literatury, naturalizacja, małżeństwa i rozwody, pensje dla starców i inwalidów, imigracja i emigracja, sprawy zewnętrzne, stosunek Australji do wysp Pacyfiku, kontrola nad kolejami, prawo godzenia chlebobawców i robotników.

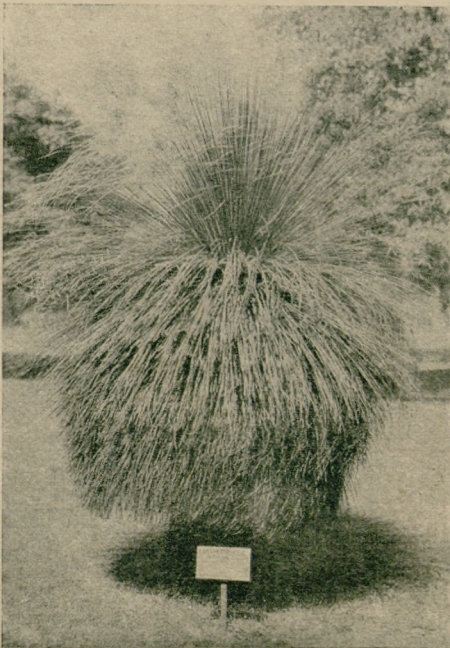
Stany poszczególne zatrzymują: kontrolę nad wykształceniem, rozwój kraju, górnictwo, lokalne podatki, koleje, rybołówstwo w obrębie jurysdykcji odnośnego Stanu, administracja majątku Stanowego.

Władzę wykonawczą Związku Stanów ma król i Generalny Gubernator, jako jego zastępca. Gubernator rządzi przy pomocy Zgromadzenia Wykonawczego, którego członków wybiera Gubernator. Są oni jego urzędnikami i ministrami.

Władzą sądową dla Związku jest High Court of Australia. Składa się z Szefa Sprawiedliwości i innych sędziów, nie mniej jak dwóch. Jest instancją apelacyjną od wszystkich wyroków i dekretów.

Przez długie lata biedzono się i kłócono, gdzie należy wybrać miejsce na Waszyngton Australji.

Wreszcie niedawno ustalono, że założone zostanie nowe miasto w Nowej Południowej Walji, sto mil od Sydney, które nazywać się będzie Canberra. Miasto zbudowane będzie jednolicie, wedle wzorów architektury z Chicago M. Walter Burley Griffon'a i tworzyć będzie ciekawy typ miasta zbudowanego odrazu. Położone będzie na wysokości 2000 stóp z widokiem na najwyższe szczyty Alp Australskich. Przez środek przepływa rzeka Molonglo. Będzie to jedna



MELBURN — OGRÓD BOTANICZNY



PARLAMENT W MELBURNIE



DWORZEC W MELBURNIE

z największych stolic świata, położona wśród samych ogrodów. Chciano początkowo nazwać to miasto „Sydmelbpha“ Uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego dokonano w 1913 r. i wybudowano kolumnę z sześciu bloków, symbolizujących sześć Stanów.

Wprawdzie mógłby Parlament Związkowy obradować z równym skutkiem w Sydney lub Melburnie i ta cała stolica nie bardzo jest konieczną, ale zazdrość międzystanowa nie pozwoliła na to.

Narazie Parlament Związkowy obraduje w Melburnie.

Melburn miastem nowożytnym nazwać można. Zbudowane za jednym zamachem, w typowe amerykańskie kwadraty, grupuje się nad rzeką Jarra. Miasto właściwe, City, znacznie obszerniejsze od sydneyjskiego. Tu zaś, po lewej stronie rzeki, leży bajeczne miasto ogrodów, will i przestrzeni. Położeniem góruje Sydney nad Melburnem, typem zaś piękności samego miasta Melburn przewyższa Sydney.

Cechą miasta, ogromne parki, ogrody, szerokie i piękne ulice i powódź zieleni. W każdym mieście człowiek się dusi, zawsze mu ciasno. Tutaj nie. Szeroko ogarnia oko, wolno oddycha pierś. Mieszkańcy weselsi niż w Sydney, lecz mniej okazują sprytu do interesów, zato znów wyżej stoi umysłowość i umiejętność wykorzystania łatwych warunków krajowych. O ile w Sydney ulica śpi, a życie koncentruje się po domach, o tyle tutaj przeciwnie żyje ulica. Jest to naturalnym wynikiem położenia miasta i lądowej komunikacji. Niestykanie rozwinięta sieć tramwajowa za minimalną opłatą, przewozi kilometrami, w sympatycznej i oryginalnej konstrukcji wozach, gdzie tylko dusza zapragnie, aż na koniec olbrzymiej zatoki Phillipa.

Budynki okazałe, wielopiętrowe, surowe granitem, nierzadko marmurem bogate, pomiędzy którymi panoszą się owe dziwolągi australskie, o greckiej kolumnadzie i kopule nieprawdopodobnych rozmiarów lub wieżycy wysokiej a zawstydzonej.

Jak wszędzie, tak i tutaj, ogrody tworzą wspaniałość zawrotną. Ogród botaniczny Melburnu jeszcze bogatszy i cudniejszy niż sydneyjski. Niema kwiatów, roślin, krzewów, drzew na kuli ziemskiej, by ich tu poddostatkiem nie było. I topole smukłe, naszym podobne, strzeliście płoną. Kończy się jeden ogród, zaczyna drugi, wśród ogrodów publiczne budowle, szerokie ulice przystrojone drzewami, każdy plac, zakątek każdy pyszni się jakąś palmą, a bodaj karłowatym krzakiem.

Samo tylko śródmieście, prawdziwe centrum biznesu, wolne, ale to ogranicza się właściwie tylko do dwu ulic: Collins street i Bourke street, równoległe



MELBURN — OGRÓD BOTANICZNY

do siebie biegnących — ale już u wylotu tych ulic znajdują się bujne ogrody, wśród których jaśnieje biały Parlament, smuci się szara, opuszczona mennica i pyszni Pałac Wystawy Powszechnej z r. 1880, którego olbrzymia kopuła dominuje nad miastem. Pałac ten jest tak wielki, że mieści się w nim Biblioteka publiczna, Wystawa Sztuk pięknych, Muzeum technologiczne, Akwarjum i coś tam jeszcze.

Na tych dwu ulicach, długich w nieskończoność, dwu arterjach miasta, koncentruje się całe życie. Zakwita tłumem barwnym, wesołym Collins street w dzień, tysiącem świateł i ruchem nocnym Bourke street. Tutaj teatry, kina, cyrki, bary, restauracje, hotele, tutaj do późnej nocy przewalają się tłumy rubaszne.

To żywe centrum otoczone zewsząd przedmieściami South Yarra, Foorak, St. Kilda, Windsor, gdzie wśród zieleni prawdziwych i sztucznych ogrodów, kryją się pałace bogatych przemysłowców i tych, co mają pieniądze.

Oto właśnie niedziela.

Dworzec główny, niestychanie wielki budynek, pełen tuneli marmurowych, kwiatów, zapakowany mrowiem ludzkim, odświeżnie przystrojonem — w taki sposób, iż zda się, że coś się już stało, albo zaraz się stanie, a ludzie w przeczuciu nieszczęścia zamarli w milczeniu i zastygli. A to tymczasem każdy czeka na swój



MELBURN — „COLLINS STREET“



LAS W WIKTORJI

pociąg. To takie proste. Niema narzekania, niepotrzebnej bieganiny, zamieszania. Nadejdzie czas i pociąg, każdy poszuka sobie miejsca, sam wniesie swoją walizkę (zasadą Australji jest obsłużyć się samemu), a jak miejsca nie znajdzie, to wsiądzie tam, gdzie miejsca nie znalazł, przytuli się do kolan jakiejś niewiasty i jedzie gdzieś na piknik, do jakiegoś National Parku.

Każdy Stan ma swój National Park, t. j. ogromną połać ziemi, lasu dziewiczego z uporządkowanymi drogami i gdzieś niedługo restauracją. Czy to nie rozkosz, niedaleko od miasta, móc przeżyć godzin kilka na łonie prostej, pierwotnej natury, zapuścić się w las, dać ponieść się łódce w dal dziką, na stepy bezdrzewne lub bogate zbożem pola, między wąwozy, parowy zabite krzewem...

Mądry to naród, ci Australczycy. Tak sobie życie układają, by im było dobrze.

Inne partje dążą znów nad morze, na plaże i kąpiele. Igraszka swawolnych fał, swobodnych, rozbawionych ludzi, zawody pływackie, flirty na mokro, dziecinna pustota życia.

Wspaniale zorganizowane pogotowie czyha. Czy to na wypadek tonięcia bo fala nie żartobliwa, czy na wypadek pojawienia się rekina, częstego w tych stronach gościa.

Po części trudno dziwić się mieszkańcom Sydney czy Melbourne, że wydrapiliby oczy za swe rodzinne miasto.

Ale czasem ponosi ich zbyttno zaślepienie, co przy równocześnie małej znajomości geografji, wytwarza dziwotałgi niesłychane krytyki Europy, jej miast i krajów.

Bo Australja jest najpiękniejsza.

Aż żal kpunami psuć im to ładne życie.

Zachwycają się eukaliptusami, ptaszkami, baranami, z dumą mówią o swych jadowitych węzach, zachwycają odosobnieniem, wielkością kontynentu, małą ilością mieszkańców, bez przerwy zapewniają, że u nich wszystko możliwe, że mogą mieć i kulturę i fabryki i genjuszów, gdyby tylko chcieli.

I upajają ich te śmiałe myśli zrodzone w dobrobycie i tak bajecznie łatwej egzystencji.

Australja jest ostatnią częścią świata zajęta i kolonizowaną przez człowieka rasy białej.

O tem, że na południowej półkuli znajduje się jakiś ląd, istniały pewne wzmianki już w dziełach Aeljana, Maniljusa i Ptolomeusza. Żeglarze weneccy Marco Polo (1254—1324) i Nicolo de Conti (1440) mówią o lądzie Java Major, zapewne mając na myśli Australję, a żeglarze arabscy, przepływali niejednokrotnie bezmiary Oceanu Indyjskiego i opowiadali o lądzie na południu Azji, pełnym zwierząt skaczących. Zapewne i Malajczycy, którzy dotarli aż do Madagaskaru, wiedzieli o blisko ich ziemi położonym lądzie Australji.

Głoby z XV i XVI wieku, wyraźnie oznaczają w południowej hemisferze ląd. Tak glob Marcina Behaima z r. 1492, jak i istniejący w Paryżu drewniany glob

z napisem, że Terra Australis odkryta została w r. 1499, a również glob Prof. Esterreichera z początku XVI wieku, oznacza ląd na południu od Indyj, nazywając go „America noviter reperta“.

Mapa z r. 1531 rysowana przez Finé z Briançon, oznacza ląd, w tem samym miejscu, gdzie dziś północne brzegi Australji z napisem „Regio Patalis“. Glob Lennoxa z r. 1506 określa ląd na południu od Azji. Mapa Dauphin'a (1530) nazywa ten ląd Java la Grande, a Wytfliet (1597) opisuje już wyraźnie ląd na południe od Azji, nazywając go piątą częścią świata i oznaczając Terra Australis.

Za datę odkrycia Australji można przyjąć rok 1601. W tym roku bowiem Portugalczyk Manuel Godinha de Eredia, zwiedził północne brzegi Australji. Fakt ten jednak trzymano w tajemnicy. W r. 1606 Ludwik de Torres udowodnił, że ląd na południe od Azji leżący, oddzielony jest cieśniną od Nowej Gwinei. W r. 1616 kap. Dirk Hartog zwiedził część zachodnią Australji, zatokę Shark, gdzie zostawił na drzewie blachę z odpowiednim napisem. Blachę tę znalazł Vlaming i zostawił na jej miejsce drugą, którą znowu w r. 1803 znalazł Freycinet. W r. 1627 Cartens odkrył kraj Arnhelma i część Północnego Terytorjum. W r. 1627 Francis Thysz i Piotr Nuyts odkryli Wielką Zatokę Australską. W r. 1629 Houtman opływał brzegi Australji.

Te wszystkie podróże są oznaczone dokładnie na mapie holenderskiej z r. 1629, a Australja nazwana jest Terra del Zur.

Wreszcie Abel Janszoon Tasman, odkrył południowy cypel wyspy (Tasmanji) i dopłynął jako pierwszy Europejczyk do Nowej Zelandji. W r. 1644 badał on północne brzegi Australji i nazwał nowy kontynent „Nova Holandia“.

Teraz dopiero rozpoczęli swe badania Anglicy.

W r. 1688 Dampier opisuje północno-zachodnie brzegi Australji, jako dziką i upalną pustynię, w r. 1696 Vlaming odkrywa rzekę Łabędzia, a w r. 1770 wyrusza Cook z poleceniem obserwowania na nowo odkrytej wyspy Tahiti, przejścia Wenery przez tarczę słoneczną — na barce Endeavour, mając 85 ludzi ze sobą. Po raz pierwszy widzi ląd Australji 11 kwietnia. 29 kwietnia zbliża się do Botany Bay i notuje „roślinność wspaniała, przepyszne łąki, kamień do budowy dobry, drzew sporo, zatoki bezpieczne“.

Jedzie dalej i 6 maja odkrywa Port Jackson i nazywa tę ziemię Nową Południową Walją. W raportach wyraża się o Australji entuzjastycznie.

W tym czasie Anglja straciła swe kolonie w Ameryce i poczęła szukać nowego ujścia dla kolonizacji i deportacji. Trafiała się gratka... Australja. W r. 1787 wyruszyła pierwsza ekspedycja celem założenia osady w Botany Bay.

W tym samym czasie flota francuska (1788) pod wodzą La Pérouss'a zawinęła do Botany Bay, lecz wobec bytności Anglików ustąpiła.

Nastąpił okres zmuśnych i uciążliwych badań.

Bada Tasmanję Dr. Bass, brzegi Queenslandu — Flienders, wejście do zatoki Phillipa — Grant, bada ponownie Flienders zatokę Spencera i stawia uporczywą hipotezę, że odkrył nową cieśninę, która idzie ku północy i łączy się z zatoką Kar-



„BUSH“ AUSTRALSKI.



pentaryjską; niejednego śmiałka chłonie morze, lecz różnym krokiem postępuje opisywanie poznanych wybrzeży Australji.

Historja tych pierwszych badań jest nad wyraz zajmująca. Widać tu nadludzkie wysiłki jednostek w celu zawojowania odpornej i wrogiej przyrody. Są to przygody nieraz romantyczne, częściej tragiczne. Brak wody, upały, powodzie nagłe, walki z krajowcami, z olbrzymiemi przestrzeniami, zarostem sławnym scrub'em australskim, nie cofnęły człowieka z raz obranej drogi.

Najwięcej zasług koło pierwszych badań położyli wspomniani Dr. Bass i Flienders. Flienders był typem niestrudzonego i awanturniczego śmiałka, który tracił jeden po drugim okręty, o niegościnnie wybrzeża rozbijał swe statki, a zawsze sam szczęśliwie i cało wychodził z tych opresyj. Skończył w więzieniu. W porcie Mauritius uwięzili go Francuzi i trzymali przez 6 lat. Tu napisał swe pamiętniki „*A voyage to Terra Australis*“. Podobnie zakończył i Dr. Bass, którego Gubernator Valparaiso zamknął w minach południowej Ameryki i do śmierci trzymał.

Tymczasem założona osada Sydney, dusiła się prosto w ciasnym, nadbrzeżnym pasie. Przychodziły posuchy, braki wszelkie wraz ze wzrostem ludności wzmagaly się. Natura ludzka żądna poznania, niedługo opierała się pragnieniom odkryć.

W r. 1813 trzech osadników Wentworth, Blaxland i Lawson ruszyli na Zachód. Torując sobie drogę siekierą, dotarli aż do rzeki Nepean. Raz po raz wyruszają teraz ekspedycje, bądź to prywatne, bądź z ramienia rządu, kierując się głównie biegami rzek. Ekspedycje te wracały częściowo z powodu trudności nie do przebycia, głównie z powodu niemożności przejścia przez bagniska, powstałe po widocznie wielkich w tych czasach ulewach, a zawsze prawie z przekonaniem, że za biegiem rzeki niema pogo iść, gdyż rzeki wszystkie gubią się w jakichś jeziorach lub morzu śródziemnem.

Na południe od Sydney, operowali Hume i Hovell (1824) dwaj hodowcy bydła. Oni to odkryli górny bieg rzeki Murray'u i Alpy australskie, na północy czynni byli Cunningham i Oxley, którzy dotarli aż do rzeki Brisbane i do równin Darling.

W r. 1828 następuje wielka wyprawa w głąb kontynentu Karola Sturt'a, wyprawa niefortunna z powodu absolutnego braku wody. „Ptaki ocięzały na drzewach — pisze Sturt — krajowcy wymierali z braku wody, pies dingo włóczył się za nami apatycznie, temperatura przy zachodzie słońca dochodziła do 38 stopni C“. W rok później powtórnie wyprawia się Sturt i żeglując po Murrumbidgee, Darling'u i Murray'u, dopływa aż do „jeziora słonego“ Alexandrine. Kap. Barker'a, który badał to jezioro i ujście Murray'u, zabili krajowcy. W ciągłych utarczkach z krajowcami pozostaje Thomas Mitchell, którego zasługą jest utrwalenie zdania, co do zlania się rzeki Darling z Murray'em. Mitchell zachwycony żyznością zachodniej Wiktorji, nazywa tę część kraju „Australia Felix“.

W r. 1840 Hr. Strzelecki, Polak, bada rzekę Murrumbidgee, dzikie okolice Alp Australskich i odkrywa górę Kościuszki. Rezultatem tych odkryć była książka wydana w r. 1845 — Count Strzelecki Physical description of New South Wales.

Po założeniu w r. 1836 kolonji nad zatoką St. Vincent i fundamentów pod miasto Adelajdę, rozpoczynają się badania tej części Australji, aż po jeziora Torrens'a. Zarzucono w tym czasie zupełnie mniemanie, że istnieje jakieś morze śródziemne, a zaczynają mówić o pustyni śródziemnej.

W tym samym czasie Leichhardt postanawia przejść cały ląd Australji. W okresie 15-tu miesięcy, wśród nader trudnych warunków i walk z krajowcami, przechodzi od zatoki Moreton do portu Wiktorji w Północnem Terytorjum, a wślad za nim idzie Mitchell, odkrywając wielkie przestrzenie nad rzeką Darling, zdadne do hodowli bydła: „sufficient to supply the whole world with food“.

W r. 1848 Leichhardt organizuje drugą ekspedycję i ginie na zawsze bez śladu. Prawdopodobnie cała wyprawa została zatopiona przez wezbrane rzeki, idące w tym czasie od Diamantina. Los jego podziela i wyprawa Kennedy'ego, którą znowu wymordowali krajowcy.

W latach 1855—1858 przedsiębierze jedną z najdłuższych wypraw Gregory i bada Północne Terytorjum, przechodzi cały Queensland, potem z Brisbane do Adelajdy, a po drodze natrafia na obozowiska nieszczęsnego Leichhardta i ślady wielkich wylewów.

W r. 1851 i 1861 John Mac Donall Stuart postanowił zbadać sam środek Australji, i pustynie, ale wyprawy nie udają mu się. Raz zawrócił z drogi z powodu krajowców, to znowu z powodu niemożności przejścia przez scrub. Dopiero w r. 1862 wyrusza po raz szósty i przechodzi całą Australję od południa na północ. Obecnie tą drogą, którą Stuart przechodził, idzie linja telegrafu.

W r. 1860 Rząd Wiktorji zainicjował wielką wyprawę z wielbłędami i indjanami pod wodzą O'Harra Burke'go. Cel z Melburnu do zatoki Karpentaryjskiej. Zginął wraz z ludźmi i towarzyszami. Przeżył go tylko trzeci towarzysz i kierownik tej wyprawy King, którym zaopiekowali się krajowcy. Kości Burkego sprowadził do Melburnu Howitt, który znalazł i sprowadził wynędzniałego, ale żyjącego Kinga.

Zachodnią Australję badali w r. 1791 Vancouver, w 1827 Stirling i Frazer, w 1829 kap. Fremantle, w 1830 I. I. Roe, w 1863 Lefroy bada Coolgardie, ale nie znajduje ani śladu złota, potem Sir John Forrest przechodzi z Perth do Adelajdy, błędzą Gilles, Lindsay, Wells i jako jeden z ostatnich w r. 1901 John Muir.

Tak pokrótce przedstawiają się te wysiłki jednostek. Nazwiska tych badaczy i podróżników Australja czci. Pasma gór, jeziora, miasta, rzeki, ulice, place noszą nazwy tych mężów, którzy niestrudzenie pracowali dla pokoleń przyszłych i doprowadzili do tego, że w przeciągu lat 40-tu Australja została opisana i poznana.

Gdy Cook i jego towarzysz Banks poczęli z zachwytem głosić wielkość i wartość nowoodkrytego i zajętego w imieniu Anglji lądu, Anglicy bez namysłu zaczęli wysyłać w dalekie kraje ekspedycje wraz z transportami zbrodniarzy i prostytutek. Co prawda, wówczas nie myślano o trwałych i solidnych podstawach, dla powstać mającego gmachu. Wysłano wyrzutek społeczeństwa, nie oglądając się na to, że z nich ma powstać w przyszłości naród. To już prawdziwe angielskie szczęście, że powstał naród dzielny i zdrowy.

Darwin, zwiedzając w r. 1836 Australję, odsądził ją od czci i wiary:

„Przyszłości nie widzę żadnej — pisał — leży za daleko. Ziemia nieurodzajna, klimatyczne warunki złe, wody brak, o rozwoju rolnictwa niema mowy. A owce... Gdyby się nawet udała produkcja wełny, to transport jej nie pokryłby kosztów hodowli i strzyżenia“.

A Sir John Forrest, skarbnik Stanów Zjednoczonych Australji w swej mowie w r. 1906 tak się chełpi:

„Co dotąd zdziałał 4 i 1/2 milionowy nasz naród... Mamy 107,000.000 f. szt. depozytów w bankach, 37,000.000 f. szt. depozytów w Kasach Oszczędności, wyprodukowaliśmy minerałów za 636 milionów f. szt., mamy 39 milionów hektarów ziemi pod uprawą. W r. 1905/6 wyprodukowaliśmy pszenicy za 19 milionów f. szt., a masła wywieźliśmy za 5 blisko milionów f. szt. Mamy 97 milionów owiec, 8 milionów bydła rogatego, przeszło półtora miliona koni, milion świń. Wartość wyprodukowanej wełny wynosi 32 milionów f. szt., produkujemy rocznie za 3 miliony siana, a za przeszło milion kartofli. Wartość pieniężna przemysłu naszego i produkcji reprezentuje rocznie 120 milionów f. szt.“

Mamy miasta jak Sydney, Melburn, mamy 23.000 klm kolei, telegrafy, telefony, tramwaje, kable, olbrzymie dzieła irygacyjne, największe wodociągi świata, mamy uniwersytety, biblioteki publiczne, muzea, parki przewyższające parki Europy i Ameryki. Śmiertelność u nas wynosi zaledwie 102 promille.

Jakże spokojnie możemy patrzeć w przyszłość“.

Jest w tej mowie wiele dumnej prawdy, ale i wiele ślepoty zarozumiałej.

Przyszłość Australji wydaje się nieco zawiła, o ile Australja wiele palących spraw nie rozwiąże na drodze zdrowego rozsądku.

Zagadkowy kraj.

Obszarem równa się prawie Europie, a na tej przestrzeni, która hojnie żywić mogłaby 200,000.000 ludzi — żyje cztery i pół miliona. Przytem przeważna część ludności kryje się po miastach. Pierwsi koloniści, ludzie bez wątpienia dzielni, stworzyli podwaliny raju, synowie ich prowadzili dalej rozpoczęte dzieło, zwłaszcza że żyli w czasach łatwiejszych, bo odkrycia złota, ale wnukowie zmienili już wszystko. Uciekli do miast, żądni łatwiejszego zarobku i weselszego życia. Tych cztery i pół miliona ludzi, częścią odziedziczywszy, częścią porobiwszy majątki, zasklepia się w snobizmie i przestaje myśleć o przyszłości kraju. Nie zdają sobie sprawy z tego, że przyszłość Australji leży w jej zaludnieniu. Niebo i ziemię powinni poruszyć, by ściągnąć zdrowe ręce do pracy, na roli przedewszystkiem, a tymczasem nie robią nic albo pracują dzielnie dla zamydlenia oczu sobie samemu.

Bogato uposażone Biura imigracyjne, wydają wspaniałe książki reklamowe, pełne chwalby — jakto u nas w Australji dobrze.

Lepiej jednak temu nie wierzyć.

Przyjeżdża taki pan imigrant na wieś. Stan ofiarowuje mu kawał ziemi, po pewnej cenie. Są to albo nieużytki, albo, jeśli lepsza rola, to leżąca daleko od linii kolejowej. Dobra ziemia bliżej miast znajduje się oddawna w ręku bogaczy

lub spekulantów. Naturalnie zatargi wnet powstają, trudności — i nowoprzybyły pada. Prawda, są banki udzielające łatwego kredytu, lecz banki takie istnieją (z wyjątkiem Stanu Australji Zachodniej) nie dla osadników, lecz osadnik istnieje na to, by bank mógł prosperować. Taki imigrant popada niebawem w zależność od banku, angażuje się nad siły, nie może znikąd dostać rąk do pracy czyli parobka i, jeżeli nadto przyjdzie okres suszy, nie podoła absolutnie zobowiązaniom. Musi uciekać do miasta i tu szukać zarobku. Australja potrzebuje ludzi do pracy na roli. Na to byłoby jedyną radą dawać ziemię za darmo. A Stany powiadają: nie damy, bo nam potrzeba pieniędzy. Ale wobec tego, że znów rolnik nie chce przyjść i płacić, więc niema ani pieniędzy, ani ludzi.

Nie dziwota, że rolnik europejski woli emigrować do Kanady, gdzie dostaje ziemię bezpłatnie, gdzie mu się łatwiej dorobić, skąd bliżej do kraju, gdzie ma racjonalną gospodarkę kolejową.

W obiecanki Australji mało kto wierzy. Bo co to za łaska i dogodność. Cenę kupna trzeba spłacać w ratach rozłożonych na 36 lat. To jest tylko utrudnienie, takie kupno na kredyt. Jeżeli zaś dzierżawi od Stanu ziemię, to może tylko na lat 15-cie, płacąc $2\frac{1}{2}\%$ wartości kapitału. To trudno nazwać ułatwieniem.

Przecież Australja powinna liczyć się bardziej ze swem oddaleniem, ze swoim klimatem ostatecznie nie najbardziej sprzyjającym rolnictwu, i brać w rachubę to, że nawet w bardziej idealnych warunkach rolnik europejski nie spojrzy w jej stronę.

Stany Australji wiedzą o tem, że ich system bankrutuje. Chcąc temu zaradzić, Stany, które posiadają 93 i $\frac{1}{2}\%$ ziemi do pozbycia, zamiast budować koleje i parcelować te obszary, które mogłyby podołać rolnictwu, zwróciły oko na owych $6\frac{1}{2}\%$ ziemi, będącej w rękach prywatnych obszarników i rozpoczynają z nimi walkę, by wyrwać z ich rąk te przestrzenie. Rząd tedy odkupuje te obszary i dzieli je na małe własności do sprzedania. Aby zaś wszyscy mieli równe szanse — losuje. Ale tu znów chyłkiem wpadają spekulanci. Ciągną każdorazowo przez podstawionych ludzi losy, bez zamiaru nawet bawienia się w rolnictwo. Ciągną dopóty, dopóki nie wyciągną losu na najlepszy obszar. Wtedy osiedlają się na wsi, ale na krótko, poczem odsprzedają z wielkimi zyskami najczęściej tym samym obszarnikom, których Rząd już raz wywłaszczył.

Tak naogół przedstawia się imigracja na rolę.

Odmiernym nieco torem idzie imigracja rzemieślników. Odmiernym dlatego, że oni byliby skłonni, lecz Rządy im niechętnie. Wśród wielu innych utrudnień, istnieje twarde prawo, że żaden zawodowy robotnik nie może wylądować w Australji z kontraktem poprzednio zawartym, jeżeli dany kontrakt nie jest zatwierdzony przez odnośny Rząd Stanu. Naturalnie rząd nie da aprobaty, jeżeli dany kontrakt może się odbić na miejscowym robotniku zawodowym.

Tak np. przyjeżdża stolarz, zapewniwszy sobie wprzód u jakiegoś przedsiębiorcy dajmy na to 10 szylingów dziennej płacy. Przedsiębiorca wolałby płacić 10 szyłg. niż 12, które musi płacić w tym Stanie stolarzowi. Ale Rząd powiada

veto. A powiada dlatego, że boi się strajków, zastoju, a wreszcie drży o własną skórę, będąc wobec powszechnego głosowania najbardziej zawistym od robotników.

Nie koniec jednak na tem.

Skoro interesowany nie jest poddanym angielskim, to najpierw przedsiębiorca musi wykazać, że on dlatego sprowadza robotnika, ponieważ przychodzi mu z trudem w tym Stanie znaleźć tego samego zawodu robotnika, równego zdolnościami sprowadzonemu, czyli równa się to zakazowi wjazdu do Australji każdemu, kto zjeżdża jako zakontraktowany zawodowiec. Rząd idzie jeszcze dalej w swej uprzejmości dla robotników, bo nie zatwierdza nawet wówczas kontraktu, gdy płaca mającego przybyć równa się płacy lub przewyższa płacę miejscowych.

A każdy Australczyk głosi wszędzie, że konieczny jest przyjazd nowych sił i rąk do pracy, z drugiej jednak strony, w gruncie rzeczy, obawia się tego napływu i przeszkadza temu.

Sprytniejsi imigranci radzą sobie podobno w ten sposób, że przyjeżdżając, udają niezawodowców albo idą rzekomo na rolę. Tam po pewnym czasie fikcyjnie bankrutują, przenoszą się do miasta i teraz dopiero chwytają się swego zawodu.

Rzemieślnik naogół chętnie przyjeżdża do Australji, w tem błogiem przekonaniu, że mało robiąc, zbije majątek i będzie żył jak pan demokrata w państwie demokratycznym.

Taki zawodowy robotnik, znalazłszy się na miejscu, przełamawszy przedwstępne i wstępne trudności, musi zaraz przystąpić do Trade-Union'u, instytucji regulującej warunki pracy, normującej płacę, stawiającej czoło wyzyskowi. Tutaj nowoprzybyły zatracca się, musi poddać się regułom Syndykatów i nie zyskuje tego, o czem marzył w Europie czy w Ameryce.

Zapewne, że zyskuje jakąś pracę, dobrą płacę, że pracuje 8 godzin dziennie w lokalach jasnych, zdrowych i czystych, że w sobotę już o 12-tej przestaje pracować, że korzystając z dobrodziejstw towarzystw pewnych i uczciwych, może sobie kupić własny domek na dogodnych, czynszowych warunkach spłaty, że może nigdy nie jest bez zajęcia, że wprzęga się prędko w interes ogólnopaiństwowy, że ma trybunały rozjemcze, które zawsze trzymają jego stronę, a gdyby nie to, on i tak wyroku nie przyjmie, że on właściwie trzęsie rządem i jeżeli zasady polityki Stanowej nie są dla niego pomyślne, to zwali gabinet w mig. To są jego zyski. Ale o zrobieniu majątku niema mowy. Na straży stoi Syndykat, który, gdyby robotnik chciał piący wyższej lub pracował na akord, wyrzuci go ze swego grona. A taki niezsyndykowany robotnik nigdzie w całej Australji nie znajdzie pracy.

Te wszystkie wiadomości o położeniu robotników, zawdzięczam pewnemu stolarzowi, Polakowi, zamieszkałemu w Sydney od kilku lat.

Przyjechał do Australji w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. Poprostu uciekł z wojska. Zabrał się energicznie do języka, pracy i obecnie powodzi mu się dobrze. Rozplątał swą wymowę polską i polskie serce, i radził, bym także osiadł w Australji. Przynależem mu. Mówił mniej więcej tak:

U nas fabryka, czy pracownia musi być przede wszystkim urządzona higienicznie. Mamy szatnie, w których się przebieramy po pracy, by wyjść na ulicę czysti. Lokale muszą być obszerne, dobrze wietrzzone, pełne światła. Takie prawo. Pracodawcy wiedzą, że są zależni od nas. Mamy ustanowione maximum i minimum płacy, niema mowy o żadnych wyzyskach, bo zaraz strajk.

Czuć w nich siłę, ale nie brutalność. Ta pewność siebie nie drażni, owszem sympatycznym się wydaje rysem wśród podniebnych eukaliptusów.

O Europie wyrażał się jako o czemś przestarzałym.

Czy ja mam tu te walki, tę nędzę, to wszystko, co tam zostawiłem. Ani śladu. Nikt mnie tu nie wyzyskuje nigdy. Trybunał nasz, w którym zasiadają chlebodawcy i my, nas broni. Dawniej było gorzej, bo Syndykat przyjmował tylko ograniczoną ilość członków. Obecnie przeszła ustawa, mocą której Trade-Union'y nie mogą nie przyjmować członków, chcących pracować.

Zdaje sobie sprawę robotnik australijski ze swego stanowiska uprzywilejowanego i nie chce żadnej zmiany i nie przyjmuje podaży rąk i broni się wszędzie ostro. Wszystko jest unormowane ustawowo.

Eight hours to work
Eight hours to play
Eight hours to sleep
Eight shillings a day.

Na cześć tych trzech ósemek — czwarta to tylko dodatek — istnieje nawet pomnik. Wysoka granitowa kolumna, a na niej trzy ósemki.

Za przekroczenie przepisu o ośmiu godzinach pracy, kara spada tak na chlebodawców jak i na robotników. W sobotę o 12-tej kończy się wszelka praca. Przez cztery dni w tygodniu, sklepy, magazyny zamykają o 6-tej wieczorem, raz w tygodniu — w piątek o 10-tej wieczorem. Hotele i bary później, lecz tu ponad te godziny ustawowe nie może pracować ten sam personel, tylko drugi. W wielu fabrykach i pracowniach nie wolno kobietom niżej lat 18 dawać zajęcia, a po porodach dopiero w miesiąc. Nigdzie nie wolno pracować dzieciom i kobietom, tam gdzie praca połączona jest z niebezpieczeństwem życia. Kobiety przy pracy muszą mieć krzesła. W hotelach służba po 6-tej wieczorem nie zajmie się sprzątaniami, chyba w największych, gdzie utrzymują drugą parę nocnej służby. Po domach prywatnych służba w niedzielę po południu już nie pracuje. To też nigdzie nie zapraszają w niedziele na obiady, a jeżeli, to zimne przekąski podają sami gospodarze.

W Stanach Zjednoczonych Australji funkcjonują Komisje płacy (chlebodawcy i robotnicy w równej części) mianowane przez Gubernatora na trzy lata. Na czele tych Komisji stoi prezydent, zatwierdzony przez Ministra Pracy. Ta Komisja oznacza maximum i minimum płacy dla pewnych osób, kategorii i zawodów, dla starców i kalek. Gdy robotnik stary, chory lub mniej zdatny, może uzyskać dla siebie specjalne pozwolenie na płacę mniejszą od minimum i corocznie musi to pozwolenie odnawiać.

Istnieją ogromne ograniczenia co do robotników rasy żółtej, a w plantacjach trzciny cukrowej co do mieszkańców wysp Pacyfiku.

Tendencją główną ustawodawstwa australskiego jest przeszkodzenie zalania Australji robotnikiem europejskim, któryby momentalnie obniżył płacę.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o ustawodawstwie odnośnie do dzieci. W całej Australji Stany opiekują się dziećmi, najbardziej jednak w Australji Południowej.

Tu rząd wypowiedział zasadę, że dziecko należy do rządu i on winien je żywić, opiekować się, ubierać i uczyć. Gdy dziecko źle się prowadzi, idzie pod sąd Trybunału dla nieletnich przestępców i w wypadku cięższego przestępstwa może być skazane na dom poprawy.

W Australji Południowej, rząd posyła specjalnych inspektorów w dzielnice uboższe. Gdy rodzice źle obchodzą się z dziećmi lub piją za wiele, gdy dają zły przykład dzieciom, władza zabiera dzieci i umieszcza je na wsi u porządných ludzi, a papa dziecka płaci za utrzymanie. Zwykle płaci, ale czasem nie lubi takiego rozwiązania spraw rodzinnych i ucieka do drugiego Stanu, skąd nie opłaca się go wyławiać. Wtedy państwo zostaje opiekunem, zwykle do 21 roku życia. W 14-tym roku życia, państwo odbiera dzieci ze wsi i umieszcza je w mieście. Chłopcy pracują także w fermach, albo uczą się jakiegoś rękodzieła u zawodowców, a dziewczęta idą na służące. W tych wypadkach upełnoletniają zwykle w 18-tym roku życia.

Zdobycze ludzkości przyswoiła sobie Australja szybko i rozsądnie. Nic dziwnego więc, że wszyscy zadowoleni i ma się wrażenie, iż ten młody kraj poznał wartość życia.

Krótkowzroczna na jednych polach polityka, na innych sięga daleko, starając się oprzeć budowę przyszłego państwa na podstawach racjonalnych i można mieć nadzieję, że zczasem rozum, dobra wola i siła jednostek wybitnych przełamie owe niedostatki i wrzodzianki na zdrowem ciełe.

Cechą Australji jest demokratyzm, nie jako idea wypracowana, lecz jako żywiołowa, powstała od chwili poczęcia Australji jako kolonji. Dziś demokratyzm ten jest rdzeniem kontynentu i nigdy nie przemienie.

Potęgą jest Labour Party. Wpływ jej rośnie z dnia na dzień i z pewnością partja ta stanie na czele Rządu. Różni się ona od angielskiej, a przewija się przez nią i ta myśl, by zrzucić łańcuchy Wielkiej Brytanji. Ma ta partja praktyczną, budującą politykę i program jej da się streścić w tych słowach.

Edukacja publiczna, techniczne wykształcenie, wojsko narodowe, zdrowa rasa, patriotyzm narodowy, żadnych różnic socjalnych, możność kultury i rozrywek dla każdego.

Australja (wedle Labour Party) jest krajem, który może produkować nietylko na potrzeby swoje, ale jeszcze na wywóz. Zabezpieczyć kapitał dla rozwoju produkcji i zabezpieczyć, by wszyscy mieli pracę i nagrodę za swoją pracę, by robotnik czuł interes w swojej pracy. Lepiej, by Australja miała dużą, dobrze wykształconą, zadowoloną falangę robotników, niż żeby produkowała więcej wełny przez niewolniczy, czarny tłum. Labour Party uznaje potrzebę więcej ludzi w Australji i nie ma zamiaru nikogo wykluczać, kto chce się osiedlić. Przewiduje jednak niebezpieczeństwo ze strony Azjatów. Wie, że od Azji dzieli szczęśliwą krainę tylko 4 godziny drogi

morskiej. A ta Azja przeludniona. Azjaci o istnieniu Australji wiedzieli dawno, a nie zajęli jej. Gdy Anglicy pobudowali koleje, drogi, zdobyli źródła, wznieci bogactwo, wtedy Azjaci przysliby chętnie na gotowe.

Australja dotąd nie wie, co to wojna o istnienie narodowe. Możliwość wojny nie przyszła jej jeszcze na myśl, i jest wielu takich, którzy twierdzą, że opłacane 200.000 f. szt. rocznie flocie angielskiej za obronę brzegów, to wyrzucanie pieniędzy. Inni znowu twierdzą, że Australja powinna spać spokojnie, bo potęga Anglji to potęga Australji. A znów inni mającą, że Australji nic nie grozi, bo Anglja ma tyle kapitałów zaangażowanych w Australji i tyle stamtąd czerpie dochodów, że poniesie chętnie wszystkie ciężary ewentualnej wojny.

Lecz to są teorje.

Mają wprawdzie Australczycy porty południowe dobrze położone i łatwe do obrony, a szkolą siłę zbrojną tym sposobem, że każdy mężczyzna musi umieć jeździć konno i strzelać, lecz takie pospolite ruszenie nie ma żadnej siły wobec potęgi wojsk zawodowych.

Wprawdzie wielka wojna europejska wykazała zgodne współdziałanie Japonji z Anglją — jednak Japończyk jest mądry i chytry i nie traci z pewnością z oka celu, o którym marzy w milczeniu stanowczem. Traktaty bywają chwiejne, a cóż dopiero taki groteskowy aljans. A gdyby tak Japończycy zechcieli wylądować w Australji, rzucić parę setek tysięcy wojska pod osłoną swej potężnej floty... Przecież Japonja musi wkońcu znaleźć ujście dla niestłuchanego przyrostu swej ludności.

Australja powinna wiedzieć dobrze, że Japonja chciwy wzrok kieruje w jej stronę, że tropikalne okolice Australji nadają się w sam raz dla Japończyka czy Chińczyka. Prawa wzbraniają wprawdzie. Lecz prawo zbyt często mierzy się siłą. Kto będzie bronił kraju... Flota angielska, czy ten jeden pancernik śpiący w Port Jackson... Jakże tu bronić tych wielkich linii brzegowych, co poradzi na to pospolite ruszenie, wojowniczo zgromadzone w południowych częściach kraju... Walka w takich warunkach wydaje się daremna.

Rada byłaby: racjonalne, szybkie zaludnienie kraju, budowa gęstej sieci kolejowej, a wkońcu zmiana tej polityki „The white Australia Policy“, bo obecnie Australja przypomina psa nad kością, „sam nie zjem, ale i tobie nie dam“, nie mówiąc już o tem, że zabija rozwój ekonomiczny kraju, który pod ręką żółtego człowieka mógłby cudownie prosperować.

To są zagadnienia, których rozwiązanie należy do przyszłości.

Ani prawdą jest zdanie Darwina, ani pewnikiem zdanie Sir Forresta, prawda jest ta, że Australja ma dużą przed sobą przyszłość, ale jeżeli tak dalej pójdzie jak idzie, to nie pod panowaniem rasy... białej.

Rzeźwy wstał ranek, pełen wiosny i radosnego lenistwa.

Nad uszpiem miastem zwisają lekkie płaty mgły, nadając wszystkiemu ton opalowy, melancholijny.

Ruszyliśmy ku Górom Niebieskim.

Z trzaskiem rwie samochód przez puste ulice. Mijamy wnet miasto i już jesteśmy wśród jakichś podmiejskich ferm, wśród ogromnych pokratkowanych przestrzeni, w które wtłoczone było rogate i owce żałośnie patrzą.

Rozwija się przed nami biały, szeroki gościec.

Szalony pęd samochodu wprost odurza. Instynkt samozachowawczy kazałby zwalniać, a nerwy krzyczą „prę-



DROGA DO GÓR NIEBIESKICH

dziej“. Oszałały szofer zacisnął usta, skulił się w sobie i pędzi naprzód jak potępieniec.

Niebezpieczna droga wiję się ciągle w zakrętach śmiałych, wykręca w literę S, rozpląszcza w krótkie doliny. Raz po raz wpadamy w tunele ociekające wodą, to błysną szyny kolejowe po prawej, to po lewej ręce, wisi tuż nad nami skała zacząjona, to wspinamy się na brzeg chłodnej przepaści.

Uciekają wyniosłe eukaliptusy, przydrożne, niskie krzaki wydają się szarym murem, zostawiamy za sobą tumany białego pyłu, przepołowione kurczątko i serdeczny wrzask dzieciaków.

Wdźgączy się przed nami Paramata, najstarsze po Sydney miasto Australji, sławne z uprawy pomarańcz, zaświecą tu i ówdzie rozrzucone wśród lasów domki osadników, malownicze grupy nieruchomych krów, bezładne stada baranów, suche szkielety przeraźliwie jednostajnych eukaliptusów, gdzie niegdzie skromna wytryśnie willa i ginie wszystko, chyżo jak myśl.

Wjeżdżamy w góry Niebieskie.

W pojęciu naszym „górn“, powinniśmy stanąć przed jakimś wałem, zaporą, ścianą skalną, czemś, co wyrasta z płaszczyzny w górę.

Tymczasem nic z tego.

Już od Glenbrook droga wznosiła się ciągle pod górę, raz raźnie, raz leniwie, lecz uporczywie.

Celem naszej wycieczki miejscowość Medlow Bath.

Jesteśmy w Medlow Bath, a gór jak nie było tak niema. Cóż u licha? Kilka kroków na terasę hotelu i już wyjaśnia się sprawa. Jesteśmy już na szczytach gór Niebieskich.

Co za niezapomniany widok.

Pod nogami przepaść do 400 mtr., przepaść zasłana przepyszny dywanem lasów, rozdartym wstęgą rzeczki, przepaść pełna załomów, malowniczych układow, otoczona raz lekko falistym pagórkiem, raz gigantyczną budowlą skalną, ruinami niebotycznych zamków, kościołów, przepaść zamknięta tu i ówdzie murem różowym skały nagiej, tam znowu radosną, pajęczą siatką wodospadów, jak mgła przejrzystych lub w potężnych a fantastycznych spadających strumieniach.

Jak daleko okiem sięgnąć ciągnie się ta taśma przepaści. Góry teraz widoczne, wznoszą się, kłębią, opadają łagodnymi stokami i gdzieś daleko w niebieszczygnie cały ten zakłęty krajobraz.

Pod względem geologicznym przedstawiają się góry Niebieskie, jako powstałe wskutek działania wody, jako rezultat pocięcia powierzchni ziemi przez działanie wód w czasach dewońskich.

W czasach paleozoicznych istniał w Nowej Południowej Walji łańcuch gór pofałdowanych, rozciągający się od północy ku południowi, pełen granitowych jąder i płatów skał ogniowych. Działanie wód zgnębiło to pasmo gór, a w miejscu tem powstała kraina płaskofalista (peneplane). Ta opadała stopniowo ku brzegom morza, a w biegu wieków wskutek ruchu i drżeń ziemi, przekształciła się w wyżynę. Wody, które stworzyły tę krainę płaskofalistą, ponowiły teraz swe ataki i pożyłobyły w niej głębokie doliny. Doliny stawały się coraz szersze i szersze, tworząc jakoby drugą krainę płaskofalistą, opadającą ku morzu schodami. Powierzchnia tej nowej krainy płaskofalistej, przerwana była tu i ówdzie przez pozostałości dawnej wyżyny, które sterczą jako wyniosłe stoliwa ponad ogólnym poziomem. I znow ta druga kraina płaskofalista, ruchem skorupy ziemi podniosła się do wyżyny, i znow rzeki ponowiły swe ataki tnąc głębokie doliny, rozszerzając je do trzeciej krainy płaskofalistej. Ponad tą trzecią sterczały terasy drugiej i najwyższe stoliwa należące i pozostałe po pierwszej.

Taki proces powtarzał się $x+1$ razy, albo przez podniesienie się do wnętrza, albo przez obniżanie się poziomu morza. Ostatni cykl taki musiał istnieć w świeżych czasach plioceńskich. Widać tu jeszcze dawne równiny i doliny ich rzek z daty ostatnich ruchów ziemi, widać wąwozy do 3300 stóp głębokie, mające charakter zupełnie młody.



GÓRY NIEBIESKIE

Najbardziej charakterystyczny jest Look-out Point, skąd widać ku zachodowi pagórkowaty płaskowyż, a na wschodzie głębokie, młode doliny kształtu V. Wszystko to sprawiła woda. Takie

same skały znajdują się na szczytach gór Niebieskich, co na pomorzu koło Sydney.

Czar trwa.

Olbrzymie eukaliptusy wydają się ze szczytu małemi drzewkami, odurzające przepaście raz pod urokiem słońca, pełne zachwycających światła i barw, to znów porciągają tajemnicą w zaułkach krętych i chłodnych.

Nie dziw, że sława tych gór biegnie daleko. Mają w sobie urok czegoś nieznanego i sentyment tajemniczości. Chłodne powietrze ogarnia mile po upałach miasta. Żyje tu i drga zdrowie. Pławić się w tych przestrzeniach bez końca, ginących wśród leciuchnych, niebieskich mgieł, pławić się w przepychu pogodnej natury.

Gdzie oczy zwrócić, tam radość.

Wśród wąwozów, parowów, kanjonów, pobrzuchatych, czerwonych skałach dzwonią srebrne niteczki wodospadów, prawie prostopadle masą kropli tęczy opada woda na wielkie liście paprociowych drzew, spływa po nich ożywczo i gubi się w otchłani ciemnej. Tam „welon ślubny“ (LEURA Bridal veil Fall) porywa cud-widokiem w zaświaty, nad skromnem łożyskiem krętego strumienia dumają drzewa-olbrzymy, jak kolumny granitowe niezłomne, majestatu, smutku i powagi pełne, wyniosłe nad wszystko koroną, nurzają się w sinej mgle, co tak te zakątki ukochała.

Jest poezja i urok w tem patrzeniu ze „szczytu“, a praktyczność w ścieżce, którą wybudowano wzdłuż i w szersz, w górę i w dół. The National Pass ma około 4 klm. i 3000 schodów. Wije się wszędzie schludna, dobrze utrzymana drożyna, ubezpieczona poręczami, uwygodniona ławkami. Mroczne tunele lub wesołe widoki jej towarzyszą. Raz osłaniają ją paprocie olbrzymie, raz mchy kolorowe i twarde płaszczą się przyziemnie. Do słońca wygrzewają się przeróżne węże jadowite a zacne, tu zaśmieje się kookaburra, wrzaśnie stado jaskrawych papug lub echem donośnem odpowiedzą góry na wezwanie człowieka.

Góry Niebieskie są letnią stolicą mieszkańców Walji. Gdy styczeń prażyć zaczyna, a wilgoć tamuje płuca, wtedy wszystko co może, ucieka tu z miasta. Napęniają się wspaniałe hotele i wykwintne pensjonaty. W niedzielę zaś zatłacza te wszystkie miejscowości (Wentworth, Falls, Leura, Katoomba, Medlow Bath, Blackheath, Mount Victoria) tłum wycieczkowców, tłum żądny widoków, powietrza, pełen naprawdę wrażliwej duszy na piękno swej natury.

Żeby poznać czar lasów Australji, udać się trzeba w ów sławny australski „bush“, leśń, nie mającą nic wspólnego z lasami całej kuli ziemskiej.



GÓRY NIEBIESKIE

Oto wije się dobra droga i tuż za pewną stacją kolejową wpadamy w puszcę. Stoki łagodnych gór, jak wszystkie w Australji, błyszczą w słońcu, które cięży wprost na wysokich wierzchołkach drzew. Wszystko zamario. Nieruchomość natury upaja.

Cisza.

Nigdzie śpiewu ptaków, nigdzie szmeru strumyka, nigdzie znaku życia. Szumu liści nie słysząc. Za wysoko koronują drzewa macierzyste. Ziemia wyschnięta, ale pełna jakichś niezwykłych krzewów i roślin. Przyciai się chłód w gąszczu jakimś, a wnet uśmiechnie się koralem poziomka leśna, dobra znajoma, lub zadziwi owoc obcy, nieznany.

Zwolna i mozolnie wznosi się droga. Jedziemy rodzajem poczty konnej ku Fern Tree Gully. Tu i ówdzie przystaje nasz sromotnie obdrapany wehikuł przed jakimiś zajazdami czy fermami, ludzie wsiadają i wysiadają, a zawsze uśmiechnięci i weseli.

Z jakiegoś zakrętu widzimy niezmierną, szaroniebieską przestrzeń aż ku morzu, przestrzeń zupełnie oniemiałą pod upalnymi promieniami słońca.

Żmudna droga wiedzie przez dziewicze prawie lasy. Co za nieprzebrane bogactwa i skarby dla botanika.

Wysoko strzelają słupowate eukaliptusy, a do ich pni szarych, surowych tuli się bogactwo całe rozkosznych, kilkumetrowej wysokości, drzew paprociowych, tu znów mimoza zazdrosnym kwiatem rozrzuci hojnie woń drażniącą, tam drzewa sassafrasowe, oliwka dzika i bukszpan, sosny nierzadko świecznikami płoną, wysoko strzelają drzewa trawowe, kazuarina oplątuje długimi splotami płaczących liści-gałazek płomienną sterkulję, pysznią się banksje, akacje przeróżne zadziwiają bogactwem gatunków, wdzięczy się wspaniały cedr, drzewo wiśniowe pożyteczne konary rozłacza, — a mchy dziwne, pełzają gęstą, zbitą masą,

Na pewnej polance rozigrały się wszystkich barw kwiaty. Różnokolorowe dzwonki, kwiat narodowy „wara-tah“, jaskry, gencjany, wśród nich krwawe maki, pachnące, zawrotnie powoje...



FERN TREE GULLY

To znów staje przed nami las poważny, uroczysty, milczący i wzniosły. Na lewo ku górze, ciągną się haszcze nieprzedarte i niebezpieczne, pełne bujnych kolorów. Zwrotnikowy ton nadają drzewa paprociowe, poplątane krzewy, jeden poprzez drugiego ku słońcu dążąc, smukłymi strzelają kolumnami, to znów w karłowatych splotach wiją się, kręcą, kłębią, podobne grubym węzom, cielskom



„BUSH“ AUSTRALSKI



„POCZTA“

przedpotopowych stworzeń. Wilgoć po tych wykrętach się czai, noc i śmierć... A ku prawej stronie, łagodny stok góry prawie nagi, a na nim samotne, niebywale wysokie pnie eukaliptusów bezlistne ramiona-gałęzie ku niebu gorącemu wznoszą. Jest w tych drzewach coś ze szkieletów. Jakby o litość wołały, jakby urągały, groziły.

Są to wysokie drzewa o grubych pniach, gładkich i lśniących. Na wysokości jakichś 20 m wyrzucają gałęzie pękami uliścienione. Gdzie niegdzie zwisa długimi strzępami, w biczach opadły włos kory, rozpaczliwie beznadziejny. Podłoże tego lasu bez śladu liścia, bo liście nie opadają, lecz więdną stopniowo na drzewach, zamierając w jesieni. Wypalona ziemia lśni rudawym odbłyskiem... tam powalony olbrzym powolnie kona, tam sterczy jeszcze pół pnia, jak maczuga, tam płaty zeschniętej kory taśmą się przewijają.

Liście drzew eukaliptusowych nie dają cienia, wisząc pionowo na swej osi, nie dają poszumu i nie są wystawione na żar słońca. Z powodu ich jednakowego koloru z obu stron, nie ma gry barw. I cisza tu wszędzie ponura, czasem tylko gałąź o gałąź uderzy i skrzyp wyda.

I oto już kres podróży.

Gościnnie gospodarz, chętny w tych zamarych stronach przybyszom, przygotowuje wodę do mycia (zbytek), czerpiąc ją z ogromnej blaszanej kadzi. Jakiś mo-

zliwy rozbif, szklanka znakomitego mleka i w towarzystwie wdzięczącego się kundla zapuszczamy się w las.

Zbliska oglądane te drzewa są szpetne, lecz że dla swego pod każdym względem pożytecznego materiału pożądane, — więc ładne. Jest tu eukaliptus tak miękki, że snadnie użyty być może do wyrobu mebli giętych, jest tak twardy, że siekiera go nie skaleczy i jak kamień idzie na dno rzeki.

Nie jestże to ciekawy kraj...

Miło — tylko ta obawa wężów nieznośna. Kundys sunie zwawo i nie jeży się. Fermer zapowiedział, że piesek odczuje zaraz węża. Zacny, dobry piesek.

Gadów tych jest tu wszędzie niezliczona ilość, o jądzie bardzo przykrym. Na szczęście mają zęby jadowite tak krótkie, że zranić mogą tylko w odkryte ciało. Wystarczy dobry, wysoki but, by zapobiec.

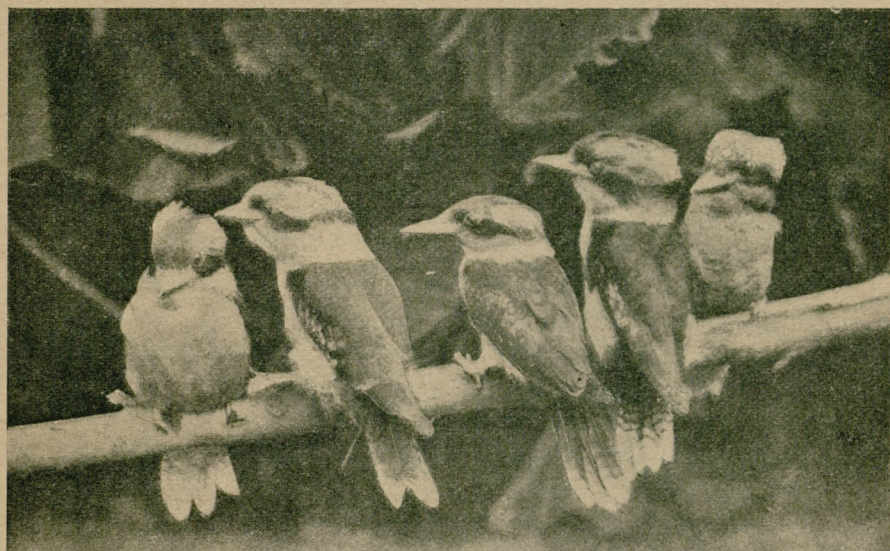
Są zmije przeróżne, wąż-tygrys w pasy, zwinny i szybki, a wedle Dra Martina najbardziej jadowity, jest wąż brązowy bardzo nerwowy i łatwo zapalny, jest wąż o ponsowym brzuchu, niegrzeczny, choć ładny, zaś wąż diamentowy i „dywanowy“, choć długie (dochodzą do 8 mtr.) nie są niebezpieczne. To tylko tak przykładowo wyliczone, bo jest tego tyle, ile... chyba zła na świecie. Istnieją prawdopodobnie tylko po to, by być przysmakiem dla ptaka „śmieszka“ (kookaburra) ulubieńca Australji, stojącego pod opieką Parlamentu. Ciężki ten ptak, o słabym locie a potężnym dziobie, wydaje głos podobny do śmiechu (Laughig Jackass) i żywi się tylko wężami. Podobno wiele tego plugastwa wyginęło podczas pożarów leśni — lecz drogi piesku: bacność.

Szliśmy i poto w las, by wytropić kangura. Niestety. Trzeba było poprzestać na dawniejszej znajomości z ogrodu zoologicznego. Śmieszne stworzenie. Ma nadmiernie rozwinięte tylne nogi i ogon, małe „rączki“, a główkę wcale rasową. Świdrującemi oczkami patrzy niespokojnie, choć wesóło. Przez druciane ogrodzenie dostał bułkę. Bułki nie wziął — lecz porwał „rączkami“ moją rękę i począł tulić bardzo mocno do serca. Dziwnie serdeczne stworzenie... tak od razu... nieznanego... Polaka... Lecz uściski te mogą być mniej zachwycające, gdy ściska taki okaz dwumetrowy. Ten potrafi wyściskać na śmierć.

Wracamy. Uradowany fermer raczy nas wielką dozą serdeczności. Żyje tu od lat 16-tu. Ma dom, zabudowania, konie, wielki szmat ziemi częściowo pod pszenicę, częściowo dla gospodarstwa krowiego przeznaczoną. Mleko mu opłaca wszystko. Narzeka tylko na króliki.

Że są plagą Australji, o tem opowiadają już nawet te przywiezione z Europy wróble, które także stały się plagą.

Opowiedziały, że króliki wprost całemi hordami napadają fermy i przez jedną noc niszczą wszystko. Zabije się ich 100.000, to miljon zostanie w okolicy. Niszczą je i trują zawzięcie. Za trzymanie królików na gospodarstwie płaci się wysokie kary. Niszczą je w ten sposób, że rząd buduje siatki na wielkich przestrzeniach wielkim kosztem, niszczy w tym kwadracie wszystkie i idzie dalej i dalej z temi siatkami. Ale to wszystko, jak wiadomo, za mało.



„KOOKABURRA“

Skórki królicze i mięso mrożone wysyłają do Europy. Australczyk gardzi mięsem królika, nazywając je swoją trucizną.

Najbliższa ferma sąsiedzka była o 4—5 klm. Najbliższe miasteczko do 30 klm., a tu widać troje, wcale dorosłego drobiazgu (od 9 do 12 lat) u naszego gospodarza. Umieją czytać i pisać.

Jakże się to robi?

W Australji nauka jest przymusowa. Rząd demokratyczny wie, że każdy musi coś umieć, więc przedewszystkiem sprzyja szkołom niższym. Natomiast dużo wiedzieć nie potrzeba, więc obojętniej odnosi się do szkół wyższych (z wyjątkiem zawodowych), pozostawiając starania o nie raczej jednostkom prywatnym i ich dotacjom.

Zarzucono system małych szkótek. Raczej jedna w jakimś okręgu. W okręgach odległych, gdzie fermy rzadkie i rozrzucone, organizują szkoły prowizoryczne, a gdy liczba uczących się dzieci dojdzie do 12-tu, tworzą szkołę publiczną z ukwalifikowanym nauczycielem. Lecz czasem i takich szkół prowizorycznych tworzyć nie można, wówczas nauczyciel objeżdża rzemiennym dyszlem w pewnych stałych dniach, od fermy do fermy i uczy. Wcale praktycznie.

W Nowej Południowej Walji i Tasmanji, gdzie dzieci mieszkają daleko od szkół, otrzymują wolne bilety kolejowe, a w Wiktorji nie mają biletów, lecz po 20, 30 lub 40 ctm. dziennie na kosztą przejazdu. W niektórych miastach gminy dostarczają nawet podwód dla dzieci.

Wspomnieć jeszcze wypada o istniejących w Sydney i Adelajdzie uczelniach na wolnym powietrzu.

Wszędzie w szkołach uczą rękodzielnictwa. W większych sadownictwa, ogrodnictwa, stolarstwa, tkactwa, i to obowiązkowo, a w niektórych są nawet kursa kucharskie.

Uczą się dobrze i gruntownie wszystkiego — z wyjątkiem historii i geografii. Historia nie jest potrzebna, bo to wszystko już dawno... było, a z geografii wystarcza im wiadomość, gdzie jest Europa, Ameryka itd.

Zapadł piękny wieczór.

Niebo zimne dla oka dziwnie rozdrażnia. Zewsząd widoczny Krzyż Południa szeroko zagarnia w swe ramiona ukośne tajemniczy biegun południowy.

Las stoi cichy, ciemnym murem. Lekki opar wznosi się nad zbiedzoną gorącym dniem ziemią.

Psiak przyjacielsko wywija krótkim ogonkiem. Nigdy więcej w życiu tu nie staniemy.

Nigdy więcej nie napoję swych oczu tym prawdziwie dziewiczym lasem, nigdy nie pokłonię się tym świętym eukaliptusom, nigdy nie zobaczę tego człowieka, który żegna nas jak prawdziwych przyjaciół never more...

Przysłonił dłonią oczy i woła smętnie:

— Ooo—e...

Jeden z tych cichych wieczorów.

Nisko wiszą wyraziste płomyki gwiazd... Tajemnicza noc, gdzie wszystko obce, nieznanne, pełne smętku i rodzącej się bezwiednej tęsknoty.

Szybko przewija się łódź między mnóstwem czółen i parowców. Sypki szelest prutej wody, wark bystry motoru, a świetlista piana znaczy rozdwojeniem drogę.

Woddali przecina ostrym mieczem twardą ciemność latarnia morska.

Rzeźba zatok raz po raz się zmienia. To zamajaczy płytką taflą zgniłej wody, to dziwnym zygzakiem wpadnie kapryśnie w głębię lądu, to szeroką powierzchnią łuk zatoczy spokojny.

Migają płomyki latarni nadbrzeżnych, znacząc sznurami prostotę ulic, lub w jakieś labiryntne pnać się chaosy. Czernią się groźne mury ogrodów i parków, a wśród nich świecą wesoło okna will, domów, całych miast niewielkich. Na wodzie orgja świateł drży długimi drożynami. Białe, zielone, znów czerwone. Dalekie tony syren, gwizdy echem przeciągłe lub ostre i krótkie, mówią o życiu i pracy ludzkiej na wodzie. Biały kadłub potwornego pancernika groźnie odcina się rusztowaniem pomostów i wieżyc stalowych. Zamyka nam drogę wyspa mała, a na niej strażnica z ciosowego kamienia, dawniej obronna pozycja, dziś smutne więzienie.

I już słyszeć szum przewalających się fal.

W wąską przestrzeń, między dumnie sterczące strome skały brzegowe, właczają się majestaty zimnych, czarnych wód. Idą i idą na bój, na zdobycz wiecznotrwałą. Pochyliwszy wytrwały, kudłaty łeb, biją o wyniosły brzeg, pewne swego po wiekach podboju — a znalazłszy przejście wolne, rzucają ogrom swych fal w ten cichy, cudny port.

Prze na jakiś zawrotny szczyt
łupina nasza, leci w przepaść na
śmierć chybką i pewną. Lecz oto
już podnosi nas dobra fala, podrzu-
ca, podaje innej i innej, igrając za-
bawnie.

Pełny ocean.

Złowroga ciemność zamyka
wokoło ramiona.

Im dalej brzegów, tem morze
bardziej ciche, leniwe, uśpione.

Tęsknoty pełna noc pod Krzy-
żem Południa.

Jasne jego gwiazdy świecą
obcym ludziom, krajom, lądom nie-
znanym, morzom nieobjętym, świe-
cą tęsknocie naszej.

Odurzone parną nocą powolnie dźwigają się fale. Czasem lekkie westchnienie poruszy ich tonią, czasem wiatr wpadnie, zmarszczy i pogna dalej ku brzegom. Wszelkie życie zostało za nami. Tu tylko jeden widomy znak człowieka — latarnia morska przeraźliwie jednostajna, a jednak tak miła oku żeglarza.

W te oto podwoje przed stu laty weszła barka Endeavour, pod wodzą śmiałka James Cook'a.

„Byliśmy trzy do czterech mil od lądu, gdy zobaczyłem zatokę, czy przystań, która wydała mi się dogodna do zarzucenia kotwicy i którą nazwałem Port Jackson“.

To było w r. 1770 dnia 6 maja. A już w r. 1788 przepłynął tędy pierwszy transport skazańców.

Szły potem jeszcze długo okręty z deportowanymi, rosło nowe pokolenie, przyszły czasy wolnych osiedleńców, zjazdy awanturników świata całego żądnych złota i wolności, nadszedł czas, gdy tędy przepływały idee śmiałe, które wchłaniało wzrastające miasto. Świat począł z ciekawością patrzeć na powstający naród, który wnet począł zarzucać rynki europejskie. I stał się naprawdę cud. W stu latach powstał naród swobodny, równy, powstała jutrzienka niezmaconego pokoju. W pracy twardej a brzemiennej w skutki, walczył człowiek o swe prawa, o swój byt i wywalczył na tej nowej ziemi dla starych idei i myśli miejsce panujące.

Mieliśmy początkowo zamiar jechać naszą motorówką do Botany Bay i stamtąd powrócić do Sydney tramwajem, lecz sternik odradzał z powodu przypiływu morza, które już nadymać się poczynąło, ciężko oddychać i rozbijać o nadbrzeżne skały i rafy niegościnnie.

Zaledwie minęliśmy owe ponure wrota, błysnęły ognie tysiączne ze wszystkich stron polipa-zatoki. Przepiękny otworzył się widok na zalane potopem światła miasto.



ZATOKA SYDNEJU — HUNTER'S BAY

Jakiś parowczyk, przystrojony lampjonami przestonił widok. Muzyka, śpiewy, tańce, pijatyka. To jakiś bogacz na pokładzie swego jachtu ugascza przyjaciół.

Fale ostro, raźnie pluszczą teraz po skalistych brzegach. Ruch na wodzie zwiększony. Po wieczornych rozrywkach wracają ludzie do domów. Rozkropi się ta masa ludzka po rozległych przedmieściach wielkiego miasta i zamrze port.

Nad zatokami mgły i opary. Zapadają światła jedno po drugim, gdzie niegdzie buchnie kłęb pary i ognia z zabłąkanego parowca... i już cisza nocna ukoiliła miasto.

Przez puste zupełnie ulice pniemy się do The Australia Hotel. Tu jeszcze wre życie. Ogród zimowy zapełniony. Zwyczajem sydneyjskim po teatrze gromadzi się towarzystwo strojne. To należy do szyku. Herbatka, ciastka i ucieczka do domów. Tylko w kąciku jakiś gentleman w towarzystwie kilku innych kropi szampana aż miło, wyciągając butelki z pod kanapy. Prawo każe, by restauracje nie wydawały po 12-tej w nocy trunków. Przedsiębiorczy pan zakupił cały zapas butelek przed 12-tą i pije swą prywatną własność.

Trudno pogodzić się z tą myślą, że skończył się ten piękny wieczór — ale tu każde jutro przynosi nowe wrażenia i napełnia podziwem.

Australczyk, nietylko ten z „wyższego towarzystwa“, lecz każdy, wobec obcego, a zwłaszcza przybysza z Europy, przystraja się w niestychaną uczynność i uprzejmość. Wszystko uczyni, by o nim dobrze mówić, by tylko ukazał swój kraj w jak najlepszym świetle.

Weźmy naprzykład takiego urzędnika podatkowego. Należało wedle ustaw tamtejszych zapłacić podatek.

All right.

Wiadomo, co znaczy urzędnik podatkowy. Jest to mieszanina Sherlocka, lisa



ROSE BAY

i muchomora. Ale gdy dany urzędnik, przed którym stanąć wypadło, od dochodów począł odliczać rozchody, pokazało się, że właściwie Rząd Australji powinien nam dopłacić coś jeszcze. Nie wypadło przyjąć. Więc po krótkiej rozmowie, pogodziliśmy się i zapłaciłem 1 f. szt. Lecz za to powiedziałem mu uroczyście, że niema kraju nad Australję, i że Melburn (działo się to w Melburnie) jest piękniejszy od Sydneyju.

Inny przykład.

Poznaję jakiegoś pana, urzędnika biur statystycznych Parlamentu. Zaczął zarzucać pytaniami, na które niestety nie mogłem dać mu uczciwych wyjaśnień. By go uspokoić, wpiłem się w niego pytaniami co do pewnych dat statystycznych.

I już cały wieczór otaczał mnie chmurami danych, cyfr i naprędce rzuconymi tabelami. Na drugi dzień miałem w domu kilka książek statystycznych, a co więcej, w pół roku po powrocie do Europy, przysłał mi książkę, która bogato, rzeczowo a zwięźle opowiada o wszystkim.

Official Year Book of Australia, tak zwie się ta mądra i cierpliwa księga, która na 1000 stronicach opowiada o odkryciu, fizjografii, zaludnieniu, kolonizacji, osiedleniu, produkcji pasterskiej, rolniczej, mlecznej, o lasach, rybołówstwie, górnictwie, przemyśle, irygacji, handlu, żegludze, drogach i kolejach, pocztach, telegrafach, finansach, nauce, sztuce, sprawiedliwości, dobroczynności, rządach, związkach robotniczych, obronie, higienie — słowem o wszystkim, co dotyczy Australji.

Bibliotekę złożyłoby można z tych broszur, reklam, książeczek, któremi przy

każdej sposobności, zarzucają interesujących się nieco Australją. Prostu oszałamia ta powódź ilustrowanych wydań, głoszących cuda o Australji. To się nazywa znać biznes i kochać swój kraj. Nie szczędzi kosztów nate wydawnictwa ni Związek, ni poszczególne Stany, ni poszczególni przedsiębiorcy prywatni, mający jaki taki w tem swój interes. Że te cyfry są przesadą i sporo w nich blagi, to nie zadziwia. Bo gdzież jest na świecie taki, który chcąc coś sprzedać — gani...

Że mało z tego skutku, to inna sprawa, ale natomiast broszury



„SYDNEJ — POCZTA



SYDNEJ — COOGIE

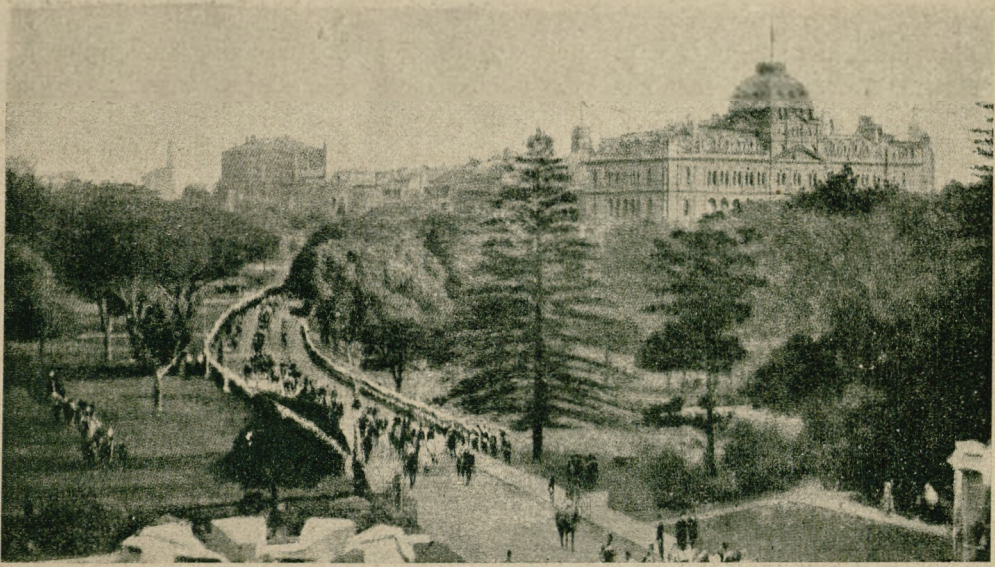
owe przyczyniają się bardzo do poznania kraju wprost przez samych Australczyków. Może to dzieje się dlatego, że zbyt daleko z Sydney do... Monte, a może z umiłowania swej ziemi płynie. Cudze chwalicie a swego nie znacie, tej maksymy nie znają zupełnie. Swoje znają, swoje przechwalają. Co tylko ciekawego na kontynencie, to zna każdy. Roją się od wycieczkowców wszelkie osobliwości i nieosobliwości kraju, rozpełza się mrowie ludzkie wszędzie. Bo na łono natury wraca każdy mieszczuch bodaj raz na tydzień.

Wszystkie te grotty, góry, parki, ogrody, rzeki, bushy zwiedziliśmy dzięki uporczywej uprzejmości naszych nowych przyjaciół, którzy z podziwu godną wytrzymałością, codziennie przygotowywali jakąś nową wycieczkę. Wpadamy w łapy coraz to innego szofera, zaklinając go, by pozwolił naszym kościom spocząć na polskiej ziemi, co przy ich systemie jazdy stawało się coraz bardziej nie do wiary.

Trudno doszukać się w tym kraju zbyt ujemnych stron. Tu wszystkim dobrze. Nędzy niema, nie widać ludzi obdartych, żebraków, włóczęgów, apaszów, zbrodniarzy. Indywidualizm nor europejskich — nieznan. Więc jaśniej się robi na duszy i niema powodu do zbyt cierpkich uwag, do obudzań sumienia. A jeśliby się ukazała jakaś nędza, to ci ludzie umiejący tak przepysznie bawić się zaradzą temu szybko. Dobro-



MOST NA RZECE HAWKESBURY



SYDNEJ — PAŁAC GUBERNATORA

czynność kwitnie, jak rzadko gdzie. W dzień kwiatka (narodowy waratah) w Sydney, zebrano w jednym dniu 37.000 f. szt.

Ciekawy to kraj, gdzie socjalizm z kapitalizmem żyje w zgodzie, jeden drugiemu nie wymyśla, nie grozi, gdzie nikt nie chwyta za broń w celach zemsty, rabunku, gdzie nieznane konflikta zasadnicze.

AUSTRALIA FELIX.

I znów nasuwają się porównania z tem, co pisał Darwin.

„A kto ma gusta podobne do moich, nigdy nie zapragnie odbyć przejażdżki po tym mało pociągającym kraju.“

I woła z emfazą:

„Żegnaj Australjo. Jesteś za wielka i zanadto chciwa zaszczytów, by móc cię ukochać, a za mała, by cię szanować. Opuszczam twe brzegi bez tęsknoty i żalu“.

Przykro mi niewypowiedzianie...

Na pokładach Osterley'u (kompanja Orient Line) wre ciżba. Przelewają się bezładne i nerwowe tłumy, mowy świata całego drażnią uszy. Skłębione mrowisko dusi się i pręży. Coraz to ktoś wypada z jednej, by przypaść do drugiej grupy, coraz to inny coś woła, tłumaczy, w podnieceniu prawi drugiemu.

Bieganina, zamęt, gwałt...

Wędrują książeczki autografowe z rąk do rąk, fotografie szeleszczą, ciche, urywane słówka, zapewnienia pamięci niewygastej, szeptu tęskne, marzące spojżenia. Ostatnie uściski dłoni i ust dorywcze muśnięcia — a potem dźwięk, jednym radosny a innym żaloszny, dzwonu... i wyludniać się poczynają pokłady.

Pomosty portowe aż trzeszczą pod tłumem głośnym. Jęk syreny ponad wszystkie przedarł się wołania, pokurczył myśli, przeraził i już kadłub parowca oddziela się pasem coraz bystrzejszym od australskiej ziemi.

Gromki okrzyk Ooo-e szarpie nerwami, strzelają wachlarze białych, połyskliwych słońcem chustek, wznoszą się drżące dłonie w powietrze, maleje gromada ludzi, jeszcze tu i ówdzie rozświetli się znajoma twarz, tu i ówdzie miła uderzy oczy postać... i już zamyka się za nami brama wjazdowa do Portu Jacksona.

Zaczął się powrót do Europy.

Powrót tą samą linią brzegową, przez beznadziejnie jednostajny Ocean Indyjski, przez wzburzone fale morza Czerwonego do otulonej zimą Europy.

Ruszyliśmy w sam dzień wigilii Bożego Narodzenia. Jak okiem sięgnąć — dal morza cichego. Fale bez jednej zmarszczki lśnią w letnim słońcu.

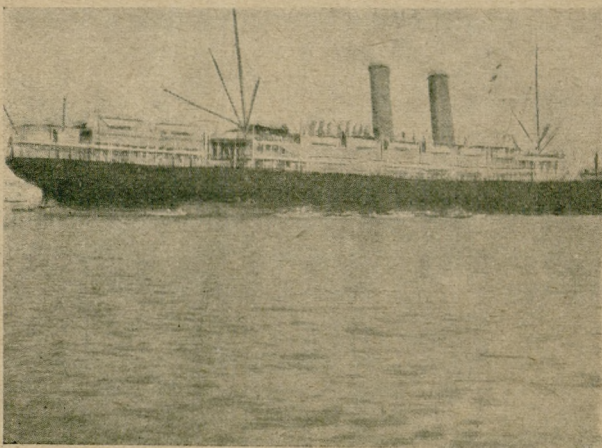
Wigilja.

Jakoś to trzeba urządzić przecież.

Więc cieplarniana araukarja, przybrana cukierkami i papierowymi głupstwami — zabawiła się w drzewko. Przy naszym stole kilku Irlandczyków, tęgich opojów, jeden Kanadyjczyk i Bogu ducha winien w tym wypadku Włoch... wyznania mojżeszowego. Oplątek z apteki okrętowej, pachnący więcej jodoformem niż świętością, wprowadzamy my polskim zwyczajem, a potem ryby wszelakich okrętowych odmian, jak sardynki w oliwie, sosie pomidorowym, pikantnym, śledzie, łosoś węgorski i sole. Pijatyka świąteczna, a potem kolendy. Naszych oni nie znają, a my ich, więc płaczą się melodie przeróżne na przemiany. Kolenduje już i nawet Włoch wyznania mojżeszowego.

A myśli ciche a uporne słodko idą wdal... ku naszym mrozom... tradycjom... ku naszej pasterce...

Na takie nastroje najlepiej robi szampan. I dokazał swego, bo wszędzie wkrótce poczyna być wesoło.



OSTERLEY

Brzmia fałszywie chóralne śpiewy i kłóć się pokaźnie. Jedyna na okręcie Rosjanka, pod wpływem nastroju, tańczy już kozaka z przysiadami ku ucieście Anglików, tam znowu długonogi Amerykanin podreptuje w miejscu. Ktoś gra Rag-time.

Uderzają podeszwy zrazu cicho, powolnie o podłogę, warczą głuchoe stukoty, pełne siły wybijałego taktu, młynkiem wylatują puszczone swobodnie, zda się, nogi — zataczają kręgi jakiegoś zawrotnego, sprężystości się w górę

podnoszą, opadają z trzaskiem suchym, podejmując mistrzowską grę muskułów.

Amerykanin oszalał.

Miota się jakby w napadzie. Ręce nakształt skrzydeł bujają w powietrzu, a nogi gubią się dla chwytów oczu. Już tylko słuch porywa zdwojone, strojone uderzenia, pełne siły, energii, wyraziste, jędrne, buńczuczne. Jeszcze chwilę trwa łomot, trzask i jasny uśmiech zabarwia wąskie usta Yankesa.

Szampan zaczyna grozić zalewem.

Pijmy, wszak to Boże Narodzenie na wodach Australji.

A potem Nowy Rok pod Krzyżem Południa.

Od 7-mej wieczór do rana obowiązkowe orgje. Menu obiadowe wydrukowane na czerpanym papierze, jedyny raz po francusku. Zdawało się nam, że tego dnia lepiej smakują te same potrawy. Wreszcie inaczej się zowią. Szampana podają na koszt kompanji okrętowej, lecz nikt nie pije. To nie bufetowa darmocho na podwieczorkach komitetowych. Dopiero na górze zaczyna się praca wytrwała. Raz po raz kogoś z sali wyprowadzano, by się na pokładzie ochłodził, lub znowu coś ktoś komuś opowiadał, czego nikt nie słuchał i nie rozumiał, raz po raz ktoś kogoś ścisnął lub zgola beznadziejnie

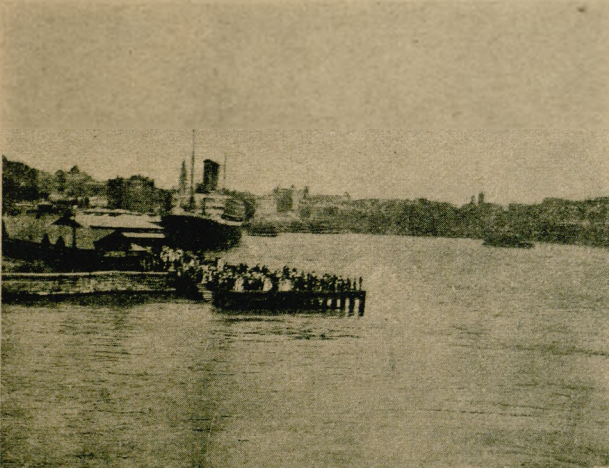


NA DŹWIGU

pluł w ciepłe morskie fale.

Cnotliwa służba zapobiegawczo snuje się wszędzie, wyławiając śpiących w pozach nieprawdopodobnych i na każdym miejscu pasażerów.

Jeśli w życiu zwykłym, codziennym wielką rolę odgrywa służba, to na okręcie stanowi ona pociechę, podporę, potrzebę i pomoc. Już odczuliśmy to w drodze ku Australji. Zaraz za Marsylją steward zażądał kluczy od kufrów kabinowych. A gdy o 6-tej rozegrała się trąbka melodyjnie, głosząc, że obiad za pół godziny, znaleźliśmy



ODJAZD Z SYDNEJU

w kajucie rozłożone ubranie frakowe. Delikatna to wskazówka, że obiady jada się we fraku. Nawet przy 36 stopniach Celsjusza.

Rano, gdy budzi trąbka ze snu, steward oznajmia, że kąpiel gotowa, podczas obiadu pyta o two zdrowie troskliwie, zgoła nie banalnie. Boli cię głowa, przynosi wodę z cytryną, boli żołądek — każe wprost pić gin holenderski i sam wybiera potrawy, a napadnie ta wstrętna morska choroba — to staje się aniołem stróżem, lekarzem, pielęgniarką. Znosi potłuczony lód do łykania, nie pozwala leżeć na wznak, pić gorących napojów, a na twarzy ma troskę i niepokój serdeczny.

Tędy to i zdrowi ludzie, dobrze płatni i odżywiani, oddający się z zapalem i zamięłowaniem swemu uciążliwemu zawodowi. Co jednakże zmusza ludzi do pracy przy maszynach okrętowych, trudno pojąć. Żar jaki tam panuje, zwłaszcza pod równikiem, przechodzi ludzkie pojęcie. Wprawdzie pracują tylko 3 godziny na dzień, ale i to wystarczy. Jeden z palaczy naszych, Hindus, z wyczerpania nerwów, Bóg wie wkońcu z jakiego powodu, wylał drugiemu, na łeb kubek ukropu. Zdaje się zwarjował.

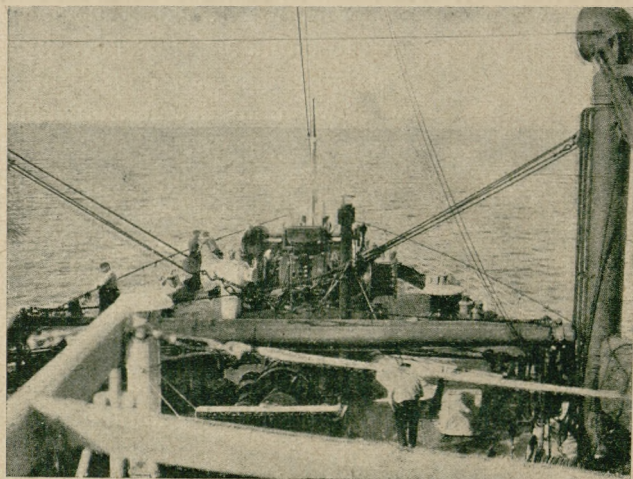
Na okrętach jadących w dalekie podróże uderza na każdym kroku przewaga służby czy personelu okrętowego. Robi to dobrze i napawa uczuciem bezpieczeństwa, gdy się patrzy na tych karnych, zwinnych, zdrowych chłopców. Płaczą się całymi dniami po pokładach, jużto biało ubrani, schludni stewardy, jużto majtkowie o sękatych pięściach, jużto jacyś zamiatacze, czyściciele.

A dla rygoru i sprawności, co kilka dni małe pogotowie.

Trąbka gra wezwanie. Coraz to inna melodia. Długim sznurem ustawiają się wszyscy. Majtkowie, stewardy, kucharze, a surowy kapitan w asystencji oficerów robi przegląd. To znów syrena wstrząśnie nerwami swym gwałtownym, bolesnym jękiem. Ogień na statku. Część wali do pomp. Długie węże gumowe pozwijane

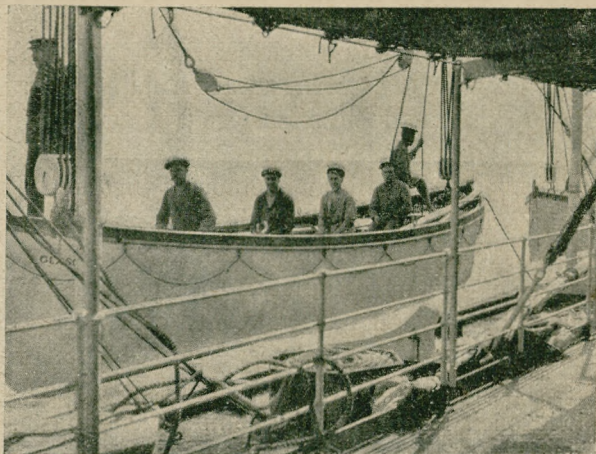
sprawnie, w mig łączą z maszynami. Jedni z głębi okrętu pompują wodę i zalewają pokłady, drudzy po bokach statku małpie gimnastyki wyprawiają, z pokładów niższych na wyższe od zewnętrznej strony pnąc się ku górze, po jakichś oknach, rurach, hakach, otworach niewidocznych, opanowując rychło całe biodra, jak muchy rozłazą się na wszystkie strony, tuż nad falą chytrą i nieżartobliwą, a im tak obojętną.

Gra innym razem syrena na hasło: okręt tonie... do łodzi... Więc najpierw wszyscy już



CZUB OSTERLEY'U

na górnym pokładzie w pasach korkowych. Jedni łodzie sprawnie opuszczają, sadowiąc się w nich zamasyście z wiosłami w krzepkich garściach, a drudzy od wnętrza statku tworzą łańcuch ludzki i z rąk do rąk podają paki z sucharami, beczułki z słodką wodą rzucają do łodzi, do miejsc przeznaczonych, jako pokarm dla nas biednych rozbitków... Sprawność taka, że aż serce rośnie i odwaga oczyma tryska. Ale zawsze mimo serca i odwagi... lepiej nie popaść w taką awanturę.



POGOTOWIE

Zdawaćby się mogło, że podczas tak beznadziejnie długich podróży nuda musi być stałą towarzyszką. Tymczasem nie. Poprostu czasu na to niema.

Życie morza.

Wszak tu niema jednej chwili martwoty, tylko wieczny ruch. Nieznużone odměty szumem swym zniewalają do podłuchiwań, a każda kropla rozprysnięta nęci wzrok grą barw. Roztacza się przed oczyma bezbrzeżna toń, niezmierzone przestrzenne niziny o lekkich wydmach i garbach ruchliwych, o plamach już to ciemnych już jasnych, białymi świecąc grzywami. Migotliwe błędzą po nich ogniki, krótkie błyski oślepiają, to znów roztoczy morze skarby turkusów, szmaragdów, uciekające cuda szlachetnych kamieni.

Owe podzwrotnikowe zachody słońca.

Purpura. Na niebie i morzu niewidzialne kolory upajają wzrok. Pogasty szkarłaty i pastelowe tony smętkiem kołyszają duszę. Jakieś pasma, linje przeczyste, łuki niestychanie fantazyjne... kłębią się całe orgje barw żółtych, pomarańczowych, liljowych w poplątanych linjach.

Zapadło słońce, zielone ogniste słupy trysnęły, jeszcze krótka chwila złocień — i pada ciężki mrok kamieniem na rozgorzałą pięknem duszę.

Wnet poezja nocy.

Już wzrok nie wypatrzy, tylko łoskoty przewalających się fal niewolą słuch. Idą jakieś złowrogie szmery, zmaganie się ustawiczne, czasem złowieszczo bluźnie zuchwale zbuntowany słup wodny ku górze i sycząc ucieka, czasem z pod dzioba wyrwie się szelest chichotliwy, osamotniony i słoną kurzawą bryźnie wokóło.

Rozkołysane, posępne fale, spokojnie, miarowo podnoszą na swych mocarnych barkach łupinę naszą, pieszcząc głaskaniem biodra sapiącego parowca, zwycięsko idącego naprzód i naprzód.

Nie widać nic.

Księżycy niema, tylko gwiazdy goreją cudnie, śmiejąc się kryształową czystością blasków. Ruch okrętu nieznaczny. Obserwować go można za ledwie, patrząc ku szczytom masztów, jak ogarniają coraz to inne gwiazdy, przesuając się raz na prawo, raz na lewo od drogi mlecznej.

Czysta, ciemna noc.

Wzrok tęskni ku północy. Niedługo już na kraju widnokręgu zobaczymy Wielką Niedźwiedzicę. To jest zdarzeniem na okręcie. Jeden drugiemu podaje miłą wieść. Wreszcie nasze gwiazdy.

Duszne noce minęły, owszem wcale jest chłodno i zimno. Australczycy kula się już i pledami okrywają, my cieszymy twarze rzeńskim, lubym wiatrem.

Jak wyśniona bajka staje przed nami czarowny CEJLON.

Mimo, iż po raz drugi te same oglądamy cuda, nie straciły nic na uroku ni świeżości. Nęci i podnieca bujne życie miasta. Choć to styczeń, intensywność gorąca niezmnieszona. Może nawet bardziej praży słońce, bo brak musonu, który w sierpniu i lipcu swem skrzydłem wentyluje wyspę.

Po ulicach snuje się moc żoldactwa rosyjskiego. Jakiś Wielki Książę bawi w Colombo. Ale i te zawadjackie chłopcy nie imponują Syngalezom, którzy zakutani w swe kolorowe burnusy, płachty, kołyszając się leniwie na swych kobiecych biodrach, suną jak cienie, majestatu i powagi pełni.

Rodzą się pytania, dlaczego ci ludzie, ongi wolni i świetni, nie zrzucają twardej obroży angielskiej. Dlaczego zrezygnowani na wszystko, wtulili swój żywot w przykry los, w inne warunki, zwyczaje, dlaczego przystosowali się tak do narzuconego im drogowskazu... Czy tkwi w tem mądrość cierpliwego odwetu, a może zrozumienie praktyczności kultury.

Jakiś dziwny niepokój owłada. Zapach Wschodu odurza wprost zmysły, działa jak haszysz. Pora południowa. Co żyje, kryje się w cień. W hotelu tłok. Obszerne sale zapełnione. Niesposób wyjść na świat, bardzo ciepło.

Ponieważ niepodobna tkwić w hotelu, wyruszamy do lasu. Tu wśród zielonego mroku chłodniej. Nie wiem, gdzie nas powiodł brązowy woźnica, ale było dobrze, cicho i ładnie. Jakieś jezioro senne wśród drzew kakaowych i pnączy zwartych, gromada niezgrabnych a mądrych słoni, pośród których uwijają się bezpiecznie małe dzieciaki, dalej kilka chat, a nad tem wszystkim zielony dach z tysiąca liści, badyli, owoców.

I tak dalej bez końca, wśród coraz potworniejszych i gęstszych pni wije się droga.

Przewodnik nasz śpiewnie narzeka, że słoń ginie. A najwięcej szkody przynoszą, nie polowania Anglików, lecz tak zwane „kraalowanie“ t. j. wyłapywanie słoni, dla zysków, przez bogatych Syngalezów, będących właścicielami wielkich dżungli. Anglik uważałby taki rodzaj polowania za barbarzyństwo, Syngalez uważa za dowód odwagi i zręczności.

Kraal odbywa się rzadko. Zwyczajnie w centrach wyspy, w okolicach ubogich w wodę i zawsze ku końcowi suchych sezonów.

Pewną przestrzeń dżungli (4—5 ha), mającą jakąś sadzawkę lub źródło znane słońmi, obwarowują mocnym ostrokołem, na 4 metry wysokim, podpartym od zewnętrznej strony kłodami ukośnemi, dla umocnienia. To jest kraal. Z obu stron prowadzą doń wejścia, obwarowane znów mocnymi płotami, kształtu lejka, którego koniec węższy wchodzi w bramę kraalu a szerszy w dżunglę. Gromada naganiaczy okrąża pewne wytropione stado słoń i krzyżąc, pędzi stado ku szerszemu otworowi lejka. Przedewszystkiem trapi biedne stworzenia pragnienie, potem krzyki na bokach i tyłach straszą. Ginąc z pragnienia mimo zwierzonego niebezpieczeństwa, wchodzą w kraal. Gdy stado znajdzie się już wewnątrz, ludzie zamykają palami wejścia, a wokoło ostrokołu rozpalają ogniska.

Teraz zaczyna się druga część polowania.

Do tego celu używają oswojonych słoń. Te wprowadzają w kraal, a na nich siedzą jeźdźcy, uzbrojeni w pętle ze skóry bawolej. Te słońce oswojone wsuwają się pomiędzy słońce dzikie, stłoczone zazwyczaj w gromadkę i naciskając, usuwają jednego. Teraz zaczyna się praca człowieka z pętlą. Gdy tylko słoń podniesie nogę (czasem zmuszają go do tego łaskotaniem), zarzuca mu sidło. Gdy to się uda, słoń jest zgubiony. Zaczyna się taniec. Jeden oswojony słoń napiera dzikiego w tył, a drugi, na którym siedzi oprawca, cofa się. I tak podchodzą do jakiegoś pnia grubego i przykrępowują schwytaną nogę. Tak pozostawiają słońca trzy do czterech dni. Zwierz jest tak wyczerpany, otumaniony, zgłodniały i spragniony, że po tych dniach pozwala ze sobą zrobić wszystko. Wtedy wiążą go pomiędzy dwa oswojone słońce i prowadzą do klatki. Taki słoń już po dwóch miesiącach obłąskawia się, lecz zwykle szkoła taka trwa cały rok.

Głównym czynnikiem przy chwytniu jest wielka mądrość słońi oswojonych, które zupełnie rozumieją, czego się od nich wymaga i ułatwiają łapaczom pracę w wysokim stopniu.

Czasem w kraalu znajdzie się i 100 słońi. Sprowokowane do ostateczności, oszalałe i roznamiętnione urządzają szarżę na ostrokół, by dosięgnąć ludzi, kryjących się za płotem. Wtedy pono trzeba dużo zimnej krwi, by wytrzymać taki atak i pozostać na placu.

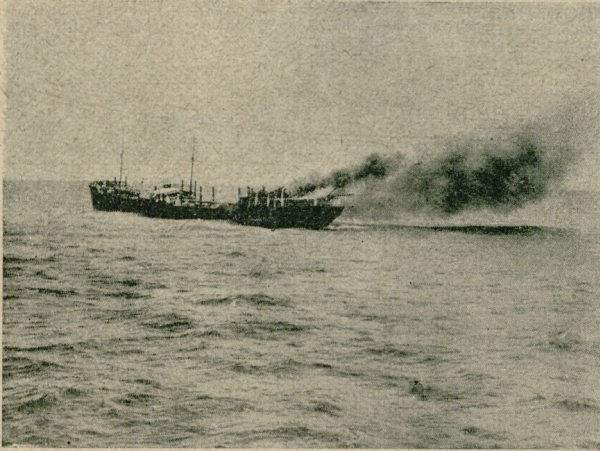
Tak opowiada przewodnik.

Pali się las.

Słońce opadło nisko i zagląda ciekawie w środek puszczy, pomiędzy konary grube dziewiczych drzew. Teraz dopiero widać wyraźnie całe bogactwo lasu. Poszycie



W LESIE



SPONDILUS

my... Pnie łuskami pokryte strzelają w górę na dziesiątki metrów i wytryskują w górze fontanną przebogatych liści pierzastych.

Żal przejmuję, że trzeba wracać.

Zimny ogarnia ocean.

Dochodziła pewnego dnia godzina szósta.

Należało pomyśleć o obowiązkowej do obiadu toalecie. Wtem lotem błyskawicy rozchodzi się wieść, że za chwilę odbędzie się na okręcie pogrzeb.

Głupie żarty.

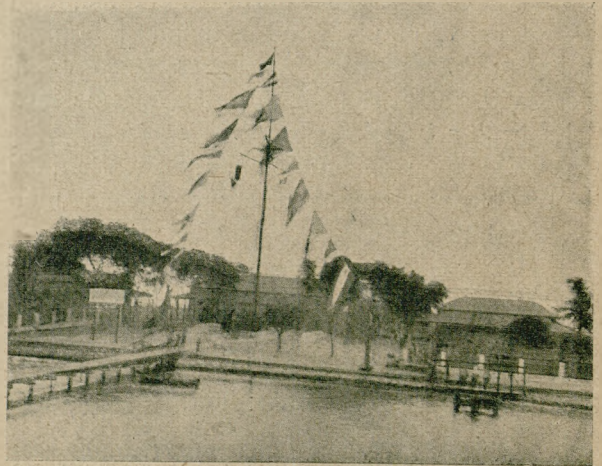
Milczący sznur oficerów, doktora, kapitana przeciąga z właściwą Anglikom powagą i ginie we wnętrzu statku.

Nikt nie chce, nie śmie wierzyć.

Okręt już zwalnia. Cały jego bok pełen głów, oczu i myśli. Ciężkie, żelazne drzwi, tuż nad poziomem morza rozwarłe, a w nich pochyła, drewniana deska, pokryta angielską flagą. Uciekająca fala czyni wrażenie, że jeszcze płyniemy. Krótkie uderzenie dzwonu. Bije szósta. Niewidzialna dla nas ręka przechyla deskę i spływa z hurkotem szary, skrępowany kształt człowieka. Wpadł... zakotyssał się raz i drugi pod uderzeniem fali, jakby ukłonem żegnał świat.

zwarte, zbite poplątanych haszczy, w których czai się wąż, jaszczurka i gady wstrętne wszelakie.

Kładą się po ziemi cienie wykrętne, zdradliwe, wilgotne. Gdzie niegdzie ziemia ogołocoana z wszelkiej roślinności, wygląda jak węzowisko. W tysiącnych splotach wiją się korzenie cienkie, grube, wyniesione ponad ziemią, chaotycznie pokręcone, wygięte, pełzające. Tam znów chwieją się trzciny dziko rosnące i znów gmatwanina gęstych pnączy, obejmujących uściskiem wiecznym drzewa kamforowe. A ponad wszystkiemi palmy i pal-



BRZEK ZACHODNI KANAŁU SUESKIEGO

I chwilę krótką, jasny, zielony punkt błyszczy na granacie wody w miejscu, gdzie wpadło ciało. Z otworu wypływa ręka ludzka, zafurczata chorągiew... i już po wszystkim.

Na pokładzie zamarło życie. Chylą się głowy pod brzemieniem myśli, niespokojnie kołczą serca, mnożą smutne westchnienia. Zimna, bezlitosna konieczność. Ani kwiatka na grób rzucić...

Nikt tego człowieka nie znał, nikt go nawet nie widział, a wszyscy przybrali żalobę duszy. Tak potęguje się wrażliwość na morzu.

A trzeciego dnia znów inny wypadek wstrząsnął już na dobre potarganemi nerwami.

Był piękny, chłodny dzień, a morze ciche.

Pora lunch'u, a więc podnieconej temperatury z powodu stale jednakowego spisu potraw. Wstaje od stołu kapitan, a za nim chyłkiem pierwszy, drugi i t. d. oficer. O popłoch nietrudno.

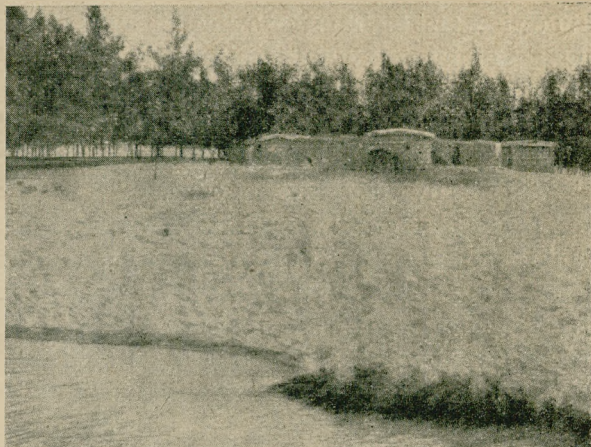
Ktoś krzyknął „fire“.

Awantura arabska, zwłaszcza, że brzegi Arabji tuż...

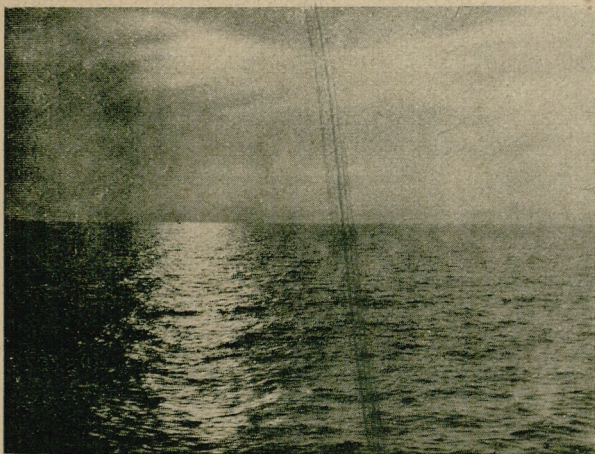
Było sporo strachu, zanim się wyjaśniło, że to nie my w ogniu, tylko jakiś okręt na widnokręgu. Rzeczywiście, daleko przed nami słup dymu. Nerwy rozprzegają się. Rosną obrazy straszliwe wyobraźni, jakto wnosić poczną rannych, popalonych, przypieczonych, poparzonych, czy zdążymy jeszcze na ratunek, kto tam żyje, a kto już nie żyje... Pożar na morzu, to sprawa poważna.

A nasz Osterley wlecze się jak z mazią. Tymczasem słup dymu rośnie, rozszerza się w oczach. Już widać czerwone pełzające języki, kadłub nieco w tył przechylony, powalony komin. Łodzi ratunkowych ani ludzi nie widać.

Ktoś wraca z wiadomością od kapitała, że poznano okręt po



BRZEG ZACHODNI KANAŁU SUESKIEGO



WIECZÓR PRZY BRZEGACH ABISYNI

budowie. Jest to transportowiec oliwy. Dlatego tak dokładnie płonie. Takie okręty mają kominy w tyle, a mostki kapitańskie na czubie. Sygnały wzywają nasze pogotowie. Zbiega cała załoga. Węże gumowe już przyśrubowane, wszelkie płachty, płótna giną we wnętrzu, a łódź ratunkowa z pełną załogą wisi na kabłakach w powietrzu.

Jesteśmy tuż przy pożodze.

Wtem przeraźliwy ryk. Gra syrena, jak nigdy jeszcze, gra tonem trwogi, ratunku, nieszczęścia. I cisza. I gra po raz drugi. Rozdziera uszy i nerwy ten sam ton. Zrazu niski, słaby, rosnący do potęgi gromu. Milknie spadając kaskadą tonów.

Żadnej odpowiedzi ni znaku życia.

Czytamy: SPONDILUS — GLASGOW.

Kłębi się czarny, gryzący i tłusty dym, migoczą płomyki. Chwila i obrót koła sterniczego tak energiczny i nagły, że kto gdzie stał, tam upadł.

— Gdyby w takiej chwili naszego zbliżenia nastąpił na tamtym statku wybuch kotła — mówi kapitan — to moglibyśmy i my pójść na dno.

Spondilus ginie w czarnej mgłę. Przeszukujemy morze, czy nie widać łodzi z załogą. Nie widać nic. Jak dowiedzieliśmy się później, zapomocą aparatu iskrowego, całą załogę w jak najlepszym zdrowiu, uratował jakiś parowiec francuski.

To było ostatnie bardziej wstrząsające wrażenie.

Aden pozostawiliśmy daleko na prawo, ledwie przez szkła można było dojrzeć zarysy gór. Morze Czerwone złe i wzburzone. Kapitan sam prowadzi okręt, bo tu rafa nie żartują.

I już Suez. Na Kanale zimno, iż wierzyć się nie chce. Jeszcze cztery dni i już Europa.

Deszcz i mgła utrudnia pobyt w Neapolu. Z Wezuwjusza ani śladu. Ponure wybrzeża Korsyki, Elba, Kaprea mijają smutnie szybko. Sine morze bez zmarszczki, bez ruchu.

Wczesnym rankiem wpływamy do Tulonu.

Piękny port przypomina może nieco sydneyjski. Na powitanie z naszego okrętu płynie Marsyljanka, gdzieś z dalekiego fortu odpowiadają nam. Przepływamy obok surowych pancerników, obok rozdartego niedawnym wybuchem kolosa „Liberté“ i stajemy na ziemi francuskiej.

Kres podróży.

Europa.

Wierzyć się poprostu nie chce, że minęły te cudne dni, że za nami już te wrażenia silne. Jedna pociecha, że wryły się trwale w pamięci i dały nam rozkosz wielką i rzadką.

Europa... a jednak myśl jakoś dziwnie tęsknie idzie wdal - tam gdzie błyszczą tajemniczy Krzyż Południa.





